

WIELKIE SERIE SF

# GWIEZDNE WOJNY

ZEMSTA HANA SOLO

AMBER



BRIAN DALEY

**BRIAN DALEY**

P R Z Y G O D Y   H A N A   S O L O   I I

**ZEMSTA HANA SOLO**

*( Han Solo's Revenge )*

Przekład  
Wacław Najdel



*Kimże oni są, ci wszyscy, tak zwani „niezależni” kupcy i badacze galaktyk? Oszustami, łotrami najgorszego pokroju! Chyba najlepiej oddaje ich charakter określenie: kosmiczne łazęgi. Wystrzegajcie się nie tylko ich samych, ale i wszystkich tych, którzy powierzają im ładunki i korzystają z przewozów ich statkami! W najlepszym razie są to nieuczciwi łajdacy, którzy okradają z należnego zarobku uczciwe, koncesjonowane kompanie. Najczęściej jednak są to oszuści, defraudanci, ludzie pozbawieni zasad moralnych, a nawet przemytnicy!*

*Czy można powierzyć któremuś z nich własne życie lub pieniądze? Jedynie rządowe, koncesjonowane agendy są najlepszymi, niezawodnymi gwarantami udanego interesu!*

*(Ustęp z Odezwy Ogólnej Nr 122267-50,  
wydanej przez Władze Wspólnego Sektora)*

## ROZDZIAŁ I

— Hej, Chewie! Znalazłem!

Radosny okrzyk Hana tak bardzo zaskoczył Chewbaccę, że aż cały drgnął. Ponieważ zaś Wookie znajdował się właśnie pod kadłubem „Sokoła Tysiąclecia”, dokonując przeglądu metalowego kolosa w świetle plazmowej latarki, skutki nagłego ruchu okazały się nieprzyjemne — na gęsto owłosionym czole Wookiego wyrósł pokaźnych rozmiarów guz.

Nie przejmując się tym zbytnio, Wookie zgasił latarkę, ściągnął z twarzy roboczą maskę ochronną i rzucił nią w przyjaciela. Han, jak nikt znający zwyczaje Chewbacci, zręcznie uchylił się przed nadlatującą maską i schwycił ją w locie. Cofnął się o krok i patrzył jak Chewbacca niezdarnie gramoli się spod kadłuba „Sokoła” na oświetloną jaskrawym słońcem powierzchnię Kamara. Ciągłe usterki sprawiły, że Wookie z każdym dniem stawał się coraz bardziej wytrawnym mechanikiem.

Han ściągnął z oczu gogle i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jednocześnie uspokajająco kiwając dłonią na towarzysza.

— Spokojnie, spokojnie! Sonniod załatwił nam nowy film — dla potwierdzenia swych słów Han uniósł w górę przezroczysty sześcian. Chewbacca na chwilę zapomniał o bólu i złości, i przeciągle zagwizdał.

— To chyba jakiś musical — wyjaśniał Han. — Klienci i tak nie rozumieją ani słowa, ale nie wątpię, że uda im się to wcisnąć. Muzyka, śpiew i tańce. Powinni być zachwyceni! Triumfalnie potrząsnąwszy sześcianem, Han pomyślał, że szczęście jednak nie całkiem ich opuściło. Mimo że osiągnął już wiek dojrzały, udało mu się zachować młodzieńczy entuzjazm. Ze względu na panujący na Kamarze upał, Han zmuszony był rozstać się z nieodłączną kamizelką, mimo to koszula kleiła mu się do pleców i piersi. Całości stroju Hana dopełniały wojskowe spodnie z czerwonymi lampasami i wysokie, skórzane oficerki. Na udzie Hana, w specjalnie obstalowanej kaburze, spoczywał nieodłączny towarzysz pilota — pistolet szturmowy, wyposażony w dodatkowy makroskop.

— Chewie, zobaczysz, że będziemy mieli widownię z całego obszaru Badlandów!

Chrząknąwszy coś w odpowiedzi, Chewbacca schylił się i podniósł z ziemi plazmową latarkę. Słońce ogrzewające powierzchnię planety skrywało się powoli za linią horyzontu, zapadał zmierzch, a naprawa była już właściwie ukończona.

Nawet jak na Wookiego, Chewie był olbrzymem — człiekokształtną istotą o błyszczących, niebieskich oczach, ze wspaniałą, gęstą, rudobrazową grzywą. Miał okrągły, czarny, ruchliwy nos, a na jego obliczu często gościł uśmiech. Był serdeczny dla wszystkich, których lubił i bardzo niebezpieczny dla tych, którzy ośmieliliby się go zaczepić lub sprowokować. Spośród przedstawicieli własnego gatunku miał niewielu przyjaciół, którym byłby tak bezgranicznie oddany, jak Hanowi Solo, dla którego był również jedynym prawdziwym przyjacielem w całej wielkiej galaktyce.

Pozbierawszy narzędzia, Chewbacca wyczołgał się spod statku.

— Daj już temu spokój — rzucił Han. — Sonniod zaraz wpadnie się przywitać. — Mówiąc te słowa, wskazał na lekki transportowiec, zaparkowany kilometr dalej. Pochłonięty naprawą „Sokoła” Chewbacca przegapił moment lądowania drugiego statku.

Sonniod, drobny szpakowaty mężczyzna, którego twarz przesłaniał duży, nieco staromodny czerwony kapelusz, kroczył w ich kierunku. Wprawnym spojrzeniem byłego przemytnika obrzucił „Sokoła” i w jego oczach rozbłyśły wesołe iskierki. „Sokół Tysiąclecia” — jeden z najszybszych i najnowocześniejszych statków przemytniczych nie

pasował do bezkresnych piaszczystych równin planety Kamar, gdzieś tam porośniętych skąpą, wyschniętą roślinnością i trawami. Gorące, białe słońce planety chyliło się właśnie ku zachodowi i Sonniod spodziewał się, że jej nocni mieszkańcy wkrótce opuszczą swe kryjówki. Sama myśl o tych wszystkich ryjówkach, wysysaczach krwi i wygłodzonych krwiożerczych stadach pełzaczy sprawiła, że zadrżał. Sonniod brzydził się bowiem wszelkich pełzających stworów. Pomachał przyjaźnie i wykrzyknął słowa powitania w kierunku Chewbacca. Wookie, zmierzający właśnie do wnętrza statku, odrzekł coś w swym własnym języku, szczerząc przy tym radośnie zęby.

„Sokół Tysiąclecia” zaparkowany był w pobliżu naturalnego amfiteatru. Na poszczególnych jego poziomach widniały liczne ślady łap i ogonów, pozostawione przez poprzednich widzów. W dole, na samym środku obniżenia, na specjalnie w tym celu wygładzonej i pozbawionej roślinności powierzchni ustawiono olbrzymi holoprojektor, wielkością i kształtem przypominający niewielką raketową konsolę.

— Słyszałem, że potrzebujecie nowych filmów — rzucił Sonniod, postępując za Hanem w dół amfiteatru. — „Oczekiwanie na miłość” jest niestety jedynym filmem, jaki mogłem załatwić w tak krótkim czasie.

— To zupełnie wystarczy, zapewniam cię — odparł Han, umieszczając kasetę w projektorze. — Ci prostacy obejrzą wszystko bez wyjątku. Przez ostatnie jedenaście wieczorów puszczałem w kółko jedną i tę samą taśmę, a i tak za każdym razem miałem komplet widzów.

Słońce prawie już zaszło, zbliżał się zmierzch. Ta część planety, na której się znajdowali, położona była w pobliżu równika Kamara. Ściągnąwszy z czoła przepaskę ochronną, Han pochylił się nad holoprojektorem.

— Wszystko gra! Zmieniamy dzisiaj repertuar. Wracajmy na statek, przydasz mi się przy sprzedaży biletów!

Sonniod skrzywił się na samą myśl o powrotnym wspinaniu się na górę.

— Przyznani ci się, że z początku nie wierzyłem pogłoskom, iż wraz z Wookiem zakotwiczylście tutaj i zajmujecie się prowadzeniem kina dla tubylców. Słyszałem, że mieliście jakąś awarię na Rampa Rapids?

Han zatrzymał się i badawczo spojrzał na Sonnioda.

— Kto ci o tym powiedział?

Mały człowieczek wzruszył ramionami.

— Statek wyglądający jak zwykły transportowiec pojawia się w pobliżu planety i niespodziewanie, chyba na skutek awarii zbiornika, zostawia za sobą chmurę pary. Wieże kontrolne Rampu biorą go za przemytnika wody i podczas lądowania otwierają do niego ogień. Statek pozbywa się błyskawicznie około pięciu tysięcy litrów przewożonego ładunku i gubi pogonię, kryjąc się wśród setek innych jednostek. Władze nie są więc w stanie zidentyfikować przestępców. Mniej więcej w tym czasie widziano cię na Rampie. Han ostrzegawczo zniżył głos.

— Zbytne gadulstwo już niejednego wiele kosztowało. Czy twoja matka nigdy ci o tym nie mówiła?

Przybysz uśmiechnął się szeroko.

— Mówiła mi tylko, aby nigdy nie wdawać się w dyskusje z nieznajomymi. I w tej kwestii, Hanie, zawsze postępuję zgodnie z jej zaleceniami. Ale ty przecież nie jesteś nieznajomym. Sprawdziłeś, czy statek nie ma żadnych wycieków?

— Następnym razem sam zajmę się załadunkiem tych cholernych pojemników — odparł Han. — To była czysta woda mineralna marki Ralla, słodka, źródłana, i cholernie droga, zwłaszcza na Rampie, gdzie jak wiesz mają tylko tę śmierdzącą lurę z odzysku. Do diabła! Gdyby mój plan się powiódł, byłbym w tej chwili milionerem! — wołał nie wspominając,

że w wyniku niepowodzenia całej operacji w ciągu dwóch i pół minuty stracili wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

— Wylądowaliśmy, mając na pokładzie wyłącznie ładunek, który zabraliśmy dla kamuflażu. Również i z nim nie uniknęliśmy kłopotów. Zamiast dwunastu sztuk holo-Lockfillerów miałem tylko jedenaście i ten stary projektor.

Odbiorca zaakceptował jedynie Lock-fillery, traktując nasze honorarium jako rekompensatę za zagubiony dwunasty. Wkrótce po starcie zorientowaliśmy się, że ciągniemy za sobą ogon pary. Chyba wiesz, jak bardzo nienawidzę policji i sądów, więc nie miałem wyboru. Wylądowałem na tym odludziu i postanowiłem chociaż częściowo odrobić straty z pomocą tego grata — dokończył, wskazując holoprojektor.

— Hm, widzę, że żadne niepowodzenia nie są w stanie cię załamać, Solo — rzucił Sonniod.

— Wiesz przecież, że improwizowanie jest moją specjalnością — odparł Han. — Stwierdziłem, że nadszedł czas wyniesienia się, przynajmniej na chwilę, z granic Wspólnego Sektora. Po namyśle doszedłem do wniosku, iż mieszkańcy Badlandów mają na co dzień tak mało rozrywek... Nie myliłem się, zresztą przekonasz się na własne oczy. Aha, dzięki za pomoc z kaseta.

— Nie kosztowało mnie to wiele wysiłku — odparł Sonniod, gdy ruszyli już z miejsca. — Znam kogoś, kto zajmuje się ich wypożyczaniem, a „Oczekiwanie na miłość” jest chyba najstarszym filmem, jaki miał na składzie. W powrotnej drodze mógłbym za niewielką zapłatą wymienić twoje kasety na nowe. Co ty na to?

Han skinął twierdząco głową.

Powrócili na pokład „Sokoła”, gdzie u stóp rampy zgromadzono pokaźny stos wyrobów miejscowego rzemiosła. Właśnie w tej samej chwili u wejścia na rampę ukazał się robot, dźwigający oburącz pokaźnych rozmiarów plastikowy kontener.

Robot był nieco niższy od Hana, szeroki w ramionach i długoręki. Poruszał się sztywnym krokiem, co wskazywało, że wyposażono go w skomplikowany, ciężki system podtrzymywania równowagi. Sylwetką robot przypominał człowieka, z tym że w miejscu ludzkich oczu zainstalowano mu czerwone fotoreceptory, zaś w dolnej części metalowej „twarzy” znajdował się niewielki, prostokątny otwór. Korpus robota pokryty był ciemnozieloną, błyszczącą farbą.

— I w tej kiepskiej sytuacji było cię stać na kupno nowego robota? — zapytał zdumiony Sonniod wskazując na Bolluxa, kładącego właśnie ładunek obok stosu.

— Nie kupiłem go — odparł Han. — To oni sami oświadczyli mi, że chcą zwiedzić Galaktykę. Czasami jednak wydaje mi się, że obydwaj cierpią na ciężkie niedomagania obwodów.

Sonniod spojrzął na niego zaskoczony.

— Obydwaj?

— Spójrz! —Widząc, że robot wykonał już swoją pracę, Han rozkazał: — Bollux, otwórz się!

— Tak jest, kapitanie Solo — odpowiedział robot posłusznie, odchylając do tyłu długie ramiona. Umieszczona na jego piersiach pokrywa odsunęła się, ukazując wnętrze klatki piersiowej robota. Pośród wielu różnych mechanizmów spoczywał niewielki, niezależny moduł komputerowy, pomalowany na czerwono. Pojedynczy fotoreceptor, zamontowany na jednym z wierzchołków sześciennego modułu, rozbłysnął czerwonym światłem, chwilę migotał, po czym zatrzymał się na Hanie.

— Hej, kapitanie! — rozległ się piskliwy, dziecięcy głosik.

— Do wszystkich...! — stęknął Sonniod, pochylając się niżej.

— To Błękitny Max — objaśnił Han. — Max, ponieważ wewnątrz tego modułu zawarta

jest ogromna pojemność i moc, a Błękitny, bo lubi ten kolor. Ci dwaj to dzieło paru zdolnych techników — Han pomyślał, że rozsądniej będzie nie wtajemniczać Sonnioda we wszystkie szczegóły poprzedniej, pełnej niebezpieczeństw wyprawy na tajną bazę rządową, znaną pod nazwą Krańca Gwiazd.

Pierwotny, stary korpus Bolluxa uległ tam całkowitemu zniszczeniu, ale jego twórcy wyposażyli go w nowy. Robot życzył sobie, aby jego nowa powłoka przypominała starą, twierdząc, że trwałość, uniwersalność i zdolność wykonywania użytecznych prac stanowią najlepszą gwarancję przeżycia w każdych warunkach. Zachował nawet swój stary, przeciągły sposób mówienia utrzymując, że daje mu on więcej czasu do zastanowienia się nad odpowiedzią i sprawia, że ludzie odnoszą się do niego z większą sympatią.

— Gdy zostali wyzwoleni, poprosili mnie, bym zabrał ich ze sobą — wyjaśniał Han Sonniodowi. — Podróżują w zamian za pomoc na statku.

— Kapitanie, to ostatnie z zebranych przez nas rzeczy — zameldował Bollux, wskazując na przyniesiony kontener.

— Dobrze. Zamknij pierś i uprzątnij ten cały bałagan. Połówki pokrywy zatrzęsły się, ukrywając Błękitnego

Maxa, a Bollux posłusznie powrócił na rampę.

— Solo, zawsze sądziłem, że unikasz wszelkich mówiących maszyn — przypomniał Sonniod.

— Czasami jednak są one użyteczne — odparł Han. Pragnąc uniknąć dalszej dyskusji, zmienił temat. — Spójrz, zaczyna się ruch.

Z otaczającej ich ciemności zaczęły się wyłaniać liczne, zdążające w kierunku statku sylwetki. Zamieszkujący Kamara Badlanderzy byli mniejsi i zwinniejsi od pozostałych Kamariańczyków, a ich chitynowe powłoki były nieco cieńsze i jaśniejsze, zbliżone kolorem do naturalnej barwy planety. Większość z nich spoczywała w charakterystycznej dla swego gatunku pozie, opierając tylną część tułowia na długim, wieloczęłkowym ogonie.

Lisstk, jeden z niewielu Badlanderów rozróżnianych spośród tłumu przez Hana, przybliżył się do rampy „Sokoła”. Lisstk należał do bardzo nielicznej grupy tubylców, która przybyła na pierwszy pokaz filmu, i od tego dnia co wieczór przychodził do amfiteatru. Sprawiał on na Hanie wrażenie przywódcy. Nieraz siedział na podkulonym ogonie, żywo gestykulując i wymachując pozostałymi dwiema przednimi kończynami. Jednak w bezbarwnych i prawie nieruchomych owadzych oczach Lisstika trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje.

Głowę Lisstika zdobił niezwykle amulet. Był to przepalony bezpiecznik, wyrzucony przez Chewbacce z wnętrza statku. Kamaryjczyk najwidoczniej odnalazł gdzieś ten przedmiot i teraz, umocowawszy go na skręconej przepasce, przyozdobił nim swą błyszczącą, okrągłą czaszkę. Lisstk posiadał znajomość paru podstawowych zwrotów w języku basic i chyba ten fakt zadecydował, że to on był przywódcą. Po raz kolejny zadał Hanowi pytanie, które przez te wszystkie wieczory stało się już niejako rytualnym. Głosem pełnym dziwnych, syczących dźwięków, zapytał:

— Czy obejrzymy dzisiaj — mak-tk-klp — pańskie filmy? Mamy q'mai.

— Oczywiście, czemu nie — odparł Han. — Połóżcie q'mai tam gdzie zawsze i zajmijcie miejsca. Pokaz zacznie się, gdy wszyscy już się zgromadzą.

Lisstk przytaknął i na znak zrozumienia klasnął dwoma środkowymi przegubami przednich kończyn, co zabrzmiało jak uderzenie pałeczką w cymbały. W chwilę później wydobył spod fałd chityny niewielki przedmiot owinięty w liść i położył go na płachcie rozpostartej przez Hana u stóp rampy. Uczyniwszy to, prędkimi skokami podążył w głąb

amfiteatru.

Inni podążyli jego śladem, składając na płachcie owinięte w liście dzieła lokalnej sztuki i inne, w ich mniemaniu cenne, drobiazgi. Czasami jeden Kamariańczyk oferował przedmiot, stanowiący bilet wstępu dla paru tubylców. Han nie sprzeciwiał się. Robił i tak niezły interes, i nie miało sensu wyciąganie od razu wszystkiego, czym dysponowali Kamariańczycy. Poza tym sprawiała mu przyjemność myśl, że w jakiś sposób przyczynia się do ucywilizowania tych istot.

Wśród ofiarowanych przedmiotów znajdowały się miejscowe, prymitywne instrumenty muzyczne, pięknie rzeźbione kamienie szlachetne, biżuteria wykonana z myślą o dziwacznej budowie anatomicznej Kamariańczyków, amulety, otwieracze do małży, wykute w szklanym, ostrym jak metal kamieniu, oraz czasem różaniec modlitewny. Zaraz na wstępie Han zabronił tubylcom przynoszenia owsianki z nocnych komarów, gotowanych karaluchów, smażonych skorpionów i innych lokalnych przysmaków. Teraz wziął do ręki pozostawione przez Lisstika zawiniątko, rozwinął je i pokazał zawartość Sonniadowi. Były to dwa niewielkie, niewypolerowane klejnoty i kawałek mlecznobiałego kryształu.

— Obawiam się, że tym sposobem nie bardzo się wzbogacisz, Solo — rzekł powątpiewająco Sonniad.

Han wzruszył ramionami, na powrót owijając kamyki.

— Zależy mi tylko na tym, by zebrać trochę grosza i zapłacić za naprawę „Sokoła”.

Sonniad jeszcze raz badawczo przyjrzał się statkowi. Han wołał, by statek nie wyglądał z zewnątrz na znakomicie uzbrojony i niezwykle szybki. Taka demonstracja siły mogłaby jedynie wzbudzić niepożądaną ciekawość i wścibstwo wszystkich uważających się za przedstawicieli prawa.

— Wydaje mi się, że twój statek jest w całkiem dobrym stanie — stwierdził Sonniad. — To przecież ten sam stary „Sokół”. Z zewnątrz wygląda jak kupa złomu, za to jak lata!

— Jest na chodzie i Chewbacca zdołał usunąć usterki kadłuba — objaśnił Han. — Ale podczas próby lądowania na Rampie nastąpiła awaria wewnętrznych obwodów. Przed przybyciem tutaj, na Badlandy, wymieniliśmy parę podstawowych komponentów, ale to nie wystarczy. A tutaj, na Kamarze, dostępne są jedynie systemy fluidowe.

Sonniad skrzywił się z niesmakiem.

— Fluidowe? Solo, przyjacielu, wolałbym już na oślep sterować swym statkiem. Dlaczego nie postaraliście się o jakieś przyzwoite obwody?

Han sposepniał:

— Widzisz, ta planeta jest bardzo odległa od innych, cywilizowanych systemów. Jej mieszkańców nadal cechuje nacjonalizm, a ich systemy obronne oparte są na rakietach nuklearnych typu eksplodującego. Na pewnym szczeblu rozwoju, nie wiadomo dokładnie pod wpływem jakiego wydarzenia, zrezygnowali z tradycyjnych obwodów i zaczęli stosować fluidowe. Obecnie jest to jedyny zaawansowany system, jaki mają do dyspozycji. Musieliśmy powymieniać adaptory „Sokoła”, aby móc zastosować gazowe i płynne komponenty. Nie cierpię tego systemu z całego serca i niedobrze mi się robi na samą myśl o tym, jak wyglądają teraz obwody „Sokoła”. Nie mogę się doczekać chwili, gdy będę mógł je wreszcie wymienić i zastąpić jakąś cywilizowaną aparaturą — wziął do ręki niewielką, wyrzeźbioną w czarnym kamieniu statuetkę i przez chwilę przyglądał się jej uważnie. — I myślę, że jeżeli wszystko będzie nadal szło po mojej myśli, nie powinno to trwać zbyt długo.

Położył statuetkę na mniejszym z dwóch stosów, leżących u stóp rampy. Większy z nich składał się z przedmiotów pokaźnej wielkości i stosunkowo niewielkiej wartości — instrumentów muzycznych, przedmiotów codziennego użytku, narzędzi do drażenia



tuneli, chitynowych drobiazgów, i przenośnych parawanów, czasami używanych przez Badlanderów. W mniejszym ze stosów zgromadzono wszystkie szlachetne kamienie, rękodzieła, i co cenniejsze narzędzia i przedmioty. Aż do dzisiejszego ranka zgromadzone w ciągu jedenastu wieczorów przedmioty poniewierały się po całym wnętrzu „Sokoła” i dosłownie każdy wolny skrawek powierzchni był nimi zavalony. Po południu, w czasie, gdy Chewbacca zajmował się naprawą statku, Han z pomocą Bolluxa wytaszczyli na zewnątrz wszystkie przedmioty, aby zorientować się, co udało im się zgromadzić, i dokonać choćby pobieżnego przeglądu zgromadzonych dóbr.

— Może masz rację — przytaknął Sonniod. — Badlanderzy zazwyczaj nie handlują w ten sposób. Są niezwykle zazdrośni o wszystko, co do nich należy. Jestem zdumiony faktem, że udało ci się tyle tutaj razem zgromadzić.

— Myślę że każdy lubi od czasu do czasu obejrzeć dobry film — odparł Han. — Zwłaszcza gdy mieszka na planecie takiej jak ta. W innym przypadku nie udałooby mi się zgromadzić tylu „skarbów” — spojrzał na ostatnią grupę Kamariańczyków, podążających w głąb amfiteatru. — Wspaniale, klienci! — westchnął z dumą.

— Co zamierzasz zrobić z większymi przedmiotami? — spytał Sonniod, podążając za Hanem ku arenie amfiteatru.

— Planujemy zorganizować wyprzedaż — oświadczył Han. — Bardzo korzystną wyprzedaż. Sądzę, że zdołamy wszystkiego się pozbyć. Obniżki dla stałych klientów i bardzo opłacalna wymiana: duże przedmioty w zamian za małe — potarł dłonią nieco zarosniętą szczękę. — Jeżeli Lisstik będzie chciał, mogę mu sprzedać nawet holoprojektor. Byłoby mi smutno, gdyby Holoteatr Hana Solo przestał istnieć.

— Robisz się sentymentalny. Mam zatem rozumieć, że nie jesteś zainteresowany pracą? Han spojrzał na niego badawczo.

— Jakiego rodzaju pracę masz na myśli? Sonniod pokręcił przecząco głową.

— Nie wiem dokładnie. We Wspólnym Sektorze chodzą słuchy, że jest jakaś praca dla niezależnego pilota. Nikt nie zna bliższych szczegółów i nie wymienia się w związku z tym żadnych nazwisk, ale słyszałem, że gdybyś się pojawił, nawiązano by z tobą kontakt.

— Nigdy dotąd nie pracowałem na oślep — odrzekł Han.

— Ani ja. Dlatego też sam się tym nie zainteresowałem. Pomyślałem jednak, że twoja obecna sytuacja zmusi cię do rozważenia tej propozycji. Cieszę się jednak szczerze, że tak nie jest. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. No, ale swoje zrobiłem i przekazałem ci informację.

Sprawdzając, czy holoprojektor jest prawidłowo ustawiony, Han skinął głową.

— Dzięki, ale nie martw się o nas, najgorsze już chyba za nami. Zastanawiam się nawet, czy nie wynająć kilku holoprojektorów i nie oddać ich w dzierżawę tubylcom, a samemu zgarniać tylko pieniądze. Byłby to taki niewielki, dodatkowy interes.

— A propos — rzekł Sonniod. — Jaki film pokazywałeś im dotychczas?

— To epos przygodowy „Varn — Wodne Królestwo”. Wiesz, taka bajka o życiu rybaków, poławiaczy pereł na archipelagach, pełna scen z podwodnego świata, walki na śmierć i życie z olbrzymimi ośmiornicami, krabami, i inne tego typu bzdury. Chciałbyś posłuchać listy dialogowej? Znam ją na pamięć.

— Nie, dziękuję — odparł Sonniod, w zamyśleniu marszcząc czoło — Zastanawiam się, jaka będzie ich reakcja na nowy film.

— Będą zachwyceni! — odparł Han. — Tańce, śpiew, będą klaskali do rytmu!

— Solo, przypomnij mi, jakiego słowa użył Lisstik w odniesieniu do „wejściówki”?

— „Q'mai” — odparł Han, dokonując ostatnich dopasowań holoprojektora. — Nie mają odrębnego słowa na „wejściówkę”, ale udało mi się jakoś dogadać z Lisstikiem i

stwierdziłem, że q'mai najlepiej oddaje sens tego słowa. A dlaczego pytasz?

— Słyszałem to słowo wcześniej, właśnie tutaj, na Kamarze. — Widząc, że za chwilę zacznie się pokaz, Sonniod przestał się jednak nad tym zastanawiać. Równomierne buczenie holoprojektora przygłuszyło wszystkie inne odgłosy.

Badlanderzy, dotychczas głośno rozmawiający we własnym języku, ucichli i znieruchomieli.

„Oczekiwanie na miłość” było filmem standardowym. Zaczynał się on bez czołówki ani tytułu, poprzedzony jedynie numerem porządkowym. Han pomyślał, że w zasadzie było to bez znaczenia, gdyż litery, pismo i cyfry były całkowicie nieznane w tych rejonach wszechświata. Zastanawiał się, jak tubylcy zareagują na ludzką choreografię i muzykę, których nie mieli okazji podziwiać w „Varnie-Wodnym Królestwie”.

Po chwili na ekranie ukazał się smutny, melancholijny bohater, opuszczający właśnie transportowiec i udający się do pracy na statku remontowym. Rozległa się lekka, dyskretna muzyka, co jednakże wprawiało zgromadzonych w wyraźne zakłopotanie. Odgłosy rozmów stawały się z każdą sekundą coraz głośniejsze i nie ustały nawet wówczas, gdy główny bohater zaczął się sposobić do odśpiewania pierwszego songu.

Zanim jednak zdążył odśpiewać choćby pierwszą zwrotkę, hałas stał się tak donośny, że zupełnie zagłuszył muzykę. Spośród licznych okrzyków Han parokrotnie wyłowił imię Lisstika. Podkreślił nieco głośność, mając nadzieję, że tłum się uspokoi, i jednocześnie gorączkowo zastanawiał się nad tym, co było przyczyną tak dziwnego zachowania tubylców.

Sporej wielkości kamień, ciśnięty przez jednego z Kamariańczyków przeleciał tuż obok Hana i z hukiem uderzył w holoprojektor. W blasku rzucanego przez holoprojektor słabego światła widzieli rozwścieczony tłum wymachujących przednimi kończynami tubylców. Ich oczy jarzyły się w ciemności różnorodnymi blaskami.

Kolejny kamień uderzył w holoprojektor. Han aż podskoczył z wrażenia, unikając dzięki temu trafienia ledwie co ogryzioną kością, która minęła go dosłownie o milimetry.

— Solo... — zaczął Sonniod, jednak Han nie słyszał go. Dostrzegłszy w tłumie Lisstika, pognął w jego kierunku.

— Do diabła, co się tutaj dzieje?! Każ im się natychmiast uspokoić! Bądźcie cierpliwi, ten film jest naprawdę ciekawy!

Wszelkie dyskusje z Lisstikiem były jednak bezcelowe. Kamariańczyk, otoczony zwartym kordonem rozwścieczonych współziomków, wymachujących kończynami i ogonami i czyniących przy tym niesamowity rwetes, nie był zdolny do jakiegokolwiek interwencji. Jeden z otaczających go współplemieńców doskoczył doń, zdzierając z jego głowy opaskę z przepalonym bezpiecznikiem-amuletem. Cały amfiteatr wypełnił się odgłosami burzliwych dyskusji, sprzeczek i kłótni.

— O, Boże — jęknął Sonniod — Solo, właśnie sobie przypominałem, co dokładnie znaczy q'mai — słyszałem to słowo w północnej części planety. „Q'mai” nie znaczy „wejściówka”, w ich języku to słowo oznacza „dary”. Prędko, pośpiesz się! Gdzie jest ten drugi film, który puszczałeś przez te wszystkie wieczory?

Tłum rozwścieczonych tubylców z wolna otaczał szczelnym kordonem holoprojektor. Dłoń Hana powędrowała ku pistoletowi.

— Na pokładzie „Sokoła”. Dlaczego pytasz? O czym ty w ogóle mówisz?

— Czy ty naprawdę nie myślisz? Wyświetlałeś im film, pokazujący świat, na którym jest tyle wody, że nigdy nie byli sobie w stanie nawet tego wyobrazić, świat na którym żyją nieznane, fascynujące istoty. Głupcze, przecież ty nie założyłeś kina, ty stworzyłeś religię!

Han wciągnął głęboko powietrze.

— Do diabła, skąd mogłem wiedzieć?! Jestem zwykłym pilotem, a nie wysłannikiem bogów!

Pociągnawszy Sonnioda za rękaw, dał mu znak do wycofania się. Z góry dobiegł ich ostrzegawczy ryk Chewbacca, zaś na ekranie holoprojektora główny bohater i jego towarzysze pochłonięci byli wykonywaniem jakiegoś akrobatycznego tańca.

Stojący w bezpośredniej bliskości Badlanderzy, widząc zdesperowany wzrok Hana, cofnęli się nieco przed postępującymi w ich kierunku mężczyznami. Paru odważniejszych Kamariańczyków zaatakowało holoprojektor, uderzając weń kijami, kamieniami, i wszystkim, co im wpadło w ręce. Maszyna zaczęła się chwiać na wszystkie strony, a obraz na ekranie uległ zakłóceniom. Widząc to, kilku co bardziej agresywnych wandalów ruszyło w kierunku Hana.

Czując instynktownie, że nawet zwrócenie q'mai nie uspokoi wzburzonego tłumu niedawnych „wyznawców”, Han wyszarpnął pistolet i nacisnął spust, celując w ziemię. Wystrzał spowodował eksplozję piaszczystej ziemi i odłupanie paru niewielkich kawałków twardej skały. Han wystrzelił jeszcze dwukrotnie — na prawo i lewo — z zamiarem przestraszenia napastników. Strzały Hana osadziły Badlanderów w miejscu. Ich ogromne oczy nieruchomo wpatrywały się w szkarłatne promienie, a górne kończyny odruchowo osłaniały głowy. Han uznał, że chwilowe oszołomienie Kamariańczyków powinno dać im dość czasu na dotarcie do statku.

— Poczekaj tam na nas! — krzyknął do kryjącego się w ciemnościach Chewbacca — Grzej silnik!

Tymczasem tłum dokonywał dzieła zniszczenia holoprojektora. Syntetyzator dźwięku wydawał z siebie już tylko charkliwe odgłosy. Na ekranie od czasu do czasu ukazywały się pojedyncze, zamazane obrazy.

Han wycofywał się po kroku, uważnie obserwując Kamariańczyków. W pewnej chwili zauważył, że Lisstik wynurza się z ciemności i z furią rzuca się na holoprojektor.

— Wygląda na to, że najwyższy kapłan postanowił zerwać z kościołem — zakpił Sonniod. Lisstik, oderwawszy jeden z elementów tablicy kontrolnej, zamachnął się i cisnął nim w Hana, wydając jednocześnie serię wrogich okrzyków.

Rozwścieczony Han przestał panować nad sobą.

— Oczekujesz przedstawienia? Będziesz je miał, mały parszywco! — Wypalił w kierunku holoprojektora. Czerwona wiązka promieni dosięgła urządzenia, skąd po chwili dobiegły ich odgłosy krótkiej, wtórnej eksplozji.

Nagle z uszkodzonego syntetyzatora dobył się przeraźliwy ryk — zwielokrotnione okrzyki, piski, wrzaski i wycia o nateżeniu, jakiego dotychczas Han nie słyszał. Cały amfiteatr zadudnił nowymi, nie znanymi Kamariańczykom dźwiękami. W odpowiedzi tłum zawył i w panice rzucił się do ucieczki.

Han i Sonniod korzystając z okazji biegiem rzucili się w kierunku „Sokoła Tysiąclecia”. Zanim jednak zdążyli dopaść do statku, usłyszeli odgłosy zbliżającej się pogoni.

Nie wszyscy tubylcy ulegli panice. Han obrócił się i parokrotnie wystrzelił na oślep w powietrze i w ziemię. Wciąż unikał zabijania niedawnych klientów i postanowił, że uczyni to dopiero w chwili, gdy zagrożone będzie jego życie.

Gdy dobiegli do rampy „Sokoła”, ujrzeli, że Chewbacca przygotował już maszynę do lotu. Z dysz wylotowych statku dobywały się kłęby fioletowego dymu, a temperatura powietrza znacznie wzrosła. W tej samej chwili ciśnięty z wnętrza statku kamień poszybował gdzieś w ciemność, powstrzymując na chwilę rozjuszonych tubylców.

Dotarli w końcu do rampy. Sonniod pędem wbiegł do środka, zaś Han przystanął na chwilę i pochyliwszy się nad stertą co cenniejszych q'mai, usiłował uratować choć parę sztuk z nieodwracalnie utraconych przedmiotów. Spory kamień, ciśnięty dla odmiany

przez któregoś z tubylców, uderzył w burtę „Sokoła”, zaś wyjący tłum z każdą chwilą był coraz bliżej.

— Solo, przędj! — ponaglił Hana Sonniód. Prostując się Han ujrzał, że tubylcy szczelnym kręgiem otoczyli statek. Wystrzelił ostrzegawczo w ich kierunku, ale teraz nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wycofując się w kierunku wejścia, Han strzelił jeszcze dwukrotnie i padł trafiony sporym odłamkiem skały. Na czworakach wczołgał się do wnętrza statku. Gdy główny właz został zamknięty, w korytarzu ukazał się wykrzywiony z wściekłości Chewbacca.

— Jak mogłem przewidzieć, że coś takiego się stanie! — krzyknął Han. — Przecież, do diabła, nie jestem jasnowidzem! Szybko, startuj i skieruj „Sokoła” w kierunku statku Sonnióda! — Chewbacca na powrót skrył się wewnątrz sterowni, a Sonniód pomógł Hanowi unieść się z kolan.

— Nic się nie martw — rzekł Solo. — Zdązysz wystartować, zanim te dzikusy spostrzegą, co się dzieje, i dotrą do twojego statku.

— Ale co się stanie z tobą i Wookiem? — spytał Sonniód. Statek z lekka zachwiał się, uniósł z ziemi, i poszybował w kierunku zaparkowanego opodal pojazdu Sonnióda. — Na twoim miejscu nie ryzykowałbym powrotu tutaj.

— Myślę że nie mamy wyboru. Udamy się z powrotem w obszar Wspólnego Sektora — westchnął Han. — I spróbujemy wywachać, czy nie znajdzie się tam dla nas jakaś praca. Mam nadzieję, że do tej pory zdążyli już o nas zapomnieć.

Sonniód z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Spróbuj się zorientować, co to za robota, zanim ją weźmiesz — odparł. — Nikt nie wie dokładnie, na czym ma ona polegać.

— W tej chwili nie mogę pozwolić sobie na grymasy. Będę musiał ją wziąć — rzekł Han z rezygnacją. Z głębi kokpitu dobiegło donośne pohukiwanie Chewbacca.

— On ma rację — dorzucił Han. — Spokojne życie nie jest nam pisane.

## ROZDZIAŁ II

„Sokół Tysiąclecia”, przemierzający bezkresne przestrzenie Galaktyki, sprawiał wrażenie statku widma, jak stary, dawno zapomniany „Odkrywca Permondiri”, czy legendarna „Królowa Ranroon”. Otoczony kłębamii fosforyzującego dymu i strumieniami świetlistej energii, statek przypominał wielobarwną ilustrację książki dla dzieci.

Wlecieli właśnie w głąb atmosfery Lura, planety położonej niedaleko granic Wspólnego Sektora. Silnie zjonizowana warstwa atmosfery planety sprawiła, że „Sokoła” otoczyła aureola iskrzących promieni i eksplodujących ładunków elektrycznych. Ta burza i pęd powietrza sprawiły, że nawet wewnątrz statku panował trudny do wytrzymania hałas, a widoczność spadała prawie do zera.

Han i Chewbacca wpatrywali się uważnie we wskaźniki kontrolne, pragnąc za wszelką cenę zorientować się w położeniu statku i sytuacji, w jakiej się znaleźli. Chewbacca pochrząkiwał z irytacją, jednocześnie bacznie obserwując wszelkie, choćby najmniejsze wahnięcia wskazówek systemów kontrolnych.

Han był równie zdezorientowany.

— Skąd mam wiedzieć, jak gruba jest warstwa zjonizowana? Instrumenty oszalały w tej burzy. Nie jestem w stanie temu zaradzić! — ponownie pochylił się nad swoją częścią konsoli.

W odpowiedzi Wookie warknął coś ostrzegawczo. Tuż za jego plecami, z fotela nawigatora, rozległ się spokojny głos Bolluxa:

— Kapitanie Solo, zapalił się jeden ze wskaźników. Wydaje mi się, że nastąpiła awaria w nowym systemie kontrolnym.

Nie odrywając wzroku od przyrządów, Han rzucił siarczystą wiązką przekleństw, po czym uspokoił się nieco.

— To przez te cholerne fluidy! Wspaniale! Chewie, pamiętasz, mówiłem ci, że będziemy mieli kłopoty, no nie?

Wookiee uniósł potężną, włochatą łapę, nakazując Hanowi spokój.

— Z czym masz kłopoty? — zapytał Han Bolluxa. Receptory robota wniknęły w głębię systemu kontrolnego, sprawdzając wskaźniki umiejscowione w sąsiedztwie obwodów fluidowych.

— Z systemem awaryjnym statku, kapitanie. Zwłaszcza z aparaturą celowniczą.

— Sprawdź, czy możesz jakoś temu zaradzić, Bolluxie. Tylko tego nam brakuje, aby „Sokół” utracił zdolność samoobrony. Idź do maszynowni i sprawdź, co da się zrobić.

Gdy tylko Bollux wygramolił się z fotela i opuścił sterownię, Han postanowił na razie zapomnieć o sprawie i nie zaprzętać sobie nią głowy.

Chewbacca zaryczał radośnie; w końcu udało mu się uzyskać pozytywne odczyty. Han przechylił się w fotelu i rzuciwszy okiem na konsolę Wookiego stwierdził, że najprawdopodobniej wynurzali się już z warstwy zjonizowanej. Zmniejszył prędkość statku, gdyż na przekór wskazaniom instrumentów obawiał się, że strefa jonizacji może sięgać nawet powierzchni planety. W takim przypadku nie uniknęliby fatalnej w skutkach kolizji.

Ci, którzy wynajęli „Sokoła” na ten kurs, ani słowem nie wspomnieli o warstwie zjonizowanej i czekających ich w drodze niespodziankach. Po przybyciu w granice Wspólnego Sektora, Han skontaktował się z paroma pośrednikami, oferując swoje usługi i dyskrecję. Zgodnie z przewidywaniami Sonnioda, oczekiwanie na pracę nie trwało zbyt długo.

Wkrótce otrzymali anonimową taśmę magnetofonową z nagraniem instrukcjami i niewielką zaliczkę. Będąc po uszy w długach i nie dysponując żadną gotówką, nie mieli wyboru i ignorując ostrzeżenia Sonnioda, przyjęli zlecenie.

Czy naprawdę jestem głupi od urodzenia, czy też głupieję z wiekiem? — zastanawiał się Han, zniechęcony dotychczasowymi trudami podróży. Jednak właśnie w tym momencie zarówno burza, jak i warstwa zjonizowana zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. „Sokół” przelatował teraz przez czyste, spokojne warstwy atmosfery Lura. Daleko w dole widoczna była powierzchnia planety, wysokie szczyty górskie, wznoszące się ponad niską, skłębioną warstwą chmur. Kolejny wskaźnik na tablicy „Sokoła” rozbłysnął czerwonym światłem. Sensory dalekiego zasięgu wybrały miejsce odpowiednie do lądowania.

Han włączył automatycznego pilota i pochylił się nad tablicą rozdzielczą.

— No, myślę, że znalazły nam nie najgorsze lądowisko — stwierdził z satysfakcją.

— Rozległy płaskowyż pomiędzy tymi dwoma niższymi szczytami — oświadczył — to chyba pole lodowe. — Nacisnął przycisk na hełmofonie i rzekł do mikrofonu interkomu:

— Bolluxie, podchodzimy do lądowania. Zostaw to, co robisz, i przygotuj się.

Skorygowany lot statku skierował maszynę na miejsce lądowania. Sensory sterowania naziemnego nie stwierdziły obecności żadnych przeszkód czy zagrożeń, jednak Han wolał nie ryzykować, podejrzewając, że wskutek burzy elektrycznej aparatura mogła ulec jakiejś awarii.

Zanurzyli się w warstwie chmur, włączając jednocześnie ekrany ochronne. Sensory wydawały się funkcjonować normalnie. Otrzymywali na bieżąco dokładne informacje na temat wysokości i położenia statku. Widoczność była wystarczająca do bezpiecznego

ładowania. Teraz, z bliska, powierzchnia Lura jawiła się jako bezkresna równina, omiatana odwiecznymi wichurami.

„Sokół” bardzo powoli tracił wysokość, gdyż Han obawiał się, by jego podwozie nie ugrzęzło w wielometrowej warstwie kopnego śniegu. Szczęściem natrafili na twarde podłoże i dopiero teraz sensory ujawniły to, co Han podejrzewał już wcześniej: że wylądowali na polu lodowym.

Han ściągnął hełmofon, rękawice i odpiął pas, którym przymocowany był do fotela. Uniósł się z miejsca, po czym spojrzawszy na Wookiego, rzekł:

— Zostań tutaj i miej oko na wszystko. Idę opuścić rampę i zorientować się, co z tym ładunkiem. — Za pustym fotelem nawigatora leżało zawiniątko, które teraz Han uniósł i zarzucił sobie na ramię.

Kierując się ku rampie statku, natknął się na Bolluxa. Robot wychodził właśnie z maszyny. Kłapa na jego piersiach była otwarta, a Błękitny Max wspomagał Bolluxa w pracy.

— Co z tym uszkodzeniem? — zapytał Han. — Daliście sobie radę?

Bollux stanął na baczność.

— Obawiam się, że nie, kapitanie Solo, chociaż udało nam się wykonać prowizoryczną naprawę, zanim wysiadł ostatni moduł zabezpieczający. Wyłączyliśmy więc cały system, gdyż jego naprawa przekracza nasze możliwości.

— Żaden technik nie poradzi sobie z tymi fluidami, kapitanie — zaszczębiotał Błękitny Max. — Przydałby się raczej cholerny hydraulik — w głosie komputera zabrzmiała ledwie skrywana ironia.

— Dobrze, porozmawiamy o tym później. I uważaj, jak się wyrażasz, Max. To, że ja tak mówię, nie upoważnia cię do naśladowania. Zostawcie to na razie tak jak jest. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, zarobimy na tym kursie tyle, że będzie nas stać na wymianę całego systemu. Bollux, chodź ze mną, musimy wnieść ładunek, a nie chciałbym, abyś odstraszył mi klientów. Nie obraż się, Max, ale niektórzy ludzie właśnie tak na ciebie reagują.

— W porządku, kapitanie — odparł posłusznie Max, gdy zasuwy na piersiach Bolluxa domykały się. Han stwierdził, że mimo swej wrodzonej niechęci do robotów, zdołał jakoś przyzwyczaić się do Bolluxa i Maxa. Nie mógł jednak pojąć, jakim cudem te dwa diametralnie różne mechanizmy tak dobrze się rozumiały i współpracowały ze sobą. Dumając nad tym, Han rozsypał przyniesione z kabiny zawiniątko — kombinezon termiczny, a następnie ubrał się. Zanim jednak nałożył grube rękawice, wyjął pistolet i odbezpieczył broń.

Nałożył hełm z odblaskową przesłoną na oczy i nacisnął przycisk termostatu, uruchamiając system grzewczy kombinezonu.

— Bądź w pobliżu — rozkazał Bolluxowi. — Na wypadek, gdybym potrzebował pomocy przy ładunku.

— Czy mógłbym zapytać, jakiego rodzaju ładunek będziemy przewozić, kapitanie?

— odparł Bollux, jednocześnie otwierając tajną skrytkę pod pokładem.

— W tej chwili możesz się najwyżej domyślać, tak jak i ja — Han wskazał ręką na przycisk wjazdu. — Nikt mnie o tym nie poinformował, a ja nie miałem prawa pytać. Spodziewam się tylko, że nie będzie to nic dużego.

Zasuwa uniosła się i do wnętrza statku wdarł się podmuch lodowego wiatru. Przekrzykując wichurę, Han zawołał:

— Niezbyt ciepłe przyjęcie, no nie?

Podążyli w dół rampy, z trudem pokonując opór wiatru. Przez chwilę Solo zastanawiał się, czy nie cofnąć się po aparat tlenowy, ale doszedł do wniosku, że nie będzie przebywał

na zewnątrz zbyt długo. Płatki śniegu odbijały się od jego hełmu, ograniczając pole widzenia. Przyciąganie na planecie różniło się nieco do standardowego, nie na tyle jednak, by poruszanie się było utrudnione.

Zeskoczywszy z rampy, Han dostrzegł, że wokół wsporników zdążyły się już uformować niewielkie zaspas śnieżne. Wokół panowała całkowita pustka. Planeta sprawiała wrażenie bezludnego, lodowego świata. Wolnym krokiem Han przybliżył się do nadajnika sygnału namiarowego i przyjrzał mu się badawczo. Był to standardowy model, przeznaczony do użytku w miejscach pozbawionych skomplikowanej nawigacyjnej i radarowej aparatury. Nieco przytłumiony, dobiegający z tyłu głos, natychmiast osadził go w miejscu.

— Solo?

Han odruchowo sięgnął ręką do kabury, chwytając kolbę pistoletu. W tej samej chwili z szalejącej śnieżycy wynurzył się mężczyzna, tak jak i Han odziany w kombinezon termiczny. Biel kombinezonu i odblaskowy hełmofon czyniły go prawie niewidocznym na tle lodowca.

Człowiek zbliżył się, unosząc w górę ręce. Han dostrzegł zarysy paru innych sylwetek, wyłaniających się z zawiei.

— Tak, to ja — odparł dziwiąc się, jak bardzo hełm zmienia brzmienie głosu — Czy to ty jesteś... Zlarb?

Przybysz skinął głową. Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o niezwykle białej karnacji skóry, jasnej, złoto-blond brodzie i szarych oczach, które badawczo wpatrywały się w Hana. Nie spuszczać wzroku z pilota, Zlarb uśmiechnął się szeroko.

— Zgadza się, kapitanie. Możemy przystąpić do załadunku.

Han usiłował dostrzec cokolwiek za śnieżną kurtyną, rozciągającą się za plecami Zlarba. — Czy jest was tylu, że wystarczy do przeniesienia ładunku? Mam na pokładzie podręczny przenośnik i mógłbym... Czy chcesz, abym po niego poszedł?

Zlarb spojrzał na Hana nieprzeniknionym wzrokiem, po czym ponownie się uśmiechnął.

— Nie. Myślę, że damy sobie radę bez problemów. Coś w zachowaniu mężczyzny, jego ironiczny uśmiech i sardoniczny ton odpowiedzi sprawiły, że Hana ogarnął niepokój. Już dawno temu nauczył się ufać przecuciom. Spojrzał na niewyraźny zarys „Sokoła”, żywiąc nadzieję, że Chewbacca zachował czujność, a statek jest gotowy do startu. Z reguły nie mieli nigdy kłopotów przy załadunku towarów. Do nieprzyjemnych niespodzianek dochodziło tylko czasami podczas rozładunku i zapłaty. Coś mu jednak mówiło, że tym razem może być inaczej.

Han cofnął się o krok i spojrzał Zlarbowi prosto w oczy.

— W takim razie pójdę przygotować statek do startu. — Chciał zadać mężczyźnie kilka pytań, postanowił jednak jeszcze chwilę z tym poczekać. — Przenieście ładunek na rampę, a my wniesiemy go stamtąd do ładowni.

Zlarb uśmiechnął się nieszczercze.

— Nie, Solo. Sądzę, że będzie lepiej, jeżeli razem udamy się na pokład twego statku, i to zaraz.

Han zamierzał właśnie poinformować mężczyznę, że z zasady nie odbywa tego typu spotkań na pokładzie, gdy zauważył, że dłoń rozmówcy otwiera się, odsłaniając niewielki pistolet, dotychczas ukryty w rękawicy termicznej. Przez ułamek sekundy Han zastanawiał się, czy nie sięgnąć po własny, doszedł jednak do słusznego wniosku, że zanim by to zrobił, leżałby martwy na śniegu.

Migające światła lądowiska odbijały się w przesłonie hełmu Zlarba, nadając mężczyźnie nieco złowrogi wygląd.

— Trzymaj ręce z dala od kabury, Solo, i stój plecami do statku, tak, aby twój partner cię nie widział. Żadnych niepotrzebnych ruchów. Słyszałem to i owo na temat twojej

biegłości w posługiwaniu się bronią, więc wolę nie ryzykować i będę od razu strzelać. Wyszarpnąwszy z kabury pistolet Hana, zatknął go sobie za pas.

— A teraz ruszamy. Trzymaj ręce opuszczone wzdłuż tułowia i nie próbuj ostrzec Wookiego — obrócił się ku towarzyszom, dłonią wskazując im „Sokoła”. Han pomyślał z goryczą, że z większej odległości wyglądało to na zwykły grzecznościowy gest.

Podczas drogi Han usiłował zorientować się w sytuacji. Ci ludzie dobrze wiedzieli, co robią. Postępowali zgodnie z wcześniejszym planem. Gotowość użycia broni przez Zlarba i jego towarzyszy dobitnie świadczyła o tym, że przybysze grali o wysoką stawkę.

W miarę przybliżania się, kadłub „Sokoła Tysiąclecia” stawał się coraz bardziej wyraźny. — Żadnych gwałtownych ruchów, Solo — ostrzegł Zlarb. — Nie próbuj nawet zmarszczyć nosa, bo zginięsz na miejscu.

Han musiał przyznać, że Zlarb sprytnie to wszystko zaplanował, chociaż zapomniał pomyśleć o jednym. Solo i Chewbacca już dawno temu opracowali tajny kod wzajemnego ostrzegania podczas załadunków i rozładunków: wystarczyło, by Han nie wypowiedział umówionego „wszystko w porządku” podczas wchodzenia na pokład, by Chewbacca natychmiast zorientował się w sytuacji.

Mimo wyjącego i świszczącego wiatru usłyszeli warkot pracujących silników. Zwykle ukryte działa „Sokoła” ukazały się teraz w pełnej krasie, w każdej chwili gotowe do bluznięcia ogniem.

Ale zanim to nastąpiło, Zlarb w ułamku sekundy wyrwał zza pasa odebrany Hanowi pistolet i doskoczył do pilota, przysuwając lufę do jego skroni. Obydwaj świetnie widzieli Chewbaccę, który przycisnął pysk do szyby, obserwując całą scenę. Lewe ramię Wookiego wyciągnięte było lekko w bok, nieco poniżej konsoli. Han doskonale wiedział, że dłoń przyjaciela znajduje się dosłownie o parę milimetrów od dźwigni, uruchamiającej obronę „Sokoła”. Pragnął krzyknąć: „Uciekaj! Unieś statek!”, jednak Zlarb przewidział również i to.

— Ani słowa, Solo! Milcz, bo będzie po tobie! — Han ani przez chwilę nie wątpił, że przeciwnik nie blefuje.

Zlarb gestem nakazał Wookiemu opuszczenie pokładu statku, niedwuznacznie wskazując ruchem przyłożonego do głowy Hana pistoletu, co się stanie, jeżeli ten nie zastosuje się do jego rozkazu. Han, doskonale znający przyjaciela, odczytał kolejno na jego twarzy uczucia niezdecydowania, a potem rezygnacji. W chwilę później sylwetka Wookiego zniknęła im z oczu.

Han wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo. W odpowiedzi Zlarb pchnął go lufą pod żebro.

— Oszczędź sobie tego. — Twoje szczęście, że on posłuchał. Jeżeli nadal będziecie tacy grzeczni, może uda wam się wyjść z tego z życiem.

Zbliżyło się do nich dwóch ludzi Zlarba. Jeden z nich był człowiekiem, ale wyjątkowo antypatycznym, drugi humanoidem — potężnym stworem wzrostu i postury Wookiego, z niewielkimi, świdrującymi oczkami, ginącymi pod masywnymi łukami brwiowymi. Skóra humanoida była brązowa, błyszcząca jak wypolerowana, a jego czoło wieńczyła para zakrzywionych, spiczastych rogów. Mimo bardzo niskiej temperatury, humanoid znakomicie obywał się bez kombinezonu termicznego i hełmu.

Jednakże to towarzyszący mu człowiek przyciągnął uwagę Hana. W jednej z dłoni mężczyzna trzymał smycz, na której przywiązany był nasztak — jedno z żyjących na Dra III zwierząt myśliwskich. To dziwaczne stworzenie miało sześć silnych, sprężystych nóg, z których każda zakończona była ostrymi jak diamenty pazurami. Z zięjącej parą paszczy zwierzęcia ściekała ślina, a z przekrwionych dziąseł wyrastały ostre, potrójne rzędy zębów. Długi, ruchliwy ogon nasztaka bezustannie poruszał się we wszystkie strony.



Do czegoż, u diabła, potrzebny im nasztak?, pomyślał Han. Zwierzęta te były wyjątkowo żądne krwi, nieustraszone i zdolne do zaatakowania każdego stworzenia, człowieka czy zwierzęcia. Jego obecność mogła wskazywać na to, że nieznajomi byli kłusownikami, chociaż z drugiej strony zwykli kłusownicy nie angażowaliby się w takie przedsięwzięcie. Han osobiście gardził kłusownikami i stosowanymi przez nich metodami, ale przecież mogli być oni, tak jak i on sam, najemnikami wynajętymi przez Zlarba w nieznanym jeszcze celu.

Z wjazdu „Sokoła” wyłonił się Chewbacca. Gdy tylko nasztak wyczuł zapach Wookiego, wściekle szarpnął smyczą, zaczął wyć, skamleć i skowyczeć, za wszelką cenę usiłując zerwać się ze smyczy. Chewbacca obrzucił go obojętnym wzrokiem i uniósł nieco gotową do strzału kuszę.

Zlarb pchnął Hana w kierunku rampy i kryjąc się za jego plecami ruszył z miejsca. Gdy byli już blisko wejścia, odezwał się do Chewbacca:

— Odlóż natychmiast broń i odwróć się tyłem, jeżeli miłe ci życie przyjaciela. — Pomiędzy łopatkami Han poczuł znajomy ucisk lufy.

Chewbacca przez chwilę ważył w myślach słowa Zlarba, po czym nie widząc na razie żadnej możliwości udzielenia pomocy przyjacielowi, zastosował się do rozkazu. Tymczasem Han gorączkowo rozważał możliwości kontrataku. Wiedział, że teoretycznie istnieją pewne szanse unieszkodliwienia Zlarba, ale pozostali dwaj członkowie gangu, również uzbrojeni, byli tuż za nim. Poza tym pozostawał jeszcze nasztak. Rozważywszy w myślach wszystkie za i przeciw, Han postanowił chwilę poczekać.

Gdy dotarli do szczytu rampy, Zlarb brutalnie pchnął Hana, po czym schylił się i podniósł kuszę Chewbacca.

Wookie podtrzymał upadającego przyjaciela i pomógł mu utrzymać się na nogach. Korzystając z okazji, Han zerwał z głowy hełm i odrzucił go na bok. Prędko rozejrzał się dookoła, dostrzegając Bolluxa ukrytego w miejscu, w którym go zostawił. Robot wydawał się wrośnięty w pokład.

Ludzie Zlarba weszli za nim na pokład, prowadząc ze sobą nasztaka. Zwierzę wściekle drapało pazurami. Jego właściciel z trudem powstrzymywał je przed atakiem na Wookiego. Han zastanowił się, czy było to spowodowane zapachem Wookiego, czy też Chewie wykazywał podobieństwo do jakiegoś naturalnego wroga zwierzęcia?

Zlarb zwrócił się w kierunku mężczyzny, trzymającego na smyczy nasztaka:

— Idź i powiedz pozostałym, żeby się pospieszyli, a my już tutaj wszystko przygotujemy.

— Odwróciwszy się ku Hanowi, rozkazał: — Otwórz główną ładownię, zaraz zaczniemy załadunek. Jeżeli ten spróbuje się ruszyć, strzelaj bez uprzedzenia — polecił na koniec współnikowi, wskazując Wookiego.

Zlarb pchnął Hana w głąb statku, trzymając się przez cały czas krok za nim i bacznie obserwując ruchy pilota. Posuwali się wzdłuż głównego korytarza, kierując się ku ładowni „Sokoła”. Han pociągnął za dźwignię wejściową i drzwi odsunęły się powoli. Ładownia nie była zbyt duża, ale pojemna, wyposażona w system chłodząco-grzejny, niezbędne narzędzia i urządzenia podtrzymujące.

Rozejrzawszy się dookoła, Zlarb skinął głową z zadowoleniem:

— W porządku, Solo — rzekł. — Powinno wystarczyć nam miejsca. Zostaw ładownię otwartą i wracajmy do pozostałych.

Dołączył do nich kolejny współnik Zlarba. Ten trzymał w rękach potężny karabin, celując wprost w Wookiego. Mężczyzna prowadzący nasztaka przesunął się nieco w głąb korytarza statku, kierując się ku sterowni. Zlarb, wskazując na pakunek trzymany przez humanoida, zapytał:

— Czy masz tam wszystko, czego potrzebujesz, Wadda? Wadda potwierdził skinieniem

głowy. Ujrzawszy nieruchomego Bolluxa, Zlarb rozkazał:

— Po pierwsze, wyłącz robota. Nie chcę, aby się tutaj kręcił, mógłby narobić nam kłopotów.

Bollux chciał zaprotestować, ale ujrzawszy wymierzone w siebie lufy karabinów, zamilkł. Wadda zrzucił z ramion pakunek i rozwinął go. Czerwone fotoreceptory Bolluxa spojrzwały na Hana wyczekująco.

— Kapitanie Solo, co...

— Milcz — rzucił Han, zdając sobie sprawę z tego, że ludzie Zlarba nie zawahają się przed zniszczeniem robota, gdyby ten usiłował się sprzeciwić. — To nie będzie długo trwało. Bollux spojrział najpierw na Hana, później na Chewbacę i Zlarba, po czym znów na Hana. Wadda podszedł do robota i zaczął manipulować przy jego tablicy sterującej. Robot wydał z siebie przeciągły świst, po czym dookoła rozszedł się swąd dymu. Bollux drgnął szpatykacyjnie i w chwilę potem jego fotoreceptory zgasły. Robot został pokonany. Zadwolony z tak łatwego zwycięstwa, Zlarb odwrócił się do swoich ludzi.

— No dalej, do roboty! — ponaglił.

Hanowi kazano stanąć obok Chewbacca. Mężczyzna ze strzelbą i ten trzymający nasztaka nie spuszczali ich z oczu, a Wadda pospieszył w dół rampy, która aż zadudniła pod jego ciężkimi krokami.

— Słuchaj, Zlarb... — zaczął Han. — Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, abyś nas wtajemniczył w swoje zamiary?

Przerwał, poczuwszy wibracje rampy i odgłosy lżejszych kroków. Już po chwili zrozumiał, co się naprawdę wydarzyło i w jak niebezpiecznej sytuacji znaleźli się razem z Chewbaccą.

Grupa niewielkich, drobnych postaci, z beznadziejnie opuszczonymi głowami wchodziła po rampie na pokład „Sokoła”. Byli to niewątpliwie mieszkańcy planety Lur. Najwyższy z nich sięgał Hanowi co najwyżej do pasa. Ciała tubylców okryte były białym futrem, a ich stopy osłonięte dziwaczными skózanymi onucami. Zielononiebieskie, ogromne oczy przybyszów ze zdumieniem przepatrywały wnętrze „Sokoła”.

Na szyi każdego z nich umocowano dwuczęściowy metalowy kołnierz, a wszyscy oni byli ze sobą połączeni cienkim czarnym kablem. Byli to bez wątpienia niewolnicy.

Ujrzawszy przybyłych, Chewbacca zawył wściekle, nie zważając na ostrzegawcze warczenie nasztaka. Ośłupiały Han przyglądał się załadunkowi niewolników. Jeden z ludzi Zlarba trzymał w ręku niewielką płytkę, zdalnie sterującą kołnierzami, opasującymi szyje pojmanych tubylców. Jakakolwiek próba protestu z ich strony kończyła się natychmiast bolesnym porażeniem prądem.

Han spojrział Zlarbowi prosto w oczy.

— Nie zgadzam się. Nie na moim statku — rzekł, dobitnie akcentując każde słowo.

W odpowiedzi Zlarb roześmiał się szyderczo.

— W twojej sytuacji zazwyczaj nie stawia się warunków. Czyżbyś tego nie rozumiał, Solo?

— Nie na moim statku — powtórzył Han z uporem — Nie zgodzę się na żadnych niewolników. Nigdy!

Zlarb wymierzył w pilota lufę jego własnego pistoletu.

— Radzę ci się zastanowić, Solo. Jeżeli nie będziesz posłuszny, ciebie również każę zakuć w kołnierz. No dalej, ruszać się! Pójdziecie teraz z Wookiem do sterowni i przygotujecie statek do odlotu.

Druga, równie liczna grupa niewolników wchodziła na pokład „Sokoła” w ślad za pierwszą. Han spojrział z wściekłością na Zlarba, po czym skierował się do sterowni. Chewbacca wahał się przez chwilę, wreszcie warcząc na swoich prześladowców,

pospieszył za przyjacielem.

Han usadowił się w fotelu pilota, a Chewbacca zajął miejsce nawigatora. Stojący za ich plecami Zlarb uważnie obserwował każdy wykonywany przez nich ruch. Nie ufał im, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z faktu, że żaden z jego ludzi nie zna na tyle dobrze „Sokoła”, by unieść maszynę w powietrze i pilotować ją. A od tego zależało to, czy on sam przeżyje.

— Solo, wolałbym, abyś nie próbował żadnych sztuczek. Zawieziesz nas do wyznaczonego punktu, a tam już ktoś inny się wami zajmie. Pamiętaj jednak o tym, że jeżeli spróbujesz nas zatrzymać lub udaremnić nasze zamiary, zginiemy wszyscy, włącznie z tobą.

— Dokąd lecimy? — zapytał Han przez zęby.

— Powiem ci w swoim czasie. Na razie szykuj statek do startu.

Han włączył silniki „Sokoła”, przygotowując statek do odlotu.

— Ciekaw jestem, ile ci za to płacą. Osobiście nie wyobrażam sobie sumy, która byłaby mnie w stanie nakłonić do pośrednictwa w handlu niewolnikami.

Zlarb tylko się zaśmiał.

— Mówiono mi, że z ciebie ciężki orzech do zgryzienia, Solo, ale widzę, że to nieprawda. Te niewielkie stworzenia tam, w dole, warte są na czarnym rynku od czterech do sześciu tysięcy za sztukę. Jest na nie wielkie zapotrzebowanie. Są ludzie, którym nie na rękę są ograniczenia nałożone po zakończeniu Wojen Klonowych. Te małe ludziki są bardzo, powiedziałbym za bardzo, przyzwyczajone do tego świata i za żadne skarby nie podpisałyby żadnego kontraktu. Tak więc, wraz ze współnikiem, postanowiłem pomóc im w podjęciu decyzji. Paru z nich jest chorych i rannych, ale i tak dowieziemy na miejsce przynajmniej pięćdziesięciu. Na tej jednej transakcji zarobię tyle, że przez bardzo długi czas nie będę musiał myśleć o żadnej pracy.

Kontraktowa siła robocza... Brzmiało to tak, jakby w całą sprawę zaangażowane były władze Wspólnego Sektora. Jednak, pomimo faktu, że władze korzystały z usług pośredników, Han nie mógł uwierzyć, by odważyły się na handel niewolnikami, zwłaszcza poza granicami własnego systemu. Nawet Imperium nie mogło sobie pozwolić na jawne gwałcenie pewnych praw.

— Podoba mi się tablica rozdzielcza twojego statku, Solo — rzucił Zlarb, uważnie przypatrując się konsoli.

— Startuj!

Bolluxa pozostawiono w pustym w tej chwili korytarzu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym go wyłączono. Wszystkie jego systemy kontrolne uległy zablokowaniu, a tym samym robot stał się bezużyteczną stertą metalu, niezdolną do poruszania się, myślenia ani mówienia.

Jednakże w niewielkiej skrytce pośród mechanizmów sterujących Bolluxa spoczywał Błękitny Max, zasilany przez niezależną baterię. Minikomputer gorączkowo analizował sytuację towarzyszy. Zdawał sobie sprawę z jej powagi, a jednocześnie był prawie całkowicie bezzilny wiedząc, że jakakolwiek interwencja z jego strony nie zmieni położenia Hana i Chewbacci. Co więcej, źródło prądu, z którego w tej chwili korzystał, było minimalne w porównaniu z tym, jakim dysponował Bollux, tak więc w żadnym razie nie był zdolny ruszyć robota z miejsca.

I nagle przypomniał sobie przeciągły świst wydany przez robota, zanim nastąpiło unieruchomienie. Po krótkiej analizie Max doszedł do wniosku, że była to krótka transmisja. Zaszyfrowana i częściowo nieczytelna, gdyż Bollux pragnął przekazać towarzyszowi zbyt wiele informacji na raz. W sumie jednak miało to pewien sens i Max pojął zamiary Bolluxa.

Minikomputer ostrożnie podłączył się do obwodów ruchowych robota, gotów odłączyć się w każdej chwili, gdyby tylko zaistniało niebezpieczeństwo uszkodzenia własnego

mechanizmu.

Nic się jednak nie stało. Okazało się, że dezaktywacji uległy centralne systemy kontrolne natomiast obwody pośrednie i serwomotory wciąż działały. Mimo to Max świadom był, że ma przed sobą bardzo trudne zadanie. Istniała jednak pewna szansa powodzenia, którą zawdzięczał temu, że zanim znieruchomiał, Bollux zdołał jeszcze poruszyć dolnymi kończynami.

Źródło zasilania Maxa było zbyt słabe, by przemieścić Bolluxa więcej, niż o parę kroków, jednakże komputer był w stanie nieco przesunąć robota. Chociaż ryzykował utratą całej energii, skierował swą moc na lewy staw kolanowy towarzysza. Kończyna Bolluxa wyprostowała się, a cały korpus drgnął. Z trudem orientując się w gąszczu nie znanych sobie mechanizmów, Max skierował teraz swoją moc w centralną część korpusu Bolluxa, przesuając robota w prawo. Wymagało to od komputera przesłania takiej ilości energii, że przez chwilę, zanim jego rezerwy nie odbudowały się, poczuł gwałtowne zamroczenie.

Odłączwszy wszystkie, niepotrzebne mu teraz własne obwody, po raz kolejny skierował całą swoją energię w kierunku stawu kolanowego Bolluxa. Pokład pod stopami robota lekko zadrżał. Silniki „Sokoła” zostały włączone i cały statek wypełnił się charakterystycznym buczeniem.

Korpus Bolluxa przechylił się poza punkt równowagi, zachwiał się, po czym runął na pokład. Spoczywał teraz nieruchomo na lewym boku. Max wiedział, że w tej pozycji nie zdoła otworzyć zasuwy na piersiach Bolluxa, ale i tak było to bez znaczenia, gdyż nie dysponował niezbędną do tego ilością energii. W tej sytuacji musiał działać etapami. Zanim wreszcie zdołał otworzyć prawą połówkę, dwukrotnie zmuszony był zrobić przerwę w celu uzupełnienia zasobów energii. Wreszcie zasuwa rozsunęła się na tyle szeroko, że Max ujrzał swój cel.

Kończówka była najtrudniejsza. Max wysunął końcówkę operacyjną, usiłując dosięgnąć nią obwodów fluidowych, co niedawno ćwiczyli razem z Bolluxem. Systemy te wyposażone były w standardowe styki, co jednak nawet w najmniejszym stopniu nie ułatwiało dostępu do nich. Po kilku bezskutecznych próbach podłączenia się do obwodów, Max stwierdził, że przekracza to jego możliwości. Połączenia znajdowały się poza zasięgiem jego końcówki. Ostatnim, desperackim wysiłkiem mikrokomputer spróbował dosięgnąć gniazda, i o mało co nie uszkodziwszy własnych modułów, zrezygnował.

Została mu już tylko jedna szansa. Mimo że dosyć ryzykowna dla niego samego, Max nie wahał się. Ponownie skierował całą energię na środkowy segment korpusu Bolluxa, usiłując nieco poruszyć tułowiem nieruchomego robota. Kosztowało go to większość energii, doprowadzając do granicy utraty pamięci. Korpus Bolluxa jednak drgnął, po czym przetoczył się na piersi.

Zanim to jednak nastąpiło, końcówka Maxa dosięgła łącza fluidowego. Po wejściu do systemu pozostały mu ułamki sekund na wysłanie jednego jedyne go rozkazu. W chwilę później ciężar przewalającego się torsu przerwał połączenie, pozostawiając Maxa uwięzionego w głębi korpusu znieruchomiałego robota.

Podczas gdy Max walczył z brakiem energii, Han wpatrywał się w instrumenty kontrolne. Pocił się obficie pod kombinezonem, zastanawiając się, co robić dalej — pozwolić Zlarbowi działać, czy też spróbować go zaatakować.

Zlarb nie spuszczał oczu ze wskaźników.

— Nie kazałem ci zmniejszać prędkości. Unieś statek na jeszcze większą wysokość.

Dla nadania swym słowom większej wagi, Zlarb machnął odebrany m Hanowi pistoletem. I właśnie w tej chwili strumień gęstej, białej piany uderzył go prosto w twarz.

Wszystko to, co miało się wydarzyć w ciągu następnych kilku minut, było wynikiem

jedynego wydanego przez Maxa rozkazu. Całe wnętrze „Sokoła Tysiąclecia” w jednej chwili wypełniło się strumieniami gęstej piany przeciwpożarowej. Max uruchomił wszystkie urządzenia odpowiedzialne za ochronę statku przed ogniem.

Han i Chewbacca, nie rozumiejąc, co się dzieje, nie przegapili jednak okazji. Wookie zamachnął się na odlew, zwalając Zlarba z nóg. Ten, całkowicie porażony strumieniem piany, strzelił na oślep i chybił.

Po chwili Han z pomocą Chewbacca zdołali unieszkodliwić handlarza niewolników. Bez namysłu wepchnęli ogłuszonego przeciwnika do niewielkiego przedziału komputera nawigacyjnego.

Cała sterownia pełna była piany, a wewnątrz „Sokoła” panował trudny do opisu hałas, spowodowany wyciem syren alarmowych. Han, namacawszy na podłodze swój pistolet, szepnął:

— Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale musimy ich załatwić, zanim dojdą do siebie. Jest ich chyba sześciu, prawda?

Chewbacca skinął, twierdząc głową.

Ślizgając się i potykając na każdym kroku, Han podążył w głąb głównego korytarza. Dobiegł do najbliższego pomieszczenia i ujrzał jednego z handlarzy niewolników, zapatrzonego w błuzgającą pianą automatyczną gaśnicę. Dostrzegłszy Hana, mężczyzna uniósł karabin. Śmiercionośny promień z pistoletu Hana dosięgnął go, zanim zdołał nacisnąć na spust.

W tym samym momencie Han usłyszał warczenie i obejrzał się błyskawicznie. Ujrzał, jak właściciel nasztaka spuszcza zwierzę ze smyczy. Han nie miał nawet czasu strzelić. Bestia powaliła go, wbijając zęby w jego ramię.

Szczęściem, nasztak nie zdążył się wgrzyźć. Mocarne ręce schwyciły go, oderwały od Hana i cisnęły nim o ścianę. Zyskana tym sposobem sekunda umożliwiła Hanowi schwycenie za broń, lecz wskutek oszołomienia pilot nie wykazał się dostatecznym refleksem. Rozwścieczony nasztak rzucił się na Wookiego i pognął za nim w głąb korytarza.

Chewbacca nie dał się jednak obalić na ziemię. Naprężając wszystkie mięśnie schwycił nasztaka za gardło, jednocześnie zręcznie unikał jego kłów.

Nasztak zawył głośno, gdy Chewbacca przydusił go do pokładu. Wookie błyskawicznie schwycił zwierzę za tylne łapy i wzięwszy szeroki zamach, uderzył łbem zwierzęcia o ścianę. Nasztak zacharczał i znieruchomiał.

Właściciel nasztaka zawył z wściekłości na widok martwego ulubieńca. Wyrwał z pasa pistolet, lecz spóźnił się o ułamek sekundy. Seria strzałów, oddana z pistoletu Hana, zwała go niedaleko miejsca, w którym zdechł nasztak.

Han trącił Chewbaccę, wskazał gestem na główną ładownię, i bez zbędnych słów podążył w tamtym kierunku. Po drodze natknęli się na znieruchomiły korpus Bolluxa, leżący w poprzek przejścia, i od razu wszystkie wydarzenia stały się dla nich zrozumiałe. Z przerażeniem ujrzeni, że biała piana dotarła i tutaj, przedostając się już przez rozchyloną kłapę do wnętrza robota.

Widząc, co się dzieje, Chewbacca z rozpaczy złapał się za głowę.

— Zawsze mówiłem, że łączenie tych dwóch nie było dobrym pomysłem — rzucił Han. Schwycił robota za ramię. — Pomóż mi posadzić go tak, by piana nie dostała się do środka.

Nie było czasu na nic innego. Tymczasowo zabezpieczyli korpus Bolluxa i ruszyli dalej. Chwilę później stanęli oko w oko z olbrzymim humanoidem, który wyłonił się zza zakrętu korytarza.

Han błyskawicznie rozejrzał się za jakąś kryjówką, ale na śliskiej, pokrytej pianą powierzchni nie zdołał utrzymać równowagi i padł jak długi na pokład. Chewbacca,

wyciągając właściwe wnioski z tego, co spotkało przyjaciela, nie usiłował zatrzymywać się, wręcz przeciwnie, przyspieszył kroku, i ślizgając się wzdłuż korytarza runął na humanoida.

Ten, zaskoczony widokiem niedawnych jeńców, stał niezdecydowany w miejscu, celując z karabinu to w Hana, to do Wookiego. Chewbacca wpadł na humanoida z całym impetem, natychmiast zwalając go z nóg. Przeciwnicy wyładowali w olbrzymiej zaspie piany, okładając się pięściami.

Han uniósł się z pokładu. Rozejrzał się i dostrzegł dwóch ostatnich handlarzy, tych, którzy sprawowali bezpośredni nadzór nad niewolnikami. Nie miał ani chwili do stracenia. Każda sekunda zwłoki czy nieudany atak mogły oznaczać natychmiastową śmierć wszystkich niewolników.

Zanim jednak zdążył nacisnąć spust, cały korytarz wypełnił się trudnym do opisanego zgiełkiem i hałasem. Dziesiątki niewolników z gołymi rękami rzuciły się na prześladowców. Nie zważając na paraliżujący ból i agonię pobratymców rzucili się by ukarać tych, którzy ich zniewolili. Wielu padło, lecz ci silniejsi i najbardziej zdesperowani dosięgnęli handlarzy. Obalili ich na ziemię, odbierając im broń i baty elektryczne.

Han ostrożnie wszedł do ładowni. Miał nadzieję, że jego przypadkowi pasażerowie orientowali się w całej sytuacji na tyle, by wiedzieć, że nie jest ich wrogiem.

Jeden z uwolnionych uważnie przyglądał się płytce zdalnego sterowania odebranej handlarzowi. Zdecydowanym ruchem nacisnął przycisk, obserwując, jak wszystkie metalowe kołnierze otwierają się. Powtórzył tę czynność parokrotnie, po czym, najwidoczniej znużony, odrzucił przedmiot na bok. Jeden z towarzyszy podał mu pistolet. W niewielkich, ruchliwych dłoniach Luriańczyka, broń wyglądała na jeszcze większą i bardziej nieporęczną niż w rzeczywistości.

Han włożył własny pistolet do kabury.

— Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego — rzekł spokojnie, zastanawiając się, czy rozumieją jego język. — Tak jak i wy jestem tylko ofiarą.

Zapadła całkowita cisza. Luriańczyk trzymający w dłoniach pistolet uniósł go, celując prosto w serce Hana. Solo zastanowił się, czy nie sięgnąć po broń. Nie chciał jednak strzelać do tych nieszczęśników. Poczuł wszakże nieprzyjemne mrowienie skóry na karku — coś takiego zdarzało mu się jedynie w chwilach największego napięcia.

— Posłuchajcie, jesteście wolni. Nie zamierzam was zatrzymywać... — nie dokończywszy zdania, instynktownie rzucił się na pokład, unikając niechybnej śmierci od wiązki wystrzelonej z pistoletu Luriańczyka. Tuż za sobą Han usłyszał ciche, metaliczne brzęknięcie i przeciągły jęk.

W wejściu do ładowni, oparty o zasuwę, stał Zlarb, z niedowierzaniem wpatrując się w rozległą ranę na swej lewej piersi. U jego stóp leżał miniaturowy pistolet. Raniony mężczyzna powoli osunął się na pokład. Luriańczyk ponownie opuścił broń. Widząc to Han uniósł się i przyklęknął przy śmiertelnie rannym handlarzu niewolników.

Blady jak płótno Zlarb ledwie dyszał. Ostatkiem sił uniósł nieco powieki i spojrzał na Hana. Jeden rzut oka wystarczył Hanowi by stwierdzić, że Zlarb umiera. Być może dałoby się go uratować w normalnych, szpitalnych warunkach, jednak możliwości medyczne „Sokoła” były w tym przypadku niewystarczające.

Han spojrzał przeciwnikowi prosto w oczy.

— Chyba ich nie doceniłeś, Zlarb — rzekł łagodnym głosem. — Skrzywdziłeś ich.

Źrenice Zlarba zaszyły mgłą. Ostatnim, prawie nadludzkim wysiłkiem, handlarz wyszeptał:

— Solo... — nie zdołał dokończyć, ale w tym jednym, jedynym słowie zawarł całą swoją ogromną nienawiść do pilota.

— Ty głupi, bezmyślny włochaczu! Przez ciebie o mało co nie zginąłem! Ciekaw jestem, gdzie się podziewałeś?!

Urażony Chewbacca zawarczał gniewnie, wskazując leżące w przejściu ciało rogatego humanoida.

— No i cóż z tego? — zapytał Han z sarkazmem w głosie. Klęczał właśnie przy korpusie Bolluxa, usiłując zaktywizować robota. — Swego czasu potrafiłeś walczyć z trzema takimi równocześnie. Potrzebuję pomocnika, a nie nieporadnego starca!

Chewbacca zaryczał tak donośnie, że Han odruchowo zasłonił uszy dłońmi. Ponieważ cykl życia Wookich różni się znacznie od ludzkiego, wiek stanowił częsty temat ich wzajemnych przytyków.

— To ty tak uważasz — rzucił Han, jednocześnie naciskając włącznik. Rozległ się donośny trzask i fotoreceptory Bolluxa rozbłyśły czerwonym światłem.

— O, to pan, kapitanie Solo! Dziękuję za uruchomienie mnie. Czy to znaczy, że mamy już wszystkie kłopoty za sobą?

— Powiedzmy, że prawie wszystkie. Cały statek wygląda jak gigantyczne lodowisko. Jeżeli chcesz, możesz przejechać stąd prosto do sterowni. Muszę przyznać, że bardzo wiele zawdzięczamy tobie i Maxowi...

— Błękity Max! — przerwał Bollux. — Kapitanie, on nie odpowiada na moje wezwania! Chyba uległ uszkodzeniu!

— Wiem o tym. Ramię jego końcówki operacyjnej uległo wygięciu i coś się tam w środku przepaliło. Chewie jest jednak dobrej myśli i sądzi, że zdoła go naprawić nawet za pomocą narzędzi, które mamy na pokładzie. Na razie myśl o sobie. Czy dasz radę wstać?

W odpowiedzi robot uniósł się, wyprostował i czule pogładził moduł komputerowy Maxa, po czym zatrzasnął otwór w swoim korpusie.

— Max jest bardzo użyteczny, prawda, kapitanie?

— Jasne. Gdyby miał ręce i mógł się ruszać, musielibyśmy chować przed nim sztucce. Możesz mu to ode mnie przekazać, a na razie nie przejmuj się. — Han dał znak Chewbacce, po czym obydwaj podążyli do ładowni.

Niedawni niewolnicy ułożyli rzędem ciała tych, którzy nie zdołali przeżyć porażenia elektrycznego. Han oddał im do dyspozycji parę płacht i plastikowych worków, by mogli zabrać swoich zmarłych do domu i tam ich pochować.

Han zatrzymał się przy zwłokach Zlarba. Przeszukując kombinezon zmarłego, w wewnętrznej kieszeni natrafił na elektronicznie zabezpieczoną skrytkę. Parokrotnie już zetknął się z tego typu urządzeniem i wiedział, że należy zachować przy nich daleko idącą ostrożność.

Rozpakowawszy jeden z pakietów medycznych wydobył skalpel, szczypce i zabrał się do rozcinania twardej powłoki kombinezonu. Tymczasem Chewbacca opatrzył własne zranienia, korzystając z lampy dezynfekującej i samoprzylepnej sztucznej skóry. Szczęście ani on, ani Solo, nie odnieśli żadnych poważniejszych obrażeń.

Han wydobył z rozciętej kieszeni saszetkę i delikatnie zbadał jej powierzchnię, odnajdując niewielki, ukryty w dolnym rogu przycisk. Nacisnąwszy go, rozmontował system zabezpieczający. Zneutralizowało to ładunek paraliżujący, który był w stanie doprowadzić do wypaleniu układu nerwowego u porażonego człowieka.

Nucąc pod nosem zasłyszaną gdzieś melodię, Han pochylił się nad zamkiem. W porównaniu z tym, czego dokonał, była to już dziecinnie prosta sprawa. Za moment wysypał zawartość.

Ujrzawszy ją, zaklął ponuro. Ku jego rozczarowaniu, saszetka nie kryła żadnych pieniędzy.

Wewnątrz znajdowały się jedynie metalowa płytką identyfikacyjna, nagrana taśma i niewielki pojemnik, zawierający rytualny zestaw czciciela Malkite. Fakt, że Zlarb był wyznawcą tej sekty, jeszcze bardziej utwierdził Hana w przekonaniu, że był to człowiek z gruntu zły.

Odrzucił na bok pustą saszetkę i spojrzał uważnie na dwóch pozostałych przy życiu handlarzy. Czując na sobie wzrok Hana, mężczyźni zadrżeli.

— Macie jeszcze szansę — rzekł Han cicho — ktoś jest mi winien pieniądze. Należy mi się dziesięć tysięcy kredytów za ten kurs i nie zamierzam z nich rezygnować. Jeżeli nie powiecie, od kogo mogę je odebrać, będzie to was kosztowało życie.

— Nic nie wiemy, Solo. Naprawdę, przysięgamy — za-skamlał jeden z nich. — To Zlarb nas zaangażował i sam zajmował się wszystkim. Nie kontaktowaliśmy się z nikim innym.

Drugi handlarz skwapliwie pokiwał głową.

Eks-niewolnicy byli już gotowi do odejścia. Po chwili namysłu Han podszedł do miejsca, w którym leżała cała sterta żelaznych kołnierzy.

— Macie cholerne szczęście — rzekł, zakładając kołnierze na szyje handlarzy. Nie zważając na ich protesty podał płytkę sterującą jednemu z Luriańczyków i wskazał na zwłoki zabitych.

Luriańczyk pojął jego gest i potakująco skinął głową. Handlarze będą musieli odpokutować swe winy w służbie Luriańczyków. To, jak długo będą im służyć, będzie zależało wyłącznie od ich niedawnych niewolników.

— Zabierzcie również ciało swojego szefa — rozkazał. Handlarze spojrzeli na niego z niechęcią, ale widząc, że Luriańczyk manipuluje już przy płytce sterującej, bezzwłocznie wypełnili polecenie Hana.

Chewbacca, poprzedzany dźwigającymi zwłoki handlarzami, poprowadził Luriańczyków ku wyjściu.

— Nie zapomnij o nasztaku — krzyknął za nim Han. — I przynieś mi tutaj czytnik! Mógł wreszcie w spokoju przystąpić do dezynfekcji i opatrzenia własnych ran. Mimo że najgorsze wydawało się być poza nimi, nie czuł się spokojny. Zostało im już zaledwie parę kredytów, a pech nie przestawał ich prześladować. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że gdyby nie Max, przypłaciliby tę wycieczkę życiem. Nie powinien zatem narzekać na brak szczęścia. Bądź co bądź żyli, byli wolni, a statek nie uległ poważniejszym uszkodzeniom. Do czasu powrotu Chewbacca odzyskał pogodny nastrój i opatrzył wszystkie zadrapania.

Wookie przyniósł ze sobą niewielki czytnik. Ujrawszy go, Han wetknął do kieszeni odtwarzającej płytkę, znalezioną w kieszeni Zlarba. Chewbacca pochylił się nisko nad czytnikiem i przez dłuższą chwilę niecierpliwie śledzili pojawiające się dane.

— Dienne daty koordynujące, numery planetarne — mruczał Han pod nosem. — Kody rejestracyjne statków i dane agentów wynajmujących pojazdy. Prawie wszyscy z planety Ammuud.

Chewbacca skrzywił się ze złością, a rozwścieczony Han zaklął. Usunął płytkę z czytnika, wkładając na jej miejsce taśmę. Na ekranie ukazała się twarz młodego, ciemnowłosego mężczyzny. Mimo uporczywego wpatrywania się w ekran, Han nie zdołał odgadnąć nic dotyczącego pochodzenia, a nawet ubioru mężczyzny.

Po chwili rozległ się nagrany głos nieznanego:

— Zgodnie z pańskimi sugestiami, podjęto już pewne kroki przeciwko Mor Glayydowi na Ammuudzie. Wypłata nastąpi na Bonadanie, po dostarczeniu obecnej przesyłki. Proszę się stawić przy stoliku numer 131, w głównym hallu pasażerskim Południowego Portu Kosmicznego w niżej podanym terminie. — Oczom ich ukazało się parę linijek tekstu i



cyfr, po czym obraz zniknął.

Han roześmiał się entuzjastycznie.

— Jeżeli się pospieszymy, powinniśmy zdążyć na czas! Przygotuj statek do startu, Maxem zajmiemy się później.

Pochylił się nad czytnikiem, po czym entuzjastycznie ucisnął Wookiego, który również nie ukrywał radości. Przyszedł wreszcie czas wypłaty.

### ROZDZIAŁ III

Han, opowiadający właśnie jakiś dowcip, prawie krzyczał na całe gardło. Hałas spowodowany lądowaniem olbrzymiej transportowej barki był tak ogromny, że cały hall pasażerski wydawał się drzeć w posadach, mimo iż lądowisko znajdowało się o kilometr od zabudowań portowych.

Główny hall Południowego Portu Kosmicznego na Bonadanie II był olbrzymi. Oprócz ciągłego huku startujących i lądujących statków i pojazdów kosmicznych, hall wypełniony był odgłosami rozmów tysięcy ludzi i humanoidów. Sklepienie hallu zwieńczone było przejrzystą kopułą, umożliwiającą obserwację ruchu startujących i lądujących maszyn. Niezliczone międzyplanetarne wahadłowce, liniowe statki pasażerskie, ogromne barki transportowe i jednostki wojskowe przybywające i odlatujące z planety sprawiały, że był to jeden z najbardziej ruchliwych portów Wspólnego Sektora.

Chociaż w jego skład wchodziły dziesiątki tysięcy systemów gwiazdnych, Wspólny Sektor stanowił jedynie niewielki fragment znanej ludzkości bezkresnej przestrzeni kosmicznej. Władze Wspólnego Sektora korzystały bez żadnych ograniczeń z niezmiernych bogactw należących do niego planet. Jedni określali tę działalność jako „planowe badanie przestrzeni”, inni zaś jako „rabunkową eksploatację”. Jedno wszak było pewne: władze całkowicie kontrolowały wszystkie podlegające sobie prowincje i poczynania zatrudnionych tam stworzeń, zazdrośnie strzegąc swego stanu posiadania. Pochylając się bliżej ku Chewbacce, Han dokończył:

— I ten poszukiwacz powiedział: — A jak myślicie, dlaczego mój pies ma takie pokrzywione nogi?

Chewbacca, trzymający właśnie przy ustach ogromny, dwulitrowy kufel, wypełniony piwem Elba, parsknął dzikim śmiechem. Zakrztusił się, zaczął kaszleć, prychać i pluć na wszystkie strony. Zajmujący sąsiednie stoliki pasażerowie nie protestowali ze względu na pokaźną posturę Wookiego. Han zawtórował przyjacielowi.

Chewbacca złapał oddech i spojrzał na pilota z wyrzutem.

— Ależ oczywiście, umyślnie opowiedziałem ci ten dowcip właśnie teraz — stwierdził z uśmiechem Han. — Bollux zrobił to kiedyś w trakcie kolacji i zachowałem się identycznie jak ty.

Chewbacca, przypomniawszy sobie puentę, zaśmiał się ponownie, tym razem panując już nad sobą.

Przez cały miniony ranek Han dyskretnie obserwował stolik numer 131. Dotychczas nikt jednak przy nim nie usiadł, co mogło być również spowodowane faktem, że przez cały czas paliło się tam czerwone światełko, oznaczające, że stolik jest zarezerwowany. Sześciokątny zegar elektroniczny, zawieszony na środku sali, wskazywał, że czas umówionego spotkania Zlarba z jego mocodawcą już dawno minął.

Hall wypełniony był prawie do ostatniego miejsca, co nie było dziwne w tym niezwykle ruchliwym, zarówno w dzień, jak i w nocy, miejscu. Sam hall był budowlą olbrzymią, wielokondygnacyjną, lecz o lekkiej konstrukcji, otoczoną licznymi tarasami, na których

zasadzono przedziwne, pochodzące z różnych światów rośliny. Z każdego stolika można było bez przeszkód obserwować wszystko, co działo się powyżej, chociaż poszczególne stoliki były od siebie pooddzielane foliowymi przesłonami. Han i Chewbacca usiedli w miejscu, które świetnie nadawało się do dyskretnej obserwacji stolika 131, a jednocześnie było oddzielone od niego żywą ścianą wielobarwnych orchidei.

W drodze na Bonadan II opracowali plan. Postanowili obserwować stolik numer 131, podążyć za mocodawcami Zlarba i dobrowolnie lub nie odebrać swoje dziesięć tysięcy kredytów. Na razie jednak ich plan leżał w gruzach.

Han, mimo pozorów dobrego humoru, nie czuł się pewnie. Ani on sam, ani Chewbacca nie byli uzbrojeni. Bonadan był wysoce uprzemysłowioną i gęsto zaludnioną planetą, prawdziwym oczkiem w głowie władz. Odpowiedzialne za utrzymanie spokoju siły bezpieczeństwa, powszechnie zwane Espo, bardzo rygorystycznie przestrzegały zakazu posiadania broni przez obywateli. W prawie każdym miejscu, a zwłaszcza w sklepach, bankach, biurach, a nawet środkach transportu można się było natknąć na wykrywacze broni. Każdy z dziesięciu portów kosmicznych planety, z których największym był Południowy II, zaliczał się do miejsc, gdzie nadzór policyjny był szczególnie silny.

W takiej sytuacji posiadanie broni, niezależnie od tego, czy byłby to pistolet, czy też kusza Wookiego — byłoby czystym szaleństwem, które mogłoby się skończyć natychmiastowym zatrzymaniem. A na to żaden z nich nie mógł sobie pozwolić. Gdyby sprawdzono ich personalia i odkryto dawne sprawki, władze Wspólnego Sektora nie wahałyby się przed natychmiastowym zlikwidowaniem obu współników. Jedyną zaletą całej sytuacji był fakt, że człowiek, którego oczekiwali, będzie również nie uzbrojony.

Powoli jednak zaczęli tracić nadzieję, że ktokolwiek przybędzie na spotkanie.

Chewbacca podszedł do lady i wetknąwszy w otwór kilka monet, nacisnął dwa przyciski. W chwilę później na ladę wjechały kolejny kufel piwa i flaszka mocnego, miejscowego wina dla Hana. Chewbacca szybko schwycił kufel i zanurzwszy w nim usta, prawie natychmiast wychylił trzecią część zawartości naczynia. Z rozkoszą przymknął oczy i mlasnął, zlizując z warg białą pianę.

Han nie spieszył się tak bardzo. Lubił wino, ale atmosfera planety, na której się znajdowali, działała na niego przygnębiająco. Mocno nacisnął kciukiem na aluminiowy, twardy kapsel zamykający szyjkę butelki, aż ten ustąpił pod naciskiem. Umieszczone wewnątrz butelki elektroluminescencyjne diody rozbłyśły różnokolorowymi światełkami i rozpoczęły pokaz. Niewielkie figurki i litery układały się w przedziwne wzory, a zawartość butelki donośnie buzowała. Był to stary chwyt reklamowy stosowany przez producentów tego gatunku wina. W ciągu tych paru sekund przed oczami ubawionego Hana ukazały się informacje dotyczące składu chemicznego napoju, jego dobroczynnego wpływu na zdrowie konsumentów, a także wyszczególnienie nagród i medali przyznanych temu trunkowi podczas licznych wystaw i targów.

Szkoda, że nie miałem jej na Kamarze; Badlanderzy pewnie tańczyliby dookoła niej, wznosili modły i śpiewali hymny pochwalne, pomyślał Han, wpatrując się w butelkę.

Po mniej więcej minucie mikroskopijna bateria wyczerpała się — pokaz był zakończony. Han, jak wyrwany ze snu, śpiesznie rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz zauważył, że przy stoliku 131 toczy się jakaś rozmowa. Cztero-ręki kelner, mieszkaniec planety Pho Ph'eah, o ciele okrytym błękitnym futrem, zawzięcie sprzeczał się z atrakcyjną, młodą kobietą.

Kelner żywo gestykułował, wymachując wszystkimi czterema ramionami:

— Ależ człowieku, ten stolik jest zarezerwowany! Czy nie widzisz, że czerwona lampka pali się bezustannie?

Kobieta wydawała się o parę lat młodsza od Hana. Miała proste czarne włosy, opadające

niec na kark, ciemną karnację i prawie czarne oczy, co wskazywało na to, że urodziła się na którejś z bardzo nasłonecznionych planet. Jej nieco zbyt długa, o żywej mimice twarz wskazywała na duże poczucie humoru. Kobieta ubrana była w codzienny strój roboczy — biały, jednoczęściowy kombinezon i wysokie buty. Wdzięcznie oparłszy ręce na biodrach bez przekonania patrzyła na Pho Ph'eahczyka.

Wreszcie, uniósłszy ramiona i skrzywiwszy się zabawnie, poczęła naśladować ruchy i minę kelnera. Han, widząc to, roześmiał się na głos. Kobieta odszukała go wzrokiem i mrugnąwszy porozumiewawczo, podjęła przerwana dysputę.

— Przecież ten stolik jest już zbyt długo zarezerwowany — powiedziała. — Siedzę tutaj od dłuższego czasu i nie zauważyłam, aby ktokolwiek się do niego przyznał. Przecież widzisz, że jest to jedyny stolik, a siedzenie przy barze już mnie zmęczyło. Muszę zaczekać na przyjaciół i chcę usiąść właśnie tutaj. A może życzysz sobie, abym zupełnie zmieniła lokal? Wydaje mi się, że jak na razie nie zarobiłeś wiele na tym stoliku, prawda?

Trafiła bezbłędnie. Kelner rozejrzał się jeszcze raz, aby upewnić się, czy nikt nie zdąży w kierunku stolika, po czym zrezygnowanym gestem czterech ramion dał znak kobiecie, by zajęła miejsce przy stoliku, i jednocześnie zgasił czerwoną lampkę. Z błyskiem triumfu w oczach dziewczyna zasiadła w jednym z foteli.

— Chyba nic z tego — szepnęła Han do Chewbacci, który również bacznie obserwował cały incydent. — Szef Zlarba jest widać równie przewidujący, jak i on sam.

Wookie mruknął coś, po czym uniósł się z fotela z zamiarem udania się na lądowisko.

— Gdy już sprawdzisz statek — rzucił Han — przejdź się po paru pośrednikach i zajrzyj do biura zarządcy portu. Spotkamy się mniej więcej za dwie godziny w Centrum Rekreacyjnym. Pokręć się po porcie, może uda ci się coś wywęszyć. Chewie, jeżeli wkrótce nie uda się nam znaleźć jakiejś roboty, nie będziemy w stanie nawet stąd wystartować. Skończę tylko wino i też pójdę się rozejrzeć.

Gdy wspólnik oddalił się już, Han pociągnął spory łyk wina i rozejrzał się wokół, łudząc się, że być może jego dłużnik przybędzie w ostatniej chwili. Czuł dojmującą tęsknotę za gotówką. Coś takiego zdarzało mu się zawsze w chwilach kłopotów finansowych.

Następne piętnaście minut zeszło mu na dopijaniu resztek wina i podziwianiu młodej kobiety, siedzącej samotnie przy stoliku 131. W pewnym momencie dziewczyna uniosła znad szklanki wzrok i ich oczy spotkały się.

— Za szczęśliwe lądowanie — rzekła, wznosząc swój kieliszek. Han uczynił to samo. Kobieta przyjrzała mu się badawczo — Od dawna w drodze?

— Nie mam żadnego portu macierzystego, mój statek jest moim domem — odparł obojętnie Han.

Kobieta szybko opróżniła kieliszek.

— Może wypijemy jeszcze po jednym?

Hanowi podobała się jej żywa, wesoła twarz, więc nie namyślając się długo przesiadł się do jej stolika, zabierając swoją butelkę i kieliszek.

— Pan i pański przyjaciel byliście jedynymi, którzy obserwowali ten stolik — stwierdziła, przyglądając się jak Han napełnia jej kieliszek.

Nie przerywając nalewania, Han spojrzał na nią przelotnie.

— Wasze zachowanie jednoznacznie na to wskazywało. — kontynuowała — Za każdym razem, gdy ktoś się przybliżał, podrywaliście się z miejsc i wybałuszaliście na niego oczy.

Han ukradkiem rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem wspólników lub eskorty siedzącej naprzeciwko kobiety. Nikogo takiego nie zauważył, co więcej, odniósł wrażenie, że nie przyciągają niczyjej uwagi. Spodziewał się spotkać tutaj jakiegoś twardego, bezwzględnego przestępcę. Ta krucha, atrakcyjna kobieta absolutnie nie pasowała do

jego wyobrażeń o handlarzach niewolnikami.

Nieznajoma pociągnęła łyk wina.

— Mmm. Wspaniałe. Jak się mają sprawy na Lur? — zapytała, patrząc Hanowi prosto w oczy.

Solo za wszelką cenę starał się zachować kamienną twarz.

— Nieco zbyt chłodno, jak na mój gust, ale powietrze jest tam o wiele czystsze niż tutaj

— rzekł spokojnie. — Nie ma tam aż takich ilości dymu. Chyba pani rozumie, co chcę przez to powiedzieć? — Starając się, by jego głos brzmiał naturalnie, dodał: — Mam nadzieję, że nie przybyła pani z pustymi rękami?

Uniosła brwi, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Tak, mamy pewne sprawy do omówienia. Myślę jednak, że to miejsce jest nieco zbyt ruchliwe, nie sądzi pan?

— To nie ja je wybrałem. Co pani proponuje? Jakąś ciemną alejkę? Może dno starego szybu kopalnianego? Po co spotkałimy się tutaj, jeżeli nie będziemy załatwiać interesów?

— Może po prostu chciałam obejrzeć pana w świetle dziennym — spojrzała na wiszący na środku sufitu zegar. — Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że został pan sprawdzony i zaakceptowany. Gdy wyjdę, ma pan odczekać dziesięć minut, a potem podążyć za mną — podała mu wyrwaną z notesu kartkę. — Spotkamy się w tym hangarze. Proszę przynieść ze sobą dowód wykonania zadania, a otrzyma pan pieniądze — spojrzała na niego badawczo. — Chyba umie pan czytać, prawda? Han wziął kartkę.

— Wolę zmierzać do celu prostą drogą i nie rozumiem, po co te wszystkie tajemnice.

Spojrzała na niego ironicznie.

— Wolałbyś pewnie, abym od razu wyłożyła tu na stół całą gotówkę i wręczyła ci ją bez poświadczenia, cwaniaku? Możesz sobie sam pracować w ten sposób!

Wstała z fotela i nie oglądając się za siebie ruszyła do wyjścia. Han z przyjemnością przyglądał się jej smukłej, zgrabnej sylwetce. W pierwszej chwili zamierzał udać się na poszukiwania Chewbacca i rozważył możliwość zabrania broni. Podejrzewał jednak, że szukanie przyjaciela po wszystkich biurach i urzędach zajęłoby mu resztę dnia, a poza tym ufał własnemu instynktowi i zaradności. Słowa kobiety nie brzmiały przekonująco, a fakt, że czekała na oddalenie się Chewbacca, jeszcze bardziej przemawiał za tym, że coś knuła.

Jednakże, pomijając wszelkie podejrzenia, parę minut temu martwił się o pieniądze potrzebne do zapłacenia za następny posiłek, teraz zaś miał realną szansę ich zdobycia. Już sama ta perspektywa bardzo korzystnie wpłynęła na jego samopoczucie. W każdym razie nie zamierzał postępować dokładnie według instrukcji kobiety i postanowił dokonać pewnych modyfikacji jej poleceń. Poza tym był przecież dzień, a cały port aż tętnił życiem.

Uniół się z miejsca, gdy tylko kobieta zniknęła mu z oczu. W ostatniej chwili zakupił jeszcze jedną butelkę wina, zabierając również dwa jednorazowe kubki. Jeżeli jest choć trochę podchmielona, może mieć ochotę na dodatkową butelkę. To będzie coś w rodzaju nagrody pocieszenia, pomyślał.

Południowy Port Kosmiczny na Bonadanie zajmował ogromny obszar. Tylko niewielka część jego zabudowań sięgała powyżej, czy głęboko poniżej powierzchni planety. Znajdowały się tam niezliczone hangary, ładownie, doki naprawcze, centrum dowodzenia Espo, siedziba Rządowej Akademii Kupieckiej oraz, oczywiście, Centrum Kontroli Lotów. Oprócz tego w skład zabudowań portowych wchodziły liczne halle pasażerskie, naziemne instalacje transportowe, sklepy oraz ogromne Centrum Rekreacyjne, przeznaczone dla setek tysięcy ludzi i innych istot żyjących na tej planecie lub przejeżdżających

tranzylem.

Ponieważ Han dysponował uprawnieniami kapitańskimi, nie musiał czekać na wewnątrzportową taksówkę. Wsiadając do jednego ze ślizgaczy przeznaczonych dla wyższego personelu pomyślał, że być może uda mu się dotrzeć na miejsce przed przybyciem tam kobiety i jej nieznanych współników.

Kazał wysadzić się nie opodal hangaru, oznaczonego numerem, podanym przez tajemniczą nieznajomą. Ta część portu była o wiele mniej ruchliwa i nie tak gęsto zabudowana. Tu i ówdzie wyrastały z ziemi tanie, lekkie hangary, wynajmowane tylko na krótki okres.

W bezpośrednim sąsiedztwie hangaru natknął się na jeden z licznych na tej planecie wykrywaczy broni. Urządzenie na chwilę skierowało na niego swe detektory, nie znajdując jednak żadnej broni palnej zamarło, nie wszczynając alarmu. Sprytnie pomyślane, stwierdził Han, przyspieszając kroku.

Nie zbliżając się zbyt blisko do głównego wejścia hangaru, obszedł budynek dookoła, odnajdując niewielkie, boczne drzwi. Ku jego zaskoczeniu, po naciśnięciu klamki nie stawiały one żadnego oporu, więc ostrożnie wśliznął się do środka.

Wewnątrz oprócz niewielkiego, sześciuosobowego „Wędrowca” leżało sporo narzędzi. Wszystko wskazywało na to, że osoba dokonująca naprawy z jakichś powodów opuściła hangar, pozostawiając otwarte drzwi.

Han wśliznął się za stertę kontenerów, zza której mógł przez cały czas obserwować główne wejście. Usadowiwszy się wygodnie na pustym kanistrze, wydobyl z kieszeni butelkę wina i jednorazowe kubki. Zastanawiał się nad dalszym postępowaniem. Jeżeli kobieta przybędzie w jakimś towarzystwie, postara się ich śledzić i zaczeka na dogodny do ataku moment, jeżeli zaś przybędzie sama, pieniądze już wkrótce będą w jego posiadaniu. Mimo to żałował, że nie odszukał Chewbacca. Bez broni czuł się nieswojo, a mocarny Wookie był w takich sytuacjach wprost niezastąpiony.

Z głębokiej zadumy wyrwało go nagłe zgaśnięcie światła.

Skoczył na równe nogi i wstrzymując oddech zaczął powoli przesuwac się wzdłuż jednej ze ścian. W hangarze panowały nieprzeniknione ciemności. Zdawało mu się, że słyszy jakieś ciche szmery i brzęki, ale trudno było się zorientować, skąd one dobiegają. Za wyjątkiem słuchu, wszystkie inne zmysły były w tej sytuacji zbyt słabe. Jeszcze raz Han pomyślał o Chewbacce i o tym, jak bardzo przydałby się w tej chwili jego nieomylny węch.

Nagle ogromny ciężar spadł na plecy i barki pilota, zwalając go z nóg i przyduszając do ziemi. W sekundę potem jakaś zimna, wilgotna rzecz odnalazła w ciemności jego twarz, z całą mocą zaciskając mu usta i nos. Han stwierdził, że była to silna, zwinna dłoń obciążona rękawiczką, która wydzielala jakieś opary. Wstrzymał oddech, jednak czuł, że trucizna zaczyna działać — zasumiało mu w głowie, a mięśnie powoli sztywniały.

Han usiłował wyrwać się z objęć napastnika, nie było to jednak łatwe. Czując, jak rękawica coraz mocniej zaciska się na jego twarzy, ostatkiem woli powstrzymał się przed nabraniem powietrza w płuca, otworzył usta i szarpnąwszy głową, zacisnął zęby na dłoni napastnika. Ten zawył wściekle z bólu, wyrwał dłoń i wypuścił pilota.

Na miękkich nogach Han unióś się z posadzki. Usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności i zlokalizować swego prześladowcę, jednak wszelkie wysiłki okazały się daremne. Słyszał tylko głośnie bicie własnego serca. Chwilę później zaskoczył go ponowny atak od tyłu.

Poszybował w powietrzu, lądując na stercie kontenerów, która wcześniej służyła mu za kryjówkę. Szczęściem nie stracił przytomności. Mimo chodem pomyślał, że napastnik musiał mieć gogle ochronne i filtr powietrza, co chroniło go przed oparami gazu usypiającego.

Coś spadło na plecy Hana, stoczyło się na posadzkę i ponownie go zaatakowało. Czując zbliżającą się do twarzy dłoń napastnika, Solo wstrzymał oddech. Bezskutecznie usiłował się unieść, jednocześnie osłaniając ręką twarz. Podczas tej bezładnej szamotaniny trafił dłonią na znajomy, podłużny przedmiot. Była to nie napoczęta butelka wina, którą przyniósł do hangaru. Niestety, w sytuacji, w jakiej się teraz znajdował, nie miał żadnej możliwości uderzenia nią leżącego mu na plecach przeciwnika.

Zamiast tego mocno nacisnął kciukiem kapsel butelki. W jednej chwili jej wnętrze rozbłysło kolorowymi reklamami, migocącymi i błyskającymi w szybkim rytmie. W promieniu metra zrobiło się na tyle widno, że Han był już w stanie odróżnić kontury sprzętów.

Przytłaczający go ciężar najpierw zelżał, a chwilę później pilot poczuł, że jest wolny. Dobiegł go odgłos szurania — niewątpliwy znak, iż napastnik, najwidoczniej zaskoczony niespodziewanym obrotem sytuacji, postanowił się wycofać. Han z trudem dźwignął się z posadzki, mamrocząc wszystkie znane sobie przekleństwa i starając się nie myśleć o bólu, jaki sprawiał mu każdy ruch.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie mógł dostrzec przeciwnika. Uniósł nieco butelkę, lecz na niewiele to się zdało. Bądź co bądź nie była to latarka.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma chwili czasu ani na pościg, ani na poszukiwania włącznika światła. Niewielka bateria wewnątrz butelki była już na wyczerpaniu, więc korzystając z resztek światła, ruszył w kierunku bocznych drzwi, uważnie rozglądając się na wszystkie strony.

Za moment był na zewnątrz. Słońce oślepiło go na chwilę, więc oparłszy się o ścianę budynku, starał się choć częściowo odzyskać utracone siły i spokój.

Najbardziej martwił go fakt, że napastnikiem mogła być niedawno poznana dziewczyna. Wprawdzie wydawała mu się przyjaźnie nastawiona, ale fakty zdawały się temu przeczyć. Wątpił, by pracowała w pojedynkę, a to znaczyło, że już wcześniej, w hallu pasażerskim, mogli być obserwowani.

Jeżeli śledzili również Chewbaccę, i on może się znaleźć w opałach, pomyślał, i zelektryzowany tą myślą ruszył z miejsca, rozpaczliwie rozglądając się za wolną taksówką. Musiał dotrzeć do statku i miał nadzieję, że uda mu się tego dokonać, zanim ktokolwiek inny zdoła go zniszczyć lub uszkodzić.

## ROZDZIAŁ IV

Przez dłuższą chwilę jak na złość nie mógł złapać żadnej taksówki. Ta część portu wydawała się zupełnie wyludniona i wraz z upływem drogocennych minut Han zaczynał powątpiewać, czy zdąży na czas. Sama myśl, że jego jedyny przyjaciel może znaleźć się w tarapatkach, a napastnicy mogą bezkarnie uszkodzić „Sokoła” sprawiła, że chwilami tracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Wreszcie udało mu się zatrzymać taksówkę i po krótkim locie wylądował niedaleko miejsca, gdzie zaparkowany był statek. Niepokój Hana nieco zelżał na widok „Sokoła”, sprawiającego wrażenie całego i nie uszkodzonego. Pozostawało pytanie, co z Chewbaccą?

Ponieważ dysponowali niewielką ilością gotówki, zmuszeni byli pozostawić statek w miejscu, gdzie praktycznie każdy mógł wejść. Wynajęcie doku pierwszej klasy przekraczało tym razem ich możliwości. Paroma susami Han pokonał rampę i błyskawicznie omiótł wzrokiem cały kadłub „Sokoła”. Nie zobaczywszy nic szczególnego uruchomił zamek, gotów zaatakować każdego obcego, który znajdowałby się wewnątrz statku.

Gdy zasuwa odsunęła się, a po paru sekundach wzrok przyzwyczaił się do ciemności,

Han spostrzegł, że ciemna postać w przejściu to tylko Bollux. Mimo że płaskie, metalowe oblicze robota niezdolne było do odzwierciedlania jakichkolwiek uczuć, Han przysięgłby, że tym razem pojawiło się na nim coś w rodzaju ulgi.

— Kapitanie Solo! Cieszymy się wraz z Maxem ze spotkania z panem.

Han, lekceważąc powitanie, podążył w głąb korytarza.

— Gdzie Chewie? Czy wszystko w porządku? Co się tutaj działo? Czy ktoś był?

— Poza drobnym uszkodzeniem głównego zamka wszystko jest w porządku. Pierwszy oficer Chewbacca już obejrzał uszkodzenie, po czym udał się w nie znany mi kierunku. Następnie systemy zabezpieczające zaalarmowały nas, że ktoś próbuje siłą forsować zamek. Jednak najprawdopodobniej sprzęt, którym dysponowali przybysze, był niewystarczający dla pokonania systemów zabezpieczających.

Relacja Bolluxa była sensowna. „Sokół” po licznych modyfikacjach wyposażony był w najnowocześniejszy system zabezpieczający, praktycznie wykluczający możliwość wtargnięcia na pokład niepożądanych osób. Zamek, z zewnątrz sprawiający wrażenie bardzo nieskomplikowanego, był prawdziwym cudem techniki. Sforsowanie go przy użyciu typowych narzędzi było zupełnie niemożliwe.

Bollux kontynuował opowieść:

— Ostrzegłem ich, że jeżeli nie oddadą się natychmiast, zaalarmuję Espo. Udało się i na szczęście odeszli. W przeciwnym razie miałbym spory problem do rozwiązania, bo przecież zakazał mi pan wzywania policji, obojętne w jakiej sytuacji.

Han tymczasem przyjrzał się głównemu zamkowi. Na gładkiej powierzchni metalu dały się zauważyć niewielkie zadrapania i rysy. Zauważył też, że płyta zamykająca właz była nieco osmolona — włamywacze musieli widocznie posługiwać się latarką plazmową. Nie było to jednak groźne. Sforsowanie tak grubej płyty byłoby możliwe tylko przy użyciu działa laserowego. Jednak nawet to niegroźne, drobne uszkodzenie doprowadziło Hana do prawdziwej furii.

Robot, nie zważając na nastrój pilota, mówił dalej:

— Gdy tylko odeszli od zasuw, podążyłem do sterowni, aby im się przyjrzeć.

— Powinieneś być strzelać i zmieść ich z powierzchni ziemi, ty bezmyślna kupo złomu!

— Han był tak wściekły, że nie panował nad sobą i nad tym co mówił.

— Doskonale pan wie, że tego nie mogłem zrobić, przykro mi, kapitanie, ale mam wmontowaną blokadę, uniemożliwiającą zaatakowanie istot myślących.

Han uspokoił się nieco.

— Fakt — mruknął pod nosem. — Będę musiał się tym zająć i w wolnej chwili postaram się ciebie przeprogramować.

Przerażony perspektywą przekształcenia w robota bojowego, Bollux błyskawicznie zmienił temat:

— Kapitanie, dobrze zapamiętałem ludzi, którzy próbowali dostać się do środka. Mieli na sobie standardowe, błękitne kombinezony. Mężczyzny nie mogę dokładnie opisać, gdyż kapelusz zasłaniał mu większą część twarzy, ale za to znakomicie widziałem kobietę. Miała krótkie czarne włosy i...

— Wiem, spotkałem się z nią wcześniej — przerwał mu Han czując, że się czerwieni. Ciekaw był bardzo, które z tych dwojga napadło go w hangarze i czy w ogóle była to ich sprawka.

— Czy nie wiesz, w którą stronę się oddalili?

— Max poradził mi, abym ich śledził za pomocą pańskiej lornetki. Nieznajomi rozdzielili się. Mężczyzna udał się w kierunku hallu pasażerskiego, a kobieta wynajęła skuter. Błękitny Max zdołał się podłączyć do komputera nawigacyjnego skutera i udało mu się odczytać kierunek jej lotu. Udała się pięćdziesiąt trzy stopnie na zachód od planetarnego

bieguna północnego.

Han spojrzął na Bolluxa ze zdumieniem.

— Czasami wy dwaj naprawdę mnie zaskakujecie.

— Jest pan dla nas bardzo łaskawy, kapitanie — z głębi korpusu Bolluxa rozległo się charakterystyczne buczenie. — Błękitny Max również panu dziękuje.

— Miło mi — Han przez chwilę zastanawiał się nad dalszym postępowaniem. Kobieta skierowała się w stronę słabo zaludnionych rejonów planety. W żadnym wypadku nie mógł podążyć za nią. Miejscowe przepisy kategorycznie zabraniały obcym statkom poruszania się poza wyznaczonymi korytarzami. Jedynym, co mógł zrobić, było wynajęcie skutera i udanie się na poszukiwania. Nie mógł jednak zabrać ze sobą broni bez narażenia się na poważne kłopoty. Towarzystwo Chewbacca byłoby w tym przypadku bardzo pożądane, ale jednocześnie czekanie na niego zmniejszało szanse odnalezienia nieznajomej. Han, wciąż rozgorączkowany walką w hangarze i zdenerwowany uszkodzeniami statku, rozumował niezbyt logicznie. Trudno było się zresztą dziwić; jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia.

Największym problemem było w tej chwili skontaktowanie się z Chewbaccą.

— Bolluxie, chcę, abyś na chwilę zostawił Maxa, podłączonego do systemów zabezpieczających. Jeżeli ktoś będzie próbował wtargnąć do wnętrza, ma on postępować identycznie jak ty, a w ostateczności może nawet wezwać Espo. Natomiast ty masz odnaleźć Chewiego. Znajdziesz go w którymś z biur pośrednictwa pracy, przy wjeździe do Centrum Rekreacyjnego. Dołączę do was tak prędko, jak to będzie możliwe. Spotkamy się albo przy Landing Zone, albo tutaj. Przez ten czas powiedz Chewbacce o wszystkim, co się wydarzyło.

Han wynajął najszybszy jaki się dało skuter repulsorowy i wyprowadził go z hangaru. Znalazłszy się na wolnej przestrzeni rozpedził pojazd, obserwując okolicę przez lornetkę.

Podążał kursem podanym przez Bolluxa, mając przy sobie korektor lotu, ustawiony zgodnie z odczytem danych z przyrządu naprowadzającego ściganej kobiety.

Z góry miasto wyglądało jak gigantyczna mozaika ponurych fabryk, rafinerii, biur, hoteli pracowniczych i centrów handlowych, rozciągająca się bez końca we wszystkich kierunkach. Zgodnie z wymogami bezpieczeństwa ruchu, Han starał się utrzymać wymaganą wysokość, gubiąc się wśród innych licznych pojazdów. Wszystkie dopuszczone do ruchu korytarze były dosłownie zapchane skuterami, taksówkami i innymi pojazdami, jednak dzięki sprawnie działającej Kontroli Ruchu Powietrznego panował względny porządek. Kilkadziesiąt metrów poniżej rozciągały się równie ruchliwe ulice i aleje wielkiego miasta, wysoko w górze zaś, wzdłuż korytarzy przeznaczonych dla przelatujących tranzytem ciężkich statków transportowych, ruch był nieco mniejszy. Na każdym z poziomów dawały się zauważyć liczne, charakterystyczne pojazdy Espo.

Gdy miasto pozostało w tyle, Kontrola Ruchu Powietrznego powiadomiła Hana o przywróceniu mu prawa do swobodnej nawigacji własnym pojazdem. Skuter repulsorowy był niewielki, dosyć szybki i łatwy w obsłudze. Znalazłszy się poza zasięgiem radarów, Han natychmiast ściągnął z głowy otrzymany w agencji hełm. Nie przejmował się faktem, że w myśl obowiązujących na Bonadanie przepisów, noszenie hełmu podczas lotów było obowiązkowe. Zwiększył prędkość do maksimum.

Miał teraz przed oczami rozległą panoramę powierzchni Bonadanu — nieurodzajnej, surowej planety, prawie całkowicie pozbawionej warstwy żyznej gleby. Praktycznie cała roślinność planety uległa zniszczeniu wskutek nieprzemyślanego rozwoju i budowy nowych kopalń, zanieczyszczenia środowiska naturalnego oraz bezmyślnej gospodarki. Z pewnej wysokości planeta sprawiała wrażenie rozległej, żółto-brunatnej plamy, tu i ówdzie



poprzetykanej rdzawoczerwonymi żyłami i niewielkimi stromymi wzniesieniami. Władze Wspólnego Sektora nie przejmowały się długofalowymi skutkami rabunkowej gospodarki na rządzonych przez siebie planetach. W chwili gdy planeta została już ograbiona ze wszystkich bogactw naturalnych, a wszelkie życie poczynąło zamierać, bez najmniejszych skrupułów władze przenosiły działalność do innego systemu planetarnego.

Przesuwający się w dole krajobraz zmieniał się stopniowo. Han leciał teraz nad górzystym i niedostępnym terenem, który najwidoczniej nie przedstawiał żadnej większej wartości. Wkoło widać było ślady gospodarki ludzkiej. Jediną znacznieszą budowlą, górującą nad okolicą, była stacja kontroli pogody — ogromny cylinder wyrastający ze środka gigantycznej płataniny rur. W chwili gdy Han przelatywał obok, czujniki umieszczone na czubku wieży skierowane były w stronę morza, najwidoczniej badając, czy i kiedy rozpocznie się następny sztorm.

Strzałka na ekranie aparatu naprowadzającego drgnęła.

Han natychmiast skorygował kurs, po czym sięgnął po lornetkę.

Jakiś ruch w dole przyciągnął jego uwagę. Włączył na chwilę automatycznego pilota i uważnie przyjrzał się poruszającemu się punkcikowi. Był to niewielki pojazd powietrzny, nieco szybszy od skutera. Po chwili obserwacji Han stwierdził, że pojazd traci wysokość, szykując się do lądowania na rozległym płaskowyżu, tuż obok zaparkowanego tam innego skutera. Wyglądająca jak główka od szpilki postać wydawała się oczekiwać na przybysza.

Han nie zastanawiał się ani chwili. W innej sytuacji byłby może rozważył wszelkie za i przeciw, ale wściekłość wzięła górę. On i jego wspólnik zostali oszukani na dziesięć tysięcy w gotówce, o mały włos nie tracąc przy tym życia, później on sam został podstępnie zaatakowany, a tajemniczy nieznajomi usiłowali wdrzeć się do wnętrza „Sokoła”!

W miarę jak skuter zbliżał się do powierzchni planety, ogarniała Hana coraz większa wściekłość, działająca na jego umysł jak najsilniejszy narkotyk. W ostatniej chwili, tuż nad powierzchnią ziemi uruchomił hamulce, wykazując się mistrzostwem w prowadzeniu pojazdu, który łagodnie, prawie bez najmniejszych wstrząsów osiadł na ziemi. Pierwszym, co ujrzał po wyskoczeniu z pojazdu, był zdumiony wzrok kobiety i podejrzliwe spojrzenie mężczyzny, który wylądował o parę sekund wcześniej. Nieznajomy był nieco niższy od Hana, lecz bardzo szczupły, z wąską twarzą i głębokimi oczodołami. Podobnie jak stojąca obok kobieta, odziany był w standardowy roboczy kombinezon. Jednakże jego pojazd nie należał do typowych. Był to ślizgacz powietrzny, wyposażony w silnik o dużej mocy i dwie podobne do płóz szyny, zastępujące podwozie. Silnik pojazdu pracował teraz na wolnych obrotach, widocznie mężczyzna nie planował długiego postoju.

Kierowca ślizgacza z dziwnym uśmiechem na twarzy zwrócił się do kobiety:

— Wydawało mi się, że mówiłaś, iż Zlarb wysłał cię samą — spojrzał uważnie na Hana.

— Nie ma pan zupełnie wyczucia czasu, przyjacielu. — Ręka mężczyzny powędrowała do sakwy umocowanej na pasku, wyciągając ze środka coś, co natychmiast wypełniło powietrze donośnym bzyzieniem.

Było to wibrujące ostrze — najprawdopodobniej narzędzie rzeźnicze lub instrument chirurgiczny, które mogły być zakwalifikowane jako element wyposażenia statku. Ostrze długości dwudziestu centymetrów drgało z nieprawdopodobną częstotliwością, sprawiając, że powietrze wokół aż wibrowało. Bez wątpienia ludzkie ciało czy kość nie oparłyby się uderzeniu tej broni.

Han w ostatniej chwili odskoczył i ostrze przecięło powietrze o milimetry od jego głowy.

— Stój! — krzyknęła kobieta.

Han ujrzał, że dziewczyna trzyma w ręku pistolet i celuje w mężczyznę dzierzącego ostrze. Ten jakby tego nie zauważając zwrócił się w jej stronę, ponownie wprawiając

ostrze w ruch. Na twarzy kobiety odmalowała się obawa, jednak nie opuściła broni. — Nie baw się z nim, strzelaj! — krzyknął Han. Ujrzał, jak jej palec naciska na spust. Nic się jednak nie stało. Kobieta ze zdumieniem spojrzała na trzymany w rękę pistolet i jeszcze raz, też bezskutecznie, nacisnęła na spust. Mężczyzna ponownie zaatakował Hana, który zwiijając się desperacko zdołał uniknąć ciosu.

Kimkolwiek był atakujący go mężczyzna, jedno nie ulegało wątpliwości: znakomicie posługiwał się tego rodzaju bronią. Han pożałował, że w ogóle zdecydował się na lądowanie. Napastnik bez wątpienia zamierzał go zabić.

Kątem oka pilot dostrzegł swój skuter. Nie odrywając wzroku od napastnika, uczynił szybki krok w tym kierunku. Mężczyzna sądząc, że pilot próbuje ucieczki, podążył za nim, gwałtownie przecinając powietrze ostrzem w miejscu, gdzie Han powinien był się teraz znaleźć.

Jednak pilot w połowie kroku przerzucił ciężar ciała na drugą nogę i maksymalnie naprężając wszystkie mięśnie, schwycił hełm wiszący przy włączu skutera. Widząc, że został oszukany, napastnik wpadł w jeszcze większą furię i ponownie rzucił się do ataku. Trzymając hełm za pasek, Han spróbował wytrącić przeciwnikowi broń. Nie udało mu się to jednak, mężczyzna tylko się zachwiał.

W chwilę później nastąpił drugi atak. Tym razem napastnik zamachnął się oburącz, zamierzając rozplatać Hana na pół. Pilot uchylił się, po czym jednym gwałtownym susem runął na mężczyznę, próbując chwycić jego uzbrojoną rękę. Bez skutku. Sekundę później ostrze uderzyło w hełm, odrywając większą część zewnętrznej warstwy duraplastiku. Widząc, że z hełmu nie będzie już wielkiego pożytku, Han zamachnął się ciskając tym, co z niego pozostało, w twarz wroga.

Napastnik uchylił się, przechylając ciało w lewo. Ten ułamek sekundy wystarczył Hanowi, aby schwycić nadgarstek dłoni trzymającej broń. Mężczyźni zwarli się w morderczym uścisku i przez chwilę trwali tak nieruchomo, po czym przeciwnik Hana, milimetr po milimetrze, zaczął unosić wibrujące ostrze.

Han usłyszał zjadliwe buczenie i natężywszy wszystkie siły, spróbował wykręcić rękę przeciwnika. Przez chwilę mocowali się ze sobą, przetaczając parę razy. W końcu przeciwnik Hana zyskał przewagę. Zdołał wyswobodzić uzbrojone ramię i uniół je w górę do zadania ostatecznego, śmiertelnego ciosu. Buczenie ostrza wydawało się rozsadzać bębni Hana.

Nagle broń została odrzucona w bok, przelatując o włos od głowy Hana. Mięśnie siedzącego na nim mężczyzny zwiotczały i pilot wyzwolił się spod przygniatającego go ciężaru.

Jego oczom ukazał się niespodziewany widok. Parę metrów dalej nad ziemią unosił się ślizgacz napastnika. Za sterami pojazdu siedziała kobieta. Teraz posadziła maszynę na ziemi i wyskoczyła z kabiny. Szybkim krokiem podeszła do oszołomionego Hana.

Kobieta zatrzymała się przed nim i oparłszy jedną rękę na biodrze, patrzyła bez słowa.

— Dobrze to rozegrałaś, kosmitko — rzekł Han z podziwem w głosie.

— Czy nigdy nie zwracasz uwagi na to, co się dzieje wokół ciebie? — spytała z naganą w głosie. — Zamierałam uderzyć go kamieniem w głowę, ale ty przez cały czas mi w tym przeszkadzałeś. Nie wiem, jakby się to wszystko skończyło, gdybyście przez przypadek nie wtoczyli się pod gondolę pojazdu. Gdyby nie to... Hej, co robisz?

Han zrobił raptowny krok naprzód, schwycił dłonie dziewczyny i pochyliwszy głowę, głęboko wciągnął powietrze. Nie wyczuł charakterystycznego zapachu środka usypiającego, przy użyciu którego próbowano go obezwładnić w hangarze. Nie wykluczało to jednak jej winy — dziewczyna mogła mieć współnika.

Puścił jej ręce. Patrzyła na niego zdumiona.

— Czy ja również powinienam obwąchać twoje dłonie? A może powinienam zaklaskać albo odtńczyć taniec rytualny? Zdumiewa mnie pan, Zlarb.

Jej uwaga wydawała się tłumaczyć parę rzeczy, oczywiście przy założeniu, że nie odgrywała żadnej komedii.

— Nie nazywam się Zlarb. Zlarb nie żyje, a ten, dla którego pracował, jest mi winien dziesięć tysięcy.

Spojrzała na niego uważnie.

— To by się zgadzało, oczywiście jeżeli mówi pan prawdę. Jednak był pan w miejscu, w którym miał być Zlarb i zachowywał się pan tak, jak on miał się zachowywać.

Han wskazał kciukiem na martwego przeciwnika.

— A kim on był?

— To on miał się spotkać ze Zlarbem w hallu pasażerskim.

Han szykował się już do rozpoczęcia przesłuchania, ale kobieta nie dała mu dojść do słowa.

— Bardzo chętnie panu o tym opowiem, ale wydaje mi się, że powinniśmy się stąd wynieść, zanim oni przybędą.

Han spojrzał na niebo i zrozumiał, o czym mówiła. Zobaczył kilka szybko powiększających się punkcików, które Przybliżyły się w ich kierunku.

— To ślizgacze. Prędko, chodźmy! Skutery są zbyt Powolne — Han zabrał ze skutera swą lornetkę i pobiegł w kierunku ślizgacza, należącego do martwego mężczyzny. Kątem oka dostrzegł, że kobieta pochyla się nad zabitym.

Usadowiwszy się w fotelu pilota, Han uruchomił silniki i zręcznie manewrując podjechał w kierunku dziewczyny. Ślizgacz znakomicie zareagował na każdy, najmniejszy nawet ruch sterów.

Han zahamował ostro.

— Jedzie pani, czy zostaje? — zapytał, regulując ostatnie parametry i wygodniej sadowiając się w fotelu. Kobieta zręcznie wsunęła się do kabiny, zajmując miejsce za fotelem Hana. Wzięła ze sobą wibrujące ostrze.

— Bardzo przewidująco — stwierdził z uznaniem Han. — Teraz proszę zapiąć pas i trzymać się mocno — nacisnął gaz i w tej samej chwili unieśli się w powietrze, aż siła przyspieszenia wtłoczyła ich w fotele.

Zbliżające się ślizgacze nadlatywały od strony miasta, więc Han skierował pojazd w głąb łądu. Gdy dotarli do krańca rozległego płaskowyżu, raptownie skierował pojazd lotem nurkującym w dół. Lecieli teraz jak szaleni prosto jak kamień na powierzchnię planety.

Han zaparł się mocno. Następny manewr był tak gwałtowny, że siła odśrodkowa o mało nie wyrwała go z fotela. Omal nie stracili życia. Dolna część gondoli zahaczyła o podłoże, sprawiając, że cały pojazd zadrgał spazmatycznie i zawirował w miejscu. Nie na próżno jednak zwano Hana mistrzem pilotów. W jednej chwili opanował szalejącą maszynę, uniósł ją nieznacznie w powietrze i skierował na powrót na właściwy kurs.

Ukształtowanie terenu, nad którym się znajdowali, dawało im spore szanse ucieczki. Liczne zakręty, wąskie kaniony i wąwozy umożliwiały ukrycie się i przeczekanie niebezpieczeństwa. Przelatujące na dużej wysokości ślizgacze nie zdołałyby ich wyśledzić. Gdyby natomiast prześladowcy zdecydowali się na bezpośredni pościg, schodząc niżej, czekała ich niebezpieczna pogoń wśród półek skalnych i nawisów.

Han od dobrych paru lat nie prowadził ślizgacza, lecz swego czasu był to jego ulubiony pojazd. Przez pewien czas uczestniczył nawet w rajdach i pracował jako instruktor na kursach. Z przyjemnością i bez strachu myślał więc o zmierzeniu się z czwórką przeciwników. Obawiał się tylko jednego; istniało niebezpieczeństwo, że wrogie ślizgacze rozdzielią się — dwa pozostaną w górze, a pozostałe ruszą do bezpośredniego pościgu.

— Czym się przejmujesz? — zawołała pasażerka, starając się przekrzyknąć ryk silników. — Przecież na pewno nie mają broni palnej!

— To wcale nie oznacza, że nie mogą nas dostać w swoje ręce! — krzyknął nie odwracając głowy. Doszedł do wniosku, że towarzysząca mu kobieta niewiele miała do czynienia ze ślizgaczami. Odpowiedziała coś, czego wskutek panującego hałasu nie zrozumiał.

W chwilę później pojawił się, co zaniepokoiło kobietę. Wpadli w tak ostry zakręt, że, aby nie rozbić się o skałę, Han zahamował raptownie.

Ten przypadkowy manewr uratował im życie. Wiązka energetyczna dużej mocy eksplodowała dosłownie o parę metrów od lewej burty ślizgacza. Podmuch powietrza był tak ogromny, że niewielkim stateczkiem cisnęło o drugą stronę kanionu. Sporo wysiłku kosztowało Hana opanowanie maszyny i powrót na właściwy kurs.

Dwa wrogie ślizgacze odłączyły się od reszty eskadry. Jeden trzymał ten sam kurs co uciekinierzy, lecąc jedynie na nieco większej wysokości, drugi nurkującym lotem poszybował w dół, zmierzając do bezpośredniej konfrontacji z pojazdem Hana. Han doskonale wiedział, co teraz nastąpi — wrogie ślizgacze będą próbować wytrącić go z kursu lub zmusić do utraty wysokości i lotu prosto na otaczające ich skały. Była to stara zabawa pilotów ślizgaczy, tym razem jednak stanowiła walkę na śmierć i życie.

Han zdał sobie sprawę, że jeszcze przynajmniej jeden pojazd podaży bezpośrednio za nimi. Był pewien, że wrogowie pozostawią na dużej wysokości najwyżej połowę swych sił. Szybko sprawdził kąt padania promieni słonecznych i podjął błyskawiczną decyzję, kierując maszynę ku wybranemu kanionowi. Towarzysząca mu kobieta krzyknęła z przerażenia, widząc, że wybrany przez Hana wąwóz należy do największych w całej okolicy.

Wzdłuż jednej ze ścian kanionu było dość miejsca, by mogli poruszać się bez specjalnych trudnień, jednak Han, lekceważąc to ułatwienie, trzymał się przez cały czas drugiej strony, nieustannie klucząc, nurkując i wznosząc maszynę.

Nagle, bardziej wyczuwając, niż rozumiejąc zagrożenie, kątem oka dostrzegł na ścianie kanionu zbliżający się cień. Instynktownie zahamował, po czym gwałtownie dodał gazu. Wiązka energii wystrzelonej ze ścigającego ich pojazdu chybiła celu, a zanim wróg ponownie był gotów do ataku, Han zadarł nos ślizgacza i zgrabnym łukiem poszybował w górę.

Nieprzyjacielski pojazd, usiłując uniknąć zderzenia, wpadł na skały. Głuchy odgłos eksplozji wstrząsnął całym kanionem. Han poleciał dalej, nieciekawym losu pilota. Zwiększył prędkość pojazdu i skoncentrował się wyłącznie na sterowaniu.

Prawdziwy szok nastąpił, gdy wylecieli na otwartą przestrzeń. Góry i kaniony pozostały za nimi, wokół rozciągały się teraz rozległe równiny. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Han, były trzy ścigające ich ślizgacze. Sądził, że w labiryncie kanionów zdołał je zgubić, więc jakież było jego zdumienie, gdy wrogie pojazdy ujrzął tuż przed sobą.

Dostrzegł zdziwienie na twarzach pilotów ślizgaczy. Byli to mężczyźni i dwa humanoidy, których złocista karnacja skóry zdawała się odbijać promienie popołudniowego słońca. Nieprzyjaciele zawrócili jak na komendę, kierując pojazdy śladem Hana.

Ślizgacz uciekinierów pędził teraz z maksymalną prędkością, lecz pilot doskonale zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę nie zdoła umknąć prześladowcom i dotrzeć w bezpieczne okolice miasta. Trzeba było znaleźć inne wyjście...

Uwagę Hana przyciągnął olbrzymi walcowaty komin automatycznej stacji kontroli pogody. Potężne radary stacji, wprowadzone automatycznie w ruch, obracały się właśnie wokół korpusu. W ułamku sekundy Han zmienił kurs, kierując ślizgacz prosto na budynek.

Kobieta znów krzyknęła z przerażenia.

— Co ty wyprawiasz? Złapią nas!

Han nie miał czasu na żadne tłumaczenia. Zbliżywszy się do wieży zmniejszył nieco prędkość. Jedno spojrzenie upewniło go, że pozostali prześladowcy znajdują się po bokach i nad jego maszyną. Zmniejszył prędkość do minimum. Wieża z każdą sekundą rosła w oczach.

Ścigające ich ślizgacze przyhamowały, najwyraźniej nie pojmując dlaczego Han zmierza wprost na przeszkodę.

W chwilę później Han przeleciał pomiędzy dźwigarami konstrukcji. Wbrew pozorom nie był to zbyt skomplikowany manewr. Odstępy między potężnymi stalowymi belkami były stosunkowo duże. Ścigające pojazdy wybrały tę samą drogę. Ich piloci obawiali się widać, iż gdyby zdecydowali się okrążyć wieżę, Han zyskałby zbyt dużą przewagę. Tymczasem plan Hana polegał zupełnie na czymś innym. Raptownie pociągnął za drążki sterownicze, unosząc ślizgacz w górę, jednocześnie modląc się w duchu, by wieża nie miała żadnych niestandardowych przeróbek.

Ślizgacz Hana gładko przemknął pomiędzy dwoma pomostami roboczymi, znikając w przepaścistym kominie i kierując się w stronę obracającego się radaru.

Han obejrzał się za siebie i ujrzał, że trzech zdesperowani prześladowcy podążają za nimi. Ich maszyny poruszały się jednak o wiele wolniej od ślizgacza Hana. Widać było, że dotychczas jeszcze nie latali w takich warunkach.

— Trzymaj się mocno! — krzyknął przez ramię, raptownie kierując maszynę w stronę ścigających. Komin był na tyle szeroki, że wrogie maszyny bez trudu rozproszyły się, unikając zderzenia. Po chwili jednak nieprzyjacielskie ślizgacze ponownie zgrupowały się, podążając za Hanem.

Tuż przy wylocie komina Han dodał mocy silnikom. Teraz każdy ruch drążkami sterowniczymi wymagał maksymalnej precyzji i ostrożności. Towarzysząca Hanowi kobieta dopiero teraz zrozumiała jego plan i mocno objęła fotel, wtulając głowę w oparcie. Było już zbyt późno na zmianę decyzji. Ich życie zależało od tego, czy ślizgacz zdoła przecisnąć się pomiędzy kratą radaru.

W chwilę później byli już na otwartej przestrzeni, na trasie, prowadzącej w stronę miasta. Szczątki rozbitych maszyn spadały na ziemię, a jedyny ze ślizgaczy, który uniknął katastrofy, zrezygnował z pościgu.

Twarz kobiety była trupio blada.

— Czy dobrze się pani czuje? — zapytał z ironią w głosie.

— Nie odzywaj się, leć do miasta, ty psychopato! — odkrzyknęła.

Spojrzał na nią z aroganckim uśmiechem.

— Czemu się tak denerwujesz? Dobre intencje jeszcze raz zatriumfowały nad łajdactwem.

## ROZDZIAŁ V

Wracając do „Sokoła Tysiąclecia”, Chewbacca wyczuł nagle dziwny duszący zapach. Próbuąc bezskutecznie rozpoznać unoszącą się w powietrzu woń, cicho podkradł się do statku.

Po opuszczeniu hallu pasażerskiego Chewbacca pobieżnie sprawdził statek, by upewnić się, że nikt z personelu naziemnego nie próbuje się dostać do wewnątrz czy zablokować „Sokoła” w doku. Później udał się do centrali zarządzania portu i odwiedził parę agencji zajmujących się pośrednictwem pracy. Nie uzyskał tam jednak żadnych pożytecznych informacji.

Przez to wszystko Chewie nie był obecny podczas nieudanej próby wtargnięcia do wnętrza „Sokoła”, ani nie spotkał się z Hanem. Teraz jednak, czujny jak nigdy, instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Zbliżywszy się do rampy spostrzegł, że przy zamku głównego wjazdu manipuluje jakiś obcy. Obok leżała otwarta torba, pełna różnorakich narzędzi. Jeden rzut oka wystarczył Chewiemu, by dostrzec automatyczne świdry, palnik acetylenowy i inne akcesoria włamywacza. Uszy nieznajomego ochraniało coś, co przypominało słuchawki.

Chewbacca paroma susami wspiał się na szczyt rampy i schwyciwszy nieznajomego za kark, uniósł go w powietrze. Słuchawki zsunęły się z głowy włamywacza, odsłaniając Przyrząd, do którego były podłączone. Był to niewielki aparat, umożliwiający otwieranie zamków na słuch.

— Oooo! — wrzasnął nieznajomy, wijąc się i szarpiąc. Chewbacca zwolnił uścisk, nie dopuszczając jednak do tego, by włamywacz uciekł; zagroził mu dostęp do rampy. Intruz cofnął się, oparł plecami o właz, i trzęsąc się z przerażenia, spojrzał na Wookiego.

Nieznajomy należał do nieznanego Chewiemu rasy. Był mniej więcej o głowę niższy od Hana, a jego ciało pokryte było lśniącą, czarną jak smoła ni to łuską, ni skórą. Jego dłonie i stopy zakończone były silnymi, chwytnymi palcami, poprzerastanymi jaskrawozieloną błoną. Długi wąski ogon humanoida poruszał się nieustannie, a jego wilgotne czarne nozdrza rozdymały się raz po raz, odsłaniając długie ostre kły. Oczy stwora pozostawały zmrużone, co wskazywało, że nieznajomy należy do gatunku pochodzącego ze słabo oświetlonej planety.

Wydawało się, że stwór czerpie informacje o otaczającym go świecie głównie za pomocą ruchliwych, spiczastych uszu. Chewbacce udało się zaskoczyć go dlatego, że słuchawki znacznie ograniczyły jego słuch.

Nieznajomy potrząsnął łbem, wyprostował się dumnie, co zważywszy na jego wzrost, nie zrobiło na Chewbacce większego wrażenia, i dla dodania sobie animuszu zmarszczył nos. Jednakże jego głos, w zamierzeniu władczy i dumny, zabrzmiał skrzekliwie i bardzo niepewnie, co popsuło cały efekt.

— Jak mam rozumieć atak na moją osobę, wielkoludzie? Jak śmiałeś? Niniejszym informuję cię, że jestem komornikiem uprawnionym do tego typu działania. Ten statek znajduje się na czerwonej liście — wyciągnął z wnętrza torby gęsto zapisany karton i podał go Chewbacce.

Była to karta identyfikacyjna, wystawiona na nazwisko Spraya pochodzącego z planety Tynna, upoważniająca do działania w interesie Międzyplanetarnej Spółki Egzekucyjnej, zajmującej się ściąganiem zaległych płatności i, w razie konieczności, zajmowaniem majątku ruchomego.

Chewbacca, rzuciwszy okiem na dokument, stwierdził, że jest on prawdziwy. Nie wpłynęło to jednak na jego stosunek do włamywacza. Z zasady nienawidził wszelkich komorników, do tego zaś, który stał teraz przy nim, trzęsąc się ze strachu, czuł szczególną niechęć.

Popadnięcie w długi z rzadka tylko kończyło się poważnymi kłopotami i było tak częste, że każdy wykonujący wolny zawód człowiek od czasu do czasu znajdował się w takiej sytuacji. Jednakże biorąc pod uwagę ogromny obszar, zajmowany przez Wspólny Sektor, oraz swobodę przemieszczania się, oficjalna egzekucja jakichkolwiek należności nastroczała zawsze wiele kłopotów. Dlatego władze jak i tajna policja Espo wydawały się nie dostrzegać tego problemu, pozostawiając ściąganie długów i zajmowanie statków wyspecjalizowanym komornikom, takim jak Spray, którzy wyposażeni w czerwoną listę przemierzali Galaktykę wzdłuż i wszerz.

Spray zdawał się nie dostrzegać jawnej niechęci Wookiego. Po raz drugi sięgnął do wnętrza torby, dobywając stamtąd gruby notes i otworzywszy go, zagłębił się w lekturze.

Mruczał pod nosem coś niezrozumiałego, aż wreszcie natrafił na to, czego szukał.

— O, właśnie — rzekł z ożywieniem — czy to może pan jest kapitanem Solo?

Chewbacca warknął, kręcąc przecząco łbem i wskazał kciukiem w kierunku portu, dając tym samym do zrozumienia, gdzie Han może się obecnie znajdować. Zdecydowanym ruchem odsunął Spray z drogi i pochylił się nad zamkiem głównego wjazdu. Ujrawszy niewielkie uszkodzenie, z wściekłym błyskiem w oczach spojrzał na poborcę i złowieszczo zawył.

Ten jednak odzyskał już zimną krew i spojrzał na Wookiego wyzywająco.

— To nie jest moja sprawa — zafuczał. — Za kogo mnie pan bierze, za włamywacza? Czy sądzi pan, że otwieram zamki łomem? Jestem wyszkolonym agentem i mam do swojej dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia. W moim własnym interesie leży, aby zajęte ruchomości znajdowały się w jak najlepszym stanie. Nie mam pojęcia, kto dobierał się do zamka przed moim przybyciem, oświadczam jednak kategorycznie, że to nie ja uszkodziłem zamek. Wyłączyłem jedynie system alarmowy i właśnie zamierzałem otworzyć zamek, gdy zostałem zaatakowany. Mam jednak nadzieję, że teraz mnie pan wyręczy i sam otworzy zasuwę.

Wygłosiwszy tę tyradę, Spray spojrzał wyczekująco na zasunięty właz. Chewbacca poczuł się zbity z tropu zachowaniem komornika. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mu się, aby ktoś tak bardzo lekceważył jego groźny wygląd i przemawiał do niego tak kategorycznym tonem. Spotykał się już z różnymi reakcjami: strachem, wrogością i czasami złośliwością, nigdy jednak nie zetknął się z tak jawnym lekceważeniem swej osoby.

— O, znalazłem! — oznajmił Spray, natrafiwszy wreszcie na właściwą stronę. — Kapitan Solo nie dotrzymał terminu zapłaty dwóch tysięcy standardowych kredytów, które winien był Spółce Vinda i D'Raga Remonty Biezące i Kapitalne Statków Kosmicznych, z siedzibą na Oslumpex V. Kapitan Solo zignorował siedem, nie, osiem kolejnych pism ponagających.

Spray uniósł wzrok znad notesu.

— W związku z powyższym, panowie Vinda i D'Raga zwrócili się do agencji, którą reprezentuję, z prośbą o wyegzekwowanie należnej im sumy wraz z odsetkami. Proszę zatem otworzyć zasuwę, abym mógł przystąpić do wykonywania swoich obowiązków. Oczywiście ma pan prawo usunąć wszystkie przedmioty osobiste i...

Z gardła Chewbacca dobył się ostrzegawczy pomruk. Ktoś lepiej znający Wookiego niewątpliwie nie lekceważyłby tego sygnału. Spray zdawał się jednak nie dostrzegać oznak gniewu i cierpliwie czekał na wykonanie swego polecenia.

Nie przeraziła go również wiązanka najgorszych przekleństw, którą obdarzył go Chewbacca w ojczystym języku. Spray skulił jedynie uszy, lecz nie ustępował ani na krok. Chewbacca parokrotnie uderzył otwartą dłoń w kadłub, jednakże i to nie zrobiło na komorniku większego wrażenia.

Zirytowany Chewbacca wyrwał notes z rąk Spraya i zgniótłszy go potężnymi łapami, wepchnął sobie do ust, żuł chwilę, po czym połknął.

Nie rozwiązywało to jednak sprawy. Po raz pierwszy w życiu Chewbacca znalazł się w sytuacji, gdy trzykrotnie mniejszy i słabszy od niego stwór wykazywał tyle uporów i determinacji.

— To niczego nie zmieni, drogi Wookie — zapewnił go Spray. — Dysponuję wieloma duplikatami. Jeżeli kapitan Solo nie wypłaci należnej sumy wraz z odsetkami, będę zmuszony wyegzekwować ją sam.

Chewbacca poddał się w końcu, gestem nakazując komornikowi udanie się w dół rampy. Postanowił odszukać Hana i oddać sprawę w jego ręce; wydawało się to jedyną rozsądną alternatywą. Nie widział w tej chwili innego wyjścia. Nie mógł przecież pozwolić na

zajęcie statku ani też dopuścić się zbrodni z premedytacją w publicznym miejscu.

Jednak Spray się nie zgodził.

— Nic z tego, przyjacielu. To nie czas ani miejsce na negocjacje. Albo płacicie, albo tracicie statek — to wasz jedyny wybór.

W ciągu swego długiego życia Chewbacca nauczył się, że czasami najlepszą formą perswazji jest gwałt. Schwycił Spraya za ramię i uniósłszy go w górę, potrząsnął nim gwałtownie. Oczy Spraya wyszły z orbit.

— Po co się od razu tak gorączkować — wykrztusił pospiesznie komornik. — Może uda nam się dojść do porozumienia i uniknąć publicznej licytacji. Gdzie znajduje się w tej chwili kapitan statku?

Chewbacca ostrożnie postawił Spraya na nogi i wskazując na system zabezpieczający, wydał gniewny pomruk. Bezbłędnie odgadując jego życzenie, Spray pochylił się nad torbą z narzędziami i z powrotem włączył zdezaktywowany układ.

Natychmiast rozległ się dziecinny głosik Błękitnego Maxa:

— Kto tam? Dlaczego czasowo wyłączono system alarmowy? Żądam natychmiastowej odpowiedzi, jeżeli jej nie otrzymam, zawiadomię policję portową.

Chewbacca warknął coś w odpowiedzi.

— Och, to pan drugi pilot — odparł Max. — Bałem się, że znowu ktoś usiłuje dokonać włamania. Już raz to się zdarzyło. Kapitan Solo był tutaj i poszedł zbadać całą sprawę. Wysłał Bolluxa na lądowisko, aby na pana poczekał i przekazał wiadomości od niego. Czy zamierza pan wejść do środka?

Wookie zawarczał i podążył w dół rampy. Spray, prawie biegnąc, udał się za nim.

Za chwilę usłyszeli ponownie głos Maxa:

— Jakie są aktualne instrukcje? Komornik odwrócił się i szybko odkrzyknął:

— W imieniu Międzyplanetarnej Spółki Egzekucyjnej żądam, aby nic z majątku ruchomego, przynależnego do tego statku, nie uległo uszkodzeniu.

— Z tego wszystkiego zapomniałeś się chyba przedstawić — rzekła kobieta, gdy wchodzili na teren Centrum Rekreacyjnego. — Ja nazywam się Fiolla — dorzuciła.

Podczas drogi powrotnej nie rozmawiali ze sobą. Gdy dolecieli do miasta, pozostawili ślizgacz o parę przecznic od lądowiska, w Dzielnicy Obcych, a resztę drogi pokonali pieszo.

Han nie widział powodu, dla jakiego miałby dłużej ukrywać swoje imię. Handlarze niewolników już je znali, a każdy, komu na tym zależało, mógł się szybko dowiedzieć.

— Han Solo — rzekł.

Bollux, który nie zdołał odnaleźć Chewbacca na rozległym obszarze portu, miał również pecha w Centrum Rekreacyjnym. Uprosił jednak jednego ze strażników, by ten pozwolił mu poczekać przy wejściu, co umożliwiło dokładną obserwację wszystkich wchodzących i wychodzących.

Ujrawszy Hana, robot pospieszył w jego kierunku.

— Nie mam ochoty rozmawiać na stojąco — rzekł pilot na widok Bolluxa. — Chodźmy gdzieś usiąść.

Wypożyczenie wszystkich kawiarni i obiektów, znajdujących się na terenie Centrum Rekreacyjnego, stanowiły najprzeróżniejsze elementy konstrukcji statków. Han skierował się ku niewielkiemu, prostokątnemu stolikowi, wykonanemu z konsoly komputera jakiegoś starego, nie używanego już modelu.

Robot lekko się skłonił w kierunku kobiety.

— Jestem Bollux, robot pomocniczy, do pani dyspozycji.

Fiolla uśmiechnęła się lekko, ale zanim zdołała coś odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się Han:



— Dajcie spokój tym grzecznościom. Nie mamy teraz na to czasu. Bollux, gdzie jest Chewie?

— Nie zdołałem go odnaleźć, kapitanie. Przybyłem tutaj sądząc, że spotkam was obu. Do stolika przybliżył się kelner — Sljeeńczyk, o ciele wyposażonym w niezliczone, cienkie jak szpilki czułki. Na jego płaskiej głowie umocowano na stałe dużą tacę. Na jej środku znajdował się otwór, z którego wystawały czułki węchowe kelnera.

— Czy mógłbym przyjąć zamówienie? — zapytał i jego wzrok spoczął również na Bolluxie. — Przykro mi, ale roboty nie mogą przebywać w tym lokalu. Jest to niezgodne z panującymi tutaj obyczajami. Panowie, niestety musicie zostawić go na zewnątrz.

— Panowie? Kogo uważasz za panów? — spytała ostro Fiolla.

— Och, najmocniej przepraszam — usprawiedliwiał się Sljeeńczyk. — Pracuję tutaj i nie umiem jeszcze rozróżniać obcych, to znaczy mieszkańców innych światów niż mój własny. Proszę wybaczyć, że wszystkie nowe zapachy mnie oszołomiły.

— Robot tutaj zostanie — rzekł Han obojętnym tonem. — A teraz idź i przynieś nam dwa ogniste koktajle. Jeżeli nie, powiem twojemu szefowi, że obraziłeś tę damę.

— Już się robi. W tej chwili — Sljeeńczyk wykonał w miejscu półobrót i pospieszył w kierunku bufetu.

— Wiesz już więc, że nie jestem Zlarbem — rzekł Han do Fiolli. — A kim ty nie jesteś? Zaśmiała się krótko.

— Nie jestem handlarzem niewolników, ale imię, które ci podałam, a przynajmniej ta jego część jest prawdziwa. Nazywam się Hart-and-Paru Gorra-Fiolla z planety Lorrđ, Oficer do Specjalnych Poruczeń Władz Wspólnego Sektora.

Wielkie nieba!, pomyślał Han, Oficer do Specjalnych Poruczeń! Chyba od razu pójde na policję i każe się zamknąć w jakiejś przytulnej celi. Odkładając jednak na później tę możliwość, podjął przerwana opowieść:

— Handlarze niewolników muszą mieć chyba grube księgi rachunkowe.

— Niewątpliwie, chociaż nigdy się tym problemem nie zajmowałam. Jestem czymś w rodzaju inspektora i wyrывkowo kontroluję różne poczynania władz. Pracuję na tej planecie od pewnego czasu i wraz z moim asystentem przypadkowo odkryliśmy, że w ramach Wspólnego Sektora odbywa się zakrojony na szeroką skalę handel niewolnikami. Jest w to zamieszanych paru oficjeli, zarówno cywilnych, jak i policyjnych. Podejrzewam, że nici mogą doprowadzić nas nawet do Odumina — zarządcy tej części Sektora. Nie muszę wam mówić, jak wielką byłoby to sensacją. Nigdy dotychczas nie spotkałam Odumina, słyszałam jedynie, że jest on dobrym administratorem i sprawia wrażenie prawdziwego humanisty. W każdym razie zdecydowałam się na prowadzenie śledztwa na własną rękę. Gdy zbiorę wszystkie niezbędne informacje, całą sprawę przedstawię bezpośrednio Radzie Zarządców.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Spodziewam się, że jeżeli mi się powiedzie, awansuję o kilka stopni. Przyjrzyjcie mi się — macie przed sobą Fiollę z Lorrđ, przyszłą bohaterkę przestworzy. A teraz co wy możecie powiedzieć o sobie?

Han rozłożył ręce.

— Wynajmuję statek i swoje usługi. Spotkałem się ze Zlarbem, nie wiedząc, że jest on handlarzem niewolników. Nastąpiła sprzeczka i on zginął. Nie interesuje mnie, co się za tym wszystkim kryje, chcę tylko wypłaty dziesięciu tysięcy w gotówce, tak, jak to było ustalone w kontrakcie. Zlarb miał przy sobie taśmę, na której przekazano mu wiadomość, gdzie i kiedy ma się stawić po wypłatę. Po prostu przybyłem tutaj zamiast niego. A ty w jaki sposób trafiłaś do hallu pasażerskiego?

— Z pewnych źródeł uzyskałam wiadomość o tym, że takie spotkanie ma się tam odbyć.

Czy Zlarb nie powiedział ci niczego więcej?

— Zlarb zginął, zanim zdołałem cokolwiek z niego wydusić. Miał jednak wszystkie papiery statku i umowę dzierżawczą. Wszelkie formalności były załatwione przez oficjalną agencję na planecie Ammuud.

Kobieta zamyśliła się. Nie zważając na to, Han kontynuował:

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, czym nagle zaskarbiłem sobie twoje zaufanie? Nie chodzi oczywiście o to, że mi to bardzo pochlebia.

— To proste. Ta afera jest o wiele poważniejsza niż na początku sądziłam. Potrzebuję pomocy, a nie mogę się zwrócić do Espo. Wydajesz mi się człowiekiem rozsądnym, który wie, czego chce. Poza tym na pewno nie jesteś zamieszany w handel niewolnikami.

— Na twoim miejscu nie wyobrażałbym sobie zbyt wiele. Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robiłaś poza miastem.

— Mój asystent, Mogg, przechwycił wiadomość, którą szefowie Zlarba zostawili dla niego w hallu. Gdy stwierdziłam, że nie powiesz mi wiele, postanowiłam jakoś ci stamtąd wyciągnąć i...

Han pochylił się ku niej z takim wyrazem twarzy, że Bollux przez chwilę obawiał się o bezpieczeństwo kobiety.

— I Mogg poszedł za mną, by mnie zlikwidować, prawda?

Spojrzała na niego zaszokowana.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ktoś usiłował cię zabić?

— Tak.

Fiolla wzięła głęboki oddech.

— Dałam ci numer rządowego hangaru naprawczego. Statek, który się tam znajdował, to ten sam, którym wraz z Moggiem przybyliśmy na tę planetę. Wiedziałam, że Mogg pojechał do miasta w poszukiwaniu części zamiennych, w związku z tym sądziłam, że hangar będzie pusty. Posłuchaj; Mogg śledził twojego włochatego przyjaciela, gdy ten opuścił hall, i tym sposobem dowiedzieliśmy się, który statek jest wasz. Ponieważ nie udało nam się sforsować zamków i przeszukać wnętrza, udałam się na spotkanie mocodawców Zlarba. Mogg zaś poszedł dowiedzieć się czegoś o tobie.

Hana tak pochłonęła jej opowieść, że zapomniał o zrobieniu awantury za uszkodzenie zamka. Był pod wrażeniem jej pomysłowości, a przy tym zdumiewała go jej pewność siebie i pewna doza naiwności.

Kelner ponownie zbliżył się do stolika, przynosząc zamówione przez nich koktajle i dwie okrągłe serwetki. Postawił drinki przed Hanem i Fiollą i skłonił się służalczo.

— Służę uprzejmie — rzekł radośnie. — Czy zapłacą państwo od razu, czy też mam doliczyć do rachunku? — zapytał z nadzieją w głosie. W tym dniu został już dwukrotnie oszukany przez klientów, którzy bez skrupułów wykorzystali fakt, że zapamiętywanie i rozróżnianie nowych zapachów jak na razie sprawiało mu mnóstwo kłopotów.

— Dolicz do rachunku — rzekł Han bez namysłu. Rozczarowany Sljeeńczyk wycofał się, usiłując zapamiętać zapach Hana.

Przyniesione przez niego koktajle były wspaniałe — odpowiednio mocne i prawidłowo ochłodzone. Przez chwilę popijali w milczeniu, rozkoszując się smakiem i aromatem trunku.

— Czy nie sądzisz, że postąpiłaś nierozważnie, lecąc tam zupełnie sama? — zapytał Han.

— Miałam przecież broń — odparła. — Specjalny, niewykrywalny pistolet. Posługuje się nimi większość oficerów wyższej rangi. Skąd mogłam wiedzieć, że broń zawiedzie w najmniej odpowiedniej chwili?

— Gdzie jest teraz twój asystent?

— Umówiliśmy się, że gdy już zbierze informacje o tobie, pójdzie do naszego hotelu i przygotuje wszystko do odlotu. Wpadło mi do głowy, że być może będziemy musieli szybko się stąd wynieść.

— Bardzo prawdopodobne — odparł Han. Nagła myśl sprawiła, że znów stał się podejrzliwy i wrogi. — Domyślam się, że to Mogg uszkodził zamek w moim statku?

— Z mojego rozkazu usiłował się dostać do środka. Chcieliśmy sprawdzić, czy nie znajdziemy tam czegoś interesującego. Podejrzewałam cię o to, że po prostu kłamiesz. Mam nadzieję, że nie jesteś o to bardzo zły? Postaram się wynagrodzić ci jakoś wszystkie straty. A tak a propos, co to za zamek? Mogg był przekonany, że potrafi go bez trudu otworzyć i srodze się zawiódł. Powiedział, że aby sforsować ten zamek, potrzebowałby całego sklepu z narzędziami.

— Cenię sobie prywatność — odparł Han wymijająco.

— Mogg stwierdził, że włamanie się do Banku Rządowego byłoby łatwiejsze.

— Hm, wygląda na to, że zna się na swoim fachu.

— Och, tak. Posiadał on wiele najróżniejszych umiejętności i dlatego go zaangażowałam. Myślę, że wy dwaj...

W tej samej chwili drzwi baru otworzyły się szeroko i do sali wkroczyli Chewbacca i Spray. Wookie siłą usadził niewielkiego komornika na jednym z wolnych miejsc i stanął obok, nie zdejmując potężnej dłoni z jego ramienia.

— Spotkałem tutaj Fiollę i o mało nie straciłem życia — rzucił Han przyjacielowi. — A jak ty spędziłeś popołudnie?

Chewbacca przez chwilę badawczo lustrował wzrokiem nieznaną, po czym, wskazawszy na Spraya, opowiedział Hanowi w swym szczekliwym języku o tym, co się wydarzyło.

— Nie znoszę komorników jak psów! — oświadczył Han dobitnie.

— W takim razie sądzę, że darujemy sobie wszelkie dalsze dyskusje — odparł Spray, unosząc się z miejsca.

Mocarna dłoń Chewbacci przygwoździła go jednak do siedzenia.

Han gorączkowo analizował sytuację. Żałował, że nie potrafi rozumować tak prędko jak Błękitny Max. Teoretycznie, Spray miał prawo zwrócić się o pomoc do Espo, a ci niewątpliwie chętnie zajęliby „Sokoła”. Był już najwyższy czas, by to nieprzerwane pasmo niepowodzeń się skończyło i aby wróciło do nich zagubione szczęście.

Kelner, widząc, że do stolika przysiedli się nowi goście, skłonił się uniesieniem. Świadomy dopiero co popełnionej gafy, odezwał się uprzejmie do Wookiego:

— Słucham pana. Czym mogę służyć panu i pańskiemu małżeństwu?

Chewbacca zawarczał ostrzegawczo.

— Wypraszam sobie takie traktowanie! — wykrzyknął rozwścieczony i zdenerwowany Spray. — Nie należymy nawet do jednego gatunku!

— Czy już zapomniałeś, przed czym cię ostrzegałem? — zapytał Han kelnera ostrym głosem.

— Najmocniej, stokrotnie przepraszam — usprawiedliwiał się Sljeeńczyk, ze zdenerwowania przestępując z nogi na nogę.

— Cóż tu się u diabła dzieje? — wtrąciła się Fiolla, która nie rozumiała ani słowa z tego, co Chewbacca opowiedział Hanowi.

Spray uniósł szponiaste kończyny i uspokajającym gestem uciszył zebranych, po czym zwrócił się do Sljeeńczyka:

— Przede wszystkim dziękujemy i nie chcemy niczego do picia.

Kelner skłonił się i wycofał w kierunku bufetu.

— Wracając do rzeczy — kontynuował Spray. — Jest pan winien, kapitanie, dwa tysiące pięćset kredytów Spółce Vinda i D'Rrag. Proszę mnie nie uciszać, ani nie uspokajać, to

się panu nie uda. Jeżeli nie wypłaci pan natychmiast wyżej wymienionej kwoty, będę zmuszony zająć pański statek, którego numery identyfikacyjne zostały na dodatek bezprawnie zmienione.

Han zmrugał oczy i spojrzał na Spraya.

— Na twoim miejscu uważałbym na każde słowo i pamiętałbym o tym, że może się to dla ciebie źle skończyć.

— Czy nie sądzisz, Solo, że przesadzasz, grożąc mu w miejscu publicznym? — spytała Fiolla.

— Trzymaj się od tego z daleka. Coś mi się wydaje, że to ty za tym stoisz.

— Straszanie mnie w niczym nie zmieni pańskiej sytuacji, kapitanie — oświadczył Spray spokojnym głosem. — Albo niezwłocznie pan zapłaci, albo będę zmuszony udać się na policję i do zarządu portu.

Han zaniemówił, nie widząc wyjścia z sytuacji, i spojrzał desperacko na Chewbaccę, jakby u niego szukając ratunku. Jak zza mgły dobiegły go słowa Fiolli:

— Ja za niego zapłacę.

Otworzył usta ze zdumienia i spojrzał na kobietę.

— Lepiej zamknij usta, zanim słońce opali ci język — ostrzegła Fiolla. — Posłuchaj teraz uważnie. Sprawa, o której ci mówiłam, jest dużo bardziej skomplikowana niż sądzisz. Muszę zebrać jeszcze sporo danych i informacji, a do tego potrzebuję szybkiego środka transportu, ze zrozumiałych względów nie chciałabym jednak podróżować służbowym statkiem. Myślę, Solo, że ty również powinienesz pomyśleć o opuszczeniu planety, zanim Espo zainteresują się rozbitymi ślizgaczami i ich pasażerami. Jeżeli przystaniesz na moją propozycję, zapłacę twój dług. Poza tym chcesz odzyskać swoje dziesięć tysięcy, prawda? Najlepszym sposobem na to jest przyłączenie się do mnie. — Zwróciła się w kierunku Spraya: — Co pan na to?

Komornik nerwowo podrapał się po kępce rzadkiego futra, pokrywającego jego czaszkę, zmarszczył nos, i głęboko wciągnął powietrze.

— Czy płaci pani gotówką? — zapytał po dłuższej chwili namysłu.

— Rządowym czekiem gotówkowym — odparła Fiolla. — Połowa płatna teraz, a druga po załatwieniu naszych spraw. To dobry, wszędzie wymienialny czek.

— Nasza agencja preferuje pieniądze nad egzekucję majątku ruchomego — oświadczył komornik. — Jednak obawiam się, że spuszczenie was z oczu byłoby nierozsądne. Będę zmuszony pozostać z wami aż do chwili zapłacenia całej należności.

— Chwileczkę — wtrącił Han. — Nie mam zamiaru wlec tej kreatury za sobą.

Spray zdawał się nie dostrzegać pogardliwego stosunku Hana.

— Kapitanie Solo, propozycja tej pani jest absolutnie jedyną alternatywą wobec natychmiastowej licytacji pańskiego statku.

— Och, zawsze można spróbować starej sztuczki „Tajemnicze zniknięcie komornika” — zasugerował Han ponurym głosem.

— Zachowuj się jak mężczyzna — skarciła go Fiolla. — To nie będzie długo trwało, Solo. A jeżeli odmówisz mi swojej pomocy, będę zmuszona umieścić twoje nazwisko w moim raporcie. Jeżeli jednak zawieziesz mnie na Ammuud w celu sprawdzenia tej wspomnianej przez ciebie agencji, obiecuję całkowicie wymazać cię z pamięci.

Han miał nadzieję, że obietnica kobiety jest szczerą.

Szybkim ruchem przechylił wypitą w połowie szklanę. Prawie natychmiast poczuł działanie alkoholu, co jednak nie poprawiło mu zbytnio nastroju. Spojrzał pytająco na Wookiego, jednak i tu nie znalazł rady. Wzrok Chewiego mówił, że pierwszy oficer bez wahania przyjmie każdą decyzję Hana.

Pilot oparł brodę na dłoni.

— Chewie, zabierzesz Bolluxa i tego platfusa na statek. Ja udam się z naszym nowym pracodawcą po jej asystenta. Załatw wszystkie formalności przed odlotem i przygotuj statek do lotu na Ammuud.

Fiolla prędko wypełniła czek i odcisnęła ślad swego kciuka w miejscu przeznaczonym na podpis. Potem bez słowa wręczyła świstek Sprayowi. Han pojął, że kobieta dysponowała otwartym rachunkiem, co najlepiej świadczyło

o tym, że jej pozycja zawodowa jest naprawdę wysoka.

Wookie uniósł się z miejsca, dając znak Bolluxowi

i Sprayowi, by udali się za nim. Komornik skłonił się Fiolli.

— Dziękuję pani za zachowanie zimnej krwi. — Ruszył w kierunku drzwi.

Chewbacca gestem włochatej łapy pożegnał Hana i Fiolłę. W odpowiedzi na jego skinienie kobieta skrzywiła się zabawnie, uniosła wysoko górną wargę i ukazując zęby powtórzyła grymas Wookiego. Chewbacca roześmiał się po swoim. Chwilę później cała trójka zniknęła im z oczu.

— Widzę, że i naśladowanie dobrze ci idzie — zauważył cierpko Han, przypominając sobie scenę z hallu pasażerskiego.

— Mówiłam ci przecież, że pochodzę z Lorr — przypomniła mu.

Dopiero teraz Han w pełni pojął znaczenie jej słów. Lorrdańcy przez długie lata znajdowali się pod panowaniem silniejszych plemion. Ich prześladowcy zabronili im posługiwania się mową, śpiewem. Lorrdańcy, wykorzystywani wówczas jako siła robocza, wymyślili własny język gestów, mimiki, stając się mistrzami tego rodzaju porozumiewania się. Mimo że już wieki minęły od czasu, gdy zostali wyzwoleni przez Rycerzy Jedi i armię Starej Republiki, wciąż zaliczali się do niezrównanych mimów całej Galaktyki.

To stąd wiedziałś, że obserwowaliśmy dzisiaj stolik 131?

— Czytałam w waszych twarzach jak w otwartej księdze. Han pomyślał, że pochodzenie kobiety w pewnym sensie

tłumaczy jej zaangażowanie w sprawę handlu niewolnikami. Jednak, jakby nie patrzeć, rzadko zdarzało się, by Lorrdańczyk pracował tak daleko od ojczystej planety, a zwłaszcza dla władz Wspólnego Sektora.

Kończąc swego drinka, Han wskazał leżącą na stoliku książeczkę czekową.

— Bardzo często broń jest lepszym sposobem załatwiania sporów niż to, ale jeśli miałbym coś takiego do dyspozycji, kupiłbym sobie jakąś małą, spokojną planetę i wycofał się z interesu.

— I dlatego właśnie nigdy tego nie osiągniesz — oświadczyła wstając od stolika. — Mam nadzieję, że ta sprawa z niewolnikami zmieni dużo również i w moim życiu.

Kelner, wyczuwając, że stolik się zwalnia, podszedł, gwałtownie poruszając czułkami.

— Och, wydaje mi się, że to państwa rachunek, prawda? — spytał nieśmiało, podsuwając im zadrukowany kawałek papieru.

— Nasz?! — krzyknął Han z oburzeniem. — Przecież dopiero weszliśmy, a jeśli chcesz wiedzieć, bardzo długo czekaliśmy na zwolnienie się stolika. A teraz próbujesz na dodatek wetknąć nam cudzy rachunek, podczas gdy my jeszcze niczego nie wypiliśmy. Gdzie jest twój szef?

Całkowicie skonsternowany Sljeeńczyk rytmicznie prze-stępował z nogi na nogę. Nigdy nie mylił się przy rozpoznawaniu osobników własnej rasy, jednak ludzie stanowili dla niego nieprzeniknioną zagadkę.

— Czy jesteście państwo pewni? — wykrztusił wreszcie, cały spocony z wrażenia. — Przepraszam bardzo, widocznie musiałem pomylić państwa z innymi gośćmi — jeszcze raz spojrzął w kierunku pustego stolika, całkowicie skonfundowany. — Czy nie widzieli

państwo, kiedy ci ludzie wyszli? Jeżeli jeszcze raz dam się nabrać, stracę Pracę. Nie mogąc już dłużej znieść tego widoku, Fiolla sięgnęła do kieszeni, wydobywając z niej pełną garść monet, po czym rzuciła je na tacę — Solo, jesteś nieznośny! Sljeeńczyk wycofał się, wychwalając pod niebiosa jej hojność. Fiolla i Han podążyli ku wyjściu.

## ROZDZIAŁ VI

Fiolla zatrzymała się w „Imperialu”, jednym z najelegantszych hoteli na terenie portu lotniczego. Han starał się ze wszech miar sprawić wrażenie człowieka światowego i obytego, choć trudno mu było bez podziwu przyglądać się pluszowym, wyciszającym kroki dywanom, dyskretnemu oświetleniu, bogatym stylowym meblom i oryginalnej ornamentyce.

Fiolla zachowywała się tak, jakby od urodzenia przebywała wyłącznie w takich wnętrzach. Nawet w nieco podniszczonym i wybrudzonym kombinezonie sprawiała wrażenie prawdziwej damy. Zdecydowanym krokiem podeszła do windy i nacisnęła przycisk siódmego piętra.

Zajmowany przez nią apartament wyposażony był luksusowo, choć bez zbędnego przepychu. Jednak w chwili gdy drzwi drugiego pokoju rozsunęły się bezszelestnie, Han zobaczył, że odzież i osobiste drobiazgi Fiolli leżą porozrzucane po całym wnętrzu. Meble poodsuwano, poduszki i oparcia zostały rozprute, a ich zawartość wybebeszona. Drzwi wszystkich szaf pootwierane były na oścież i całą podłogę pokrywała warstwa notatek i porozwlekane taśmy magnetowidowe.

Odpychając Fiolle od drzwi, Han przypomniał sobie, że jest nieuzbrojony.

— Czy masz drugi pistolet? — zapytał szeptem. Spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami i przecząco Potrząsnęła głową.

— W takim razie daj mi ten, który się zacina. Lepszy taki niż żaden.

Podążyła mu broń. Han przez chwilę uważnie nasłuchiwał, nie usłyszał jednak nic wskazującego na to, że ktoś wciąż znajduje się wewnątrz. Ostrożnie wśliznął się do środka. Pokój był pusty. Gestem nakazał dziewczynie wejść, po czym zablokował drzwi i włączył system alarmowy.

— Gdzie jest pokój Mogga? Wskazała pluszową kotarę.

— Za nią są drzwi. Zawsze zajmujemy sąsiednie apartamenty. Często spędzamy wiele godzin na analizowaniu danych i wydruków komputerowych.

Ostrożnie nacisnął na klamkę i wszedł. Pokój Mogga był w identycznym stanie jak ten, w którym się znajdowali.

— Wysłałaś go tutaj, aby spakował bagaże? — zapytał Han.

Przytaknęła, z niedowierzaniem rozglądając się dookoła. — Cóż, najwidoczniej ktoś go wyprzedził. Zabierz tylko parę najpotrzebniejszych rzeczy i wynosimy się stąd natychmiast.

— Ale co mogło się stać z Moggiem? Musimy zameldować o tym policji — rzekła, cofając się do swego apartamentu. Han pośpiesznie zaprogramował polecenie dla robotów odpowiedzialnych za sprzątanie tego pokoju, po czym podążył za kobietą.

— Nie pójdziemy na policję — oświadczył stanowczo. Możliwe, że i oni są w to zamieszani, zresztą sama sugerowałaś. Pospiesz się!

W chwilę później Fiolla była już gotowa do wyjścia. Wszystkie kieszenie kombinezonu powypychała najróżniejszymi drobiazgami, dodatkowo zabierając niewielką torbę na

ramię.

— Muszę ci przyznać rację co do Espo — stwierdziła. —!] Ale cóż ty, na Boga, robisz? Spojrzał na nią znad programatora.

— Nie powinnaś nawet pytać o tak coś oczywistego. Po prostu kazałem zebrać i przechować wasze rzeczy w magazynie hotelowym. Wróćcie po nie później — rzekł.

— Czy zapłaciłaś z góry? Dobrze, w takim razie ruszamy.

Wyszli z apartamentu, ostrożnie wyrzła z za rogu, omiatając wzrokiem długi korytarz. Nerwy Hana napięte były do ostatecznych granic, ale o dziwo, podróż windą jak i przejście przez hall na parterze minęły bez żadnych niespodzianek. Powietrzna taksówka dowiozła ich aż do bramy wejściowej na teren portu, położonej blisko doku, w którym zaparkowany był „Sokół”.

Dochodzili już do „Sokoła”, gdy raptem Solo szarpnął Fiolłę za ramię, gestem nakazując jej ukrycie się za rogiem i jednocześnie wskazując na paru wąłęśających się niby bez celu osobników.

— Rozpoznajesz któregoś z nich?

— Masz na myśli tych złotokórych? Czy nie są to przypadkiem nasi znajomi? Cóż oni tutaj robią?

— Pewnie przyszli zaprosić nas do swego klubu akrobatycznego, cóż by innego? — zakpił Han.

— Co robimy? — zapytała Fiolla.

Han sięgnął po przyczepioną do pasa lornetkę. Po chwili ujrzał potężną sylwetkę Chewbacci, siedzącego w sterowni i sprawdzającego coś na konsolce sterowniczej.

— Przynajmniej o Chewiego nie musimy się martwić — oznajmił. — Sądzę, że Spray i Bollux również są na pokładzie. Nasi przyjaciele prawdopodobnie oczekują tylko na nas — Han był świadomy, że przebijanie się na pokład „Sokoła” pod osłoną ognia dział pokładowych byłoby najgorszym ze wszystkich możliwych rozwiązań. Szanse bezpiecznego skoku w nadprzestrzeń były prawie równe zeru.

Fiolla w zamyśleniu przygryzała dolną wargę.

— Istnieje regularne połączenie pasażerskie pomiędzy tą planetą a Ammuudem. Moglibyśmy z niego skorzystać i spotkać się z Chewbaccą tam, na miejscu. Ale jak go o tym zawiadomić?

Han uważnie przyjrzał się zaparkowanym w pobliżu statkom.

— Myślę, że znalazłem to, czego potrzebujemy — rzekł. Ujawszy dłoń kobiety, poprowadził ją wzdłuż rzędu pojazdów.

Po chwili dotarli do wypatrzonego przez Hana statku.

Był to duży, masywny transportowiec, podłączony właśnie do cysterny z paliwem. Włazy pojazdu były szeroko otwarte. Han podciągnął się na rękach i zniknął wewnątrz. Parę sekund później właz do kabiny uchylił się, ukazując sylwetkę pilota.

— W porządku, nie ma nikogo — rzekł, pomagając dziewczynie dostać się do środka. Zasiadli w fotelach pilotów. Han, nie odkładając lornetki, cały czas bacznie obserwował Chewbaccę. Gdy tylko Wookiee spojrział w ich kierunku, Solo włączył reflektory transportowca. Chewbacca nie zwrócił jednak na to uwagi.

Dopiero za czwartą próbą udało im się przyciągnąć uwagę Wookiego. Nie spuszczać wzroku z konsoli „Sokoła”, Han dostrzegł, jak długie włochate ramię sięga do dźwigni świateł, włączając je porozumiewawczo.

Fiolla bacznie obserwowała kręcących się wokół „Sokoła” osobników, sprawdzając czy nie odgadli ich planów. Zauważyła, że jest ich więcej, niż na początku sądzili; w zasięgu wzroku było czterech. Podczas gdy Chewbacca pozorował rozruch silnika, Han przesłał mu kodem świetlnym informację o tym co się dzieje i co zamierzają uczynić. Mimo

że jego myśli zajęte były przez chwilę czymś innym, stale wyczuwał obecność Fiolli, dochodząc do wniosku, że to widocznie zapach jej perfum wpływa nań rozpraszająco. Gdy zakończył już nadawanie depeszy, światła „Sokoła” dwukrotnie mignęły. W chwilę później opuścili kabinę frachtowca, natykając się na stojącego obok technika.

— Hej, wy, czego tam szukacie? — usłyszeli. Fiolla spojrzała z góry na technika.

— Od kiedy to personel Biura Bezpieczeństwa Portu musi się tłumaczyć przed pracownikami obsługi naziemnej? Kto jest twoim nadzorcą?

Technik wymamrotał pod nosem jakieś usprawiedliwienie, stając jednocześnie na baczność. Fiolla spojrzała na niego surowo i ujmując Hana pod ramię ruszyła spokojnym krokiem.

— Czy pójdziemy teraz zarezerwować miejsce na lot? — spytała, gdy znaleźli się już w bezpiecznej odległości.

— Tak, będziesz miała okazję przetestować opuszczanie planety pod fałszywym nazwiskiem. Chewie poczeka do naszego odlotu i dopiero wtedy wystartuje. Oni raczej nie podejrzewają, że odleci bez nas, więc nie sędzę, aby miał jakiegokolwiek kłopoty. Spotkamy się z nim już na miejscu, na Amnruudzie.

— Mamy szczęście — rzekła Fiolla do Hana, stojącego na wprost rozkładu odlotów.

— Dzisiaj wieczorem mamy bezpośredni statek na Ammuud.

Han potrząsnął głową.

— Nie. Polecimy lotem numer 714, wahadłowcem. Kobieta zmarszczyła brwi.

— Czy nie zauważyłeś, że ten statek nie opuszcza granic systemu?

— I dlatego nikomu nie przyjdzie do głowy, że możemy nim odlecieć — odparł.

— Na statkach o dalekim zasięgu zawsze podróżują różni szpiedzy. Poza tym, jeżeli wierzyć rozkładowi, na pierwszym przystanku możemy przesiąść się na statek lecący bezpośrednio na Ammuud. Co najważniejsze, ten wahadłowiec zaraz startuje. Musimy się pośpieszyć.

Usiłował nie sprawiać wrażenia zbyt zaafektowanego, gdy kupowali bilety. Byli jednymi z ostatnich pasażerów, którzy weszli na pokład. Ponieważ był to zwykły wewnątrzsystemowy lot, na pokładzie nie było żadnych kabin noclegowych, a jedynie rozkładane fotele. Westchnąwszy z ulgą Han rozsiadł się wygodnie, myśląc o możliwości drzemki.

Fiolla zajęła miejsce przy oknie.

— Dlaczego kazałeś mi zapłacić za bilety gotówką? — zapytała.

Otworzył jedno oko i spojrzał na nią.

— Chciałabyś podróżować anonimowo, płacąc wszędzie rządowymi czekami? Równie dobrze mogłabyś napisać sobie na czole: JESTEM FUNKCJONARIUSZEM RZĄDOWYM — KTO CHCE, MOŻE STRZELAĆ.

— Czy myślisz... — w jej głosie zabrzmiał strach — czy sądzisz, że to właśnie przytrafiło się Moggowi?

— Nie sędzę. Raczej trzymają go jako zakładnika. Chciałem tylko powiedzieć, że nie powinniśmy zostawiać za sobą najmniejszych śladów. Nie bierz sobie tak bardzo do serca wszystkiego, co powiem, czasami zdecydowanie za dużo gadam.

— Lub zbyt mało, Solo. — W głosie Fiolli zabrzmiała udawana wesołość. — Muszę się nad tym poważnie zastanowić. — Wyrzała przez szybę, obserwując start. Han, dla którego widok ten nie stanowił żadnej nowości, zapadł w sen na długo zanim jeszcze opuścili troposferę.

Wysiadłszy z wahadłowca na Bonadanie, piątej z kolei planecie systemu słonecznego, do którego należał Bonadan, stwierdzili, że stracili połączenie. Wahadłowiec, którym przybyli, miał niewielkie opóźnienie względem rozkładu. Ponieważ linie wewnątrzsystemowe



podlegały innemu zarządowi niż linie międzysystemowe, wszelkie opóźnienia tych pierwszych nie wpływały na punktualność odlotu tych drugich.

— Do diabła! — zaklął Han. — Czy nie mogliby jakoś zsynchronizować tych połączeń?

— Przestań narzekać. Przecież nic na to nie poradzimy — odparła Fiolla. — Popatrz — rzekła, wskazując palcem na rząd cyferek na rozkładzie. — Tym statkiem możemy również dotrzeć na Ammuud. Lot 332.

Han spojrział na wskazaną przez nią informację.

— Chyba zwariowałaś. Przecież to statek klasy M, najprawdopodobniej turystyczny. Zatrzymuje się na dwóch, nie, na trzech innych planetach. Zanim dotrzemy na miejsce miną wieki.

— To najszybsza droga na Ammuud — odparła Fiolla. — Chyba że wolisz wrócić tam, skąd przybyliśmy, i poznać się bliżej z tymi, którzy na nas czekają. A może poczekamy na nich tutaj?

Han zdawał sobie sprawę z tego, że Chewbacca i reszta będą już wkrótce oczekiwać ich na Ammuudzie.

— Hm, spodziewam się, że nie dysponujesz ilością gotówki wystarczającą do wynajęcia osobnego statku?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Dlaczego nie? Z każdej pensji odkładałam co nieco, aż w końcu zebrałam tyle, że zakupiłam własną flotę. Pomyśl wreszcie rozsądnie, Solo.

— W porządku, dajmy temu spokój. Jakoś przeżyjemy tę podróż.

Po drodze do kasy napotkali licznych mieszkańców przeróżnych planet. Czasami były to istoty niezwykle malownicze lub odrażające, zabawne, czasem groźne. Część z nich nieprzystosowana do atmosfery Roonadanu korzystała z aparatów tlenowych. W sumie hall pasażerski sprawiał wrażenie gigantycznego ogrodu zoologicznego.

Nagle Han poczuł na swym ramieniu ciężar potężnej mocarnej ręki. Strząsnął ją z siebie i natychmiast kocim susem odskoczył na bok, sięgając ręką ku miejscu, gdzie normalnie wisiła kabura pistoletu.

— Spokojnie, Han. Widzę, że mimo upływu lat masz wciąż znakomity refleks — zaśmiał się mężczyzna, który go zaczepił.

Przygotowany na to, że ujrzy oddział gotowych do ataku Espo, lub rozwścieczonych wspólników Zlarba, Han zdębiał z wrażenia. Gdy tylko ujrzał twarz nieznajomego, rozpoznał go natychmiast.

— Roa! A cóż ty tu porabiasz? — Chociaż od czasu ich ostatniego spotkania Roa znacznie przytył, rysy twarzy tego arcsprytnego i utalentowanego przemytnika nie zmieniły się. Roa uśmiechnął się lekko, co nadało jego twarzy ojcowski wygląd.

— Jestem tu tylko przejazdem, synu, tak jak chyba wszyscy. Twoja postać wydała mi się dziwnie znajoma i jak widzisz nie pomyliłem się. — Przemytnik trzymał w ręku niewielką tęczkę. Ubrany był w klasyczny beżowy garnitur, białe buty i tęczową apaszkę.

— Sądzę, że pamiętasz Lwyllę — rzekł, wskazując na stojącą opodal kobietę. Ta obróciła się w stronę Hana.

— Jak leci, Han? — spytała dźwięcznym, tak dobrze pamiętanym przez Hana głosem. Lwylla w przeciwieństwie do swego męża miała wciąż znakomitą figurę, co w połączeniu z burzą jasnych włosów i przystojną twarzą sprawiało, że była nadal bardzo atrakcyjną kobietą. Han pomyślał, że upływ czasu nie ma wpływu na wygląd i samopoczucie Lwylli.

Widok tej pary przywołał wspomnienie dawnych dni, kiedy to po opuszczeniu rodzinnej planety błąkał się przez jakiś czas w poszukiwaniu pracy, by wreszcie, bez grosza przy duszy, zostać zaangażowanym przez Roa.

To właśnie Roa umożliwił Hanowi udział w najeździe na Kessel — ryzykanckiej, niebezpiecznej wyprawie, która o mały włos nie stała się dla Hana ostatnią. W tym krótkim czasie Han zyskał sobie opinię szaleńca, gotowego na wszystko, byle tylko zdobyć trochę grosza.

Przestali ze sobą współpracować już wiele lat temu, a mimo tego Han zachował wiele ciepłych wspomnień. Ujrzawszy Roa ucieszył się, choć w głębi serca natychmiast zrodziło się podejrzenie, że spotkanie to nie jest całkowicie przypadkowe.

Roa zachowywał się jednak normalnie. Fiolla głośno przełknęła ślinę, a Han, jakby nigdy nic, przedstawił ją znajomym.

— Widzę, że i ty jesteś poza grą, co? — Roa gestem wskazał na pas Hana. — Hm, wcale cię za to nie winię, Han. Sam też się wycofałem, zaraz po naszym rozstaniu. Byliśmy z Lwyllą już trochę zmęczeni. Starzejemy się i wolimy teraz nieco spokojniejszy tryb życia. A czym ty się zajmujesz?

— Prowadzę firmę transportową, Han-Solo Transport, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

— Ach, tak. Brzmi interesująco i chyba masz z tego niezłe dochody, prawda? Zawsze przecież tego chciałeś. A jak się miewa twój stary kompan Wookie? Jesteś może w kontakcie z pozostałymi, Traggą, Vonzelem?

— Traggą kończy się w obozie pracy przymusowej na Akrit'tar. Złapali go, zanim zdołał połknąć truciznę. Sonniod prowadzi firmę przesyłkową i zarabia tyle, co na życie. Bliźniaki Brul już nie żyją, zginęli podczas potyczki ze statkiem patrolowym na Tion Hegemong. A Vonzel uległ wypadkowi podczas awaryjnego lądowania i resztę swych dni spędzi w więzieniu dla kalek, bo przed wypadkiem wpłatał się w kradzieże i napady rabunkowe na banki.

Roa pokręcił ze smutkiem głową.

— Tak, smutne to, co mówisz. Niewielu nas już zostało. Po chwili zadumy spojrzął na Hana i uśmiechnął się figlarnie. Zanurzył rękę w kieszeni, wydobył wizytówkę i podał ją Hanowi, mówiąc:

— Piąta co do wielkości w tej części Galaktyki firma import-eksport — oświadczył z dumą. — Pracują dla nas najlepsi specjaliści od spraw ceł i podatków. Wpadnij któregoś dnia, pogadamy o dawnych czasach.

Han włożył wizytówkę do kieszeni, a Roa zwrócił się do żony:

— Widzę, że nasz bagaż został już przetransferowany. Upewnij się, czy aby na pewno jesteśmy na liście pasażerów tego wahadłowca. — Spojrzął badawczo na Hana.

— Jak to dobrze, że to wszystko jest już za nami, prawda?

— Tak też sędzę.

Roa po przyjacielsku klepnął go w ramię, skłonił się z szacunkiem Fiolli, po czym odmaszerował.

Lwylla, odczekawszy chwilę, spojrzała na Hana porozumiewawczo.

— Czy aby na pewno nie masz z tym już nic wspólnego, Han? Nie wierzę w to, nie w przypadku Hana Solo. Ale dzięki za to, że mu tego nie powiedziałaś. — Lwylla dotknęła policzka Hana i oddaliła się w kierunku, w którym podążał jej mąż.

— Masz interesujących przyjaciół — rzuciła Fiolla. W duchu musiała jednak przyznać, że ta rozmowa pozwoliła jej zobaczyć Hana w innym świetle. Patrząc na młodzieńczą twarz pilota nikt nie odgadłby, że od dawna pracował w zawodzie, w którym żyło się szybko i krótko.

Podążając wzrokiem za oddalającą się parą, Han przypomniał sobie słowa Roa i dobył z kieszeni wizytówkę.

— Hej, Solo, obudź się — syknęła Fiolla. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie!

Zbliżyli się do okienka kasy.

Nie powinienem na razie narzekać. Mogłoby być o wiele gorzej, pomyślał Han.

— Samo wpatrywanie się jeszcze nie zapewnia wygranej — rzekła Fiolla, wskazując karuzele ruletek i automatyczne gry hazardowe, stojące w głównym salonie pasażerskim liniowca.

Ubrana była teraz w długą powiewną szatę i błyszczące trzewiki. Opuszczając apartament hotelowy, w ostatniej chwili wepchnęła do torby również strój wieczorowy i decyzja ta okazała się ze wszech miar słuszną. W tym miejscu nie mogłaby bez wzbudzania podejrzeń paradować w przy-brudzonym kombinezonie roboczym. Nawet Han, wyczuwając wykwinną atmosferę tego miejsca, odprasował swoją koszulę i dopiął ją na ostatni guzik.

— Moglibyśmy przeanalizować zebrane dotąd informacje — zaproponowała.

— Przecież niczym innym się nie zajmujemy, odkąd weszliśmy na pokład — odparł Han krzywiąc się z lekka.

Nie było to jednak całkowicie zgodne z prawdą. Rozmawiali również o wielu innych rzeczach i pilot ze zdumieniem stwierdził, że Fiolla jest wspaniałym kumplem, którego towarzystwo było o wiele bardziej atrakcyjne niż kompania pozostałych pasażerów. Tylko jedna rzecz zdecydowanie mu się nie podobała — jego towarzyszka zawsze przed udaniem się na spoczynek dokładnie zamykała drzwi swojej kabiny. Nie tracił jednak nadziei, że z czasem i to się zmieni.

Fiolla opowiedziała, w jaki sposób natrafili z Moggiem na ślad afery z niewolnikami. Sprawdzali wtedy jakieś mało istotne, powszechnie dostępne dane w komputerze, gdy nagle nastąpiły zakłócenia w pracy urządzenia. Zwróciła się o pomoc do Mogga, który jako doświadczony informatyk miał już do czynienia z wieloma komputerami. Gdy zaczął szukać usterki, na monitorze komputera ukazały się tajne informacje dotyczące planety Bonadan. Tak dowiedzieli się o istniejącym procederze i zbliżającym się terminie wypłaty.

Han wciąż przypatrywał się pasażerom, próbującym szczęścia w Punkcie Piątym, Międzygwiezdny Wędrowcu, Zdobycy Przestrzeni i parunastu innych grach. Od chwili wejścia na pokład statku walczył z ogarniającą go chęcią przyłączenia się do gry. Z upływem każdej godziny stawało się to coraz trudniejsze. Ta przymusowa beczynność stawała się niesłychanie męcząca.

Fiolla kategorycznie odmówiła sfinansowania jego zamiarów, mimo że obiecywał jej w zamian wygrane, wielokrotnie przewyższające wyasygnowaną kwotę. Wtedy zarzucił jej, że gdyby nie zbędne wydatki na opłacenie dwóch oddzielnych kabin, nie musieliby tak bardzo liczyć się z groszem i byłoby ich stać na niewielkie uprzyjemnienie lotu.

— Ponad wszystko cenię sobie wygodę — odparła. — A poza tym, jeżeli jesteś tak znakomitym hazardzistą, jak to się stało, że podróżujesz bez grosza tą starą, wysłużoną łajbą, a nie nowoczesnym komfortowym jachtem?

Pomyślał, że lepiej będzie zmienić temat rozmowy.

— Upłynęły już dwa dni, odkąd jesteśmy w podróży, a końca nie widać. Szkoda mi straconego czasu. Nie dziw się, że zaczynam wariować. Na pokładzie „Sokoła” dotarlibyśmy tam pięć razy szybciej!

Uniósł się znad stolika, przy którym spożywali kolację.

— Chyba pójde się odświeżyć dla zabicia czasu. Schwyciła go za nadgarstek.

— Uśmiechnij się. I proszę, nie zostawiaj mnie tutaj samej. Nie chciałabym, aby kapłani z Ninn zaciągnęli mnie na kolejną prelekcję o abstynencji. Jeżeli chcesz, opłacę ci jedną grę w Gwiazdne Wojny. Na to nas jeszcze stać.

W hallu znajdowało się już niewielu pasażerów. Statek szykował się do wejścia w

atmosferę, więc większość turystów pospieszyła do kabin, by spakować bagaże i przygotować się do wyjścia na ląd. Han nie dał się długo prosić i już po chwili podążyli w kierunku salonu gier.

Fiolla niespodziewanie zgarbiła się lekko, opuściła ręce wzdłuż tułowia i nieco nimi wymachując, lekko wyprzedziła Hana. Ten aż przystanął ze zdumienia. Gdyby nie odmienny strój przysięgłby, że ma przed sobą zmniejszoną wersję samego siebie. Jedyne, co mógłby jej zarzucić, było to, że po kobiecemu kręci biodrami.

Han rozejrzał się szybko po salonie, obawiając się, czy ktoś poza nim nie zauważył metamorfozy Fiolli.

— Przestań — rzucił przez zaciśnięte zęby — ktoś zobaczy i wyproszą nas stąd.

Zaśmiała się cicho.

— Wtedy zatrzymają i ciebie. Byłeś przecież moim wzorem do naśladowania.

Zaśmiał się, rozbrojony jej tłumaczeniem.

Wojny Gwiezdne były grą, składającą się z dwóch potężnych monitorów i pulpity kontrolnych. Każdy z graczy dysponował również szeregiem informacji, przydatnych do śledzenia i likwidacji fikcyjnego wroga.

Przez chwilę Han przypatrywał się grze, po czym potrząsnął głową.

— Nigdy za nią nie przepadałem — oświadczył. — Zbyt przypomina ona moje własne, codzienne życie.

— W takim razie co powiesz na propozycję pożegnalnego spaceru po promenadzie?

Było to chyba najlepsze, co mogli zrobić. Po pokonaniu krętych, prowadzących w górę schodów, ich oczom ukazał się widok zupełnie pustej promenady. Długi na dziesięć i wysoki na pięć metrów pomost był zamkniętym, rozciągającym się wzdłuż kadłuba obszarem, ograniczonym od góry przezroczystą parastalową powłoką, umożliwiającą obserwację nieba. Przez chwilę stali nieruchomo, usiłując objąć ten wspaniały bezkresny wszechświat wzrokiem i rozumem, co zawsze stanowiło jedno z największych, nie spełnionych marzeń człowieka.

Fiolla spojrzała na Hana kątem oka.

— Widzę, że myślami jesteś nieobecny. Myślisz o Chewie, prawda?

— Nic mu się nie stanie — wzruszył ramionami. — Chyba nie zamartwi się na śmierć, gdy nasze przybycie się odwlecze.

W chwilę później z głośników rozległo się obwieszczenie o rozpoczęciu ostatniej fazy lotu. Podążając wzrokiem za ręką Fiolli, Han dostrzegł jak statek wynurza się z hiperprzestrzeni. Wskutek obecnej pozycji statku nie widzieli jeszcze powierzchni planety ani krążących wokół niej satelitów.

— Jak długo... — zaczęła Fiolla i nie skończyła. Na całym pokładzie rozległ się szaleńczy ryk syren alarmowych. Wszystkie światła przygasły, a zamiast nich włączyło się nieco przyćmione oświetlenie awaryjne. Wkrótce usłyszeli pełne przerażenia głosy i krzyki pasażerów, dobiegające ze wszystkich zakątków wahadłowca.

— Co się dzieje? — krzyknęła Fiolla. — Czy to ćwiczenia?

— Obawiam się, że nie! — odkrzyknął Han. — Wyłączyli wszystko poza systemami awaryjnymi, widocznie skierowali energię do pól ochronnych.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

— Dokąd idziemy?! — zawołała przerażona.

— Do najbliższej kapsuły ratunkowej! — odkrzyknął. Salon opustoszał. Gdy wreszcie dotarli do głównego

korytarza, pokład gwałtownie zadrżał pod ich stopami. Han z trudem utrzymał się na nogach, po czym pomógł Fiolli pozbierać się z podłogi.

— Zostaliśmy trafieni! — krzyknął. Jakby dla potwierdzenia jego słów zewsząd dotarli

odgłosy automatycznego zamykania awaryjnych drzwi, chroniących wnętrze statku przed rozhermetyzowaniem. Najwidoczniej pancierz został przebity.

Han kątem oka dostrzegł stewarda pędzącego korytarzem z apteczką w ręku. Ponieważ mężczyzna najwidoczniej nie zamierzał zatrzymać się z własnej woli, Han schwycił go za ramię.

— Puść mnie! — krzyknął steward usiłując się wyrwać. — Wszyscy pasażerowie mają się udać na miejsca awaryjnych zbiórek.

Han mocniej ścisnął ramię mężczyzny.

— Najpierw powiedz, co się tutaj dzieje?

— Piraci. Odstrzelili główne podwozie w chwili, gdy wylatywaliśmy z nadprzestrzeni.

Ta wiadomość tak bardzo wstrząsnęła Hanem, że zwolnił uścisk na ramieniu stewarda.

Ten, ruszając w dalszą drogę, krzyknął:

— Do kabin, głupcy! Oni zaraz tutaj będą!

## ROZDZIAŁ VII

— Tę partię możesz już chyba spisać na straty — oznajmił Spray, wykonując kolejny ruch na planszy Wojen Gwiezdnych, ustawionej w kabinie „Sokoła Tysiąclecia”

Chewbacca przez chwilę uważnie wpatrywał się w planszę, po czym wymruczał jakieś niezrozumiałe przekleństwo.

Spray, który przyzwyczał się już do nie kontrolowanych wybuchów złości Wookiego, nie przejął się tym wcale. Podczas lotu komornik zajmował się prawie wyłącznie grą oraz myszkowaniem po maszynowni „Sokoła”. Był trudnym do pokonania, wymagającym partnerem. Wookie przyzwyczał się do niego już na tyle, że nie protestował gdy Spray, bardziej dla zabicia czasu niż z konieczności, dokonał dokładnej inwentaryzacji całego majątku ruchomego. W sumie Wookiemu było na rękę, że poborca ma zajęcie i nie wtrąca się w tajniki pilotażu.

Gdyby się nad tym bardziej zastanowić, pomyślał Wookie, to ten Tynniańczyk jest całkiem niezłym drugim pilotem. Asystował mu podczas odlotu z Bonadanu, który nastąpił w chwili gdy Chewbacca uznał, że minęło wystarczająco wiele czasu, by Han i Fiolla opuścili planetę. Pomoc Spraya okazała się bardzo przydatna podczas startu i przechodzenia do nadprzestrzeni. Dowiedziawszy się, że Han i Chewbacca prawie nigdy nie korzystają z pomocy trzeciej osoby, Spray bardzo się zdziwił. Po raz pierwszy stykał się z sytuacją, by jedynie pilot i nawigator kierowali tak trudnym w pilotażu statkiem.

— Wygląd waszego statku zmylił już chyba niejednego — stwierdził Spray. — Spora część z zainstalowanego przez was wyposażenia może znajdować się wyłącznie na pokładzie statków wojennych. Czy jesteście w pełni świadomi tego faktu? Również uzbrojenie i masa statku pozostają w całkowitej sprzeczności z obowiązującymi prawami. W jaki sposób udało się kapitanowi Solo zdobyć przepustkę na poruszanie się wewnątrz obszaru rządowego?

Wookie ignorując pytanie pochylił się nad planszą. Nawet gdyby był w stanie odpowiedzieć Sprayowi, nie mógłby mu przecież wyjaśnić, w jaki sposób załatwili pozwolenie. Wymagało to częstego omijania obowiązujących przepisów, a nawet całkowitego zniszczenia instalacji rządowych na Krańcu Gwiazdy, więc lepiej było o tym nie wspominać.

Miniaturowe elektroniczne potwory czekały na obrzeżach planszy na następne posunięcie Chewiego. Siły Wookiego były już jednak bardzo przetrzebione. Zwłaszcza jeden z wojowników Spraya dał się im szczególnie we znaki. Należało się teraz zastanowić, które

z zagrożeń było w tej chwili najniebezpieczniejsze. Wookie w zadumie zmarszczył nos. Powoli, z namysłem sięgnął włochatą ręką ku klawiaturze, po czym w ułamku sekundy zmienił zamiar, wprawiając w ruch całą planszę. Zakończywszy manewr, z zadowoleniem poskrobał się po rozczochranym łbie.

— Ooch! — westchnął Błękitny Max, obserwujący walkę z wnętrza klatki piersiowej Bolluxa. Stary robot siedział na jakimś pudle w jednym z rogów przedziału. Czerwony fotoreceptor Maxa śledził teraz poczynania Spraya, który bez chwili wahania wykonywał następny ruch na planszy.

Wysunięty do przodu wojownik Spraya był sprytnie zastawioną pułapką. W chwilę później, niespodziewanie pojawił się u jego boku potężny potwór, który z furią rzucił się na zgromadzonych po drugiej stronie planszy wojowników Wookiego i po krótkiej potyczce całkowicie ich rozproszył.

— To był ósmy gambit Ilthamara, udało mu się wciągnąć cię w pułapkę. Teraz już mu nie umkniesz — zauważył ironicznie Błękitny Max.

Westchnawszy ciężko, Chewbacca ponownie pochylił się nad planszą, gdy nagle rozległo się buczenie komputera nawigacyjnego. Pierwszy pilot natychmiast wygramolił ę z fotela i nie zapominając jednak o skasowaniu z planszy rezultatu gry, podążył ku urządzeniu nawigacyjnemu, by wprowadzić statek w normalną przestrzeń.

— O rety! Niektóre z tych systemów są fluidowe! — wyskrzeczzał Spray, podążając krok w krok za Chewiem. — Czy to jest statek, czy może jakaś nielegalna gorzelnia?

Wookie nie zwracał uwagi na jego złośliwości.

— To była znakomita rozgrywka, Spray! — przyznał Max, który sam zaliczał się do wytrawnych graczy.

— I tak udało mu się bronić o całe trzy ruchy za długo — przyznał samokrytycznie komornik. — Chciałbym, aby równie dobrze mi szło przy przeglądzie technicznym statku. Wszystko jest tutaj tak bardzo zagmatwane, że w żaden sposób nie mogę się połapać.

— Może moglibyśmy ci pomóc — zapiszczał radośnie Max.

— Max jest zorientowany w systemach statku — rzekł Bollux. — Gdybyś zechciał, mógłbyś podać informacje, których potrzebujesz!

— Właśnie o to mi chodzi! Czy mógłbyś przejść do przedziału technicznego? — zwrócił się do Bolluxa, po czym podążył za robotem, a gdy ten usadził się w fotelu, Max wysunął końcówkę operacyjną.

— Jestem już podłączony — oświadczył chwilę później. W tym samym momencie na ekranie monitora zaczęły się jedna po drugiej ukazywać plansze i tabele. — Na jakich informacjach zależy ci najbardziej?

— Dane dotyczące ostatnich kursów tego statku. Chcę wiedzieć dokąd i w jakim celu wasz statek podróżował.

— Czy naprawdę chodzi ci o dane dotyczące zużycia paliwa? — zapytał Max swym dzieciennym głosem.

— Nie, chodzi mi o bliższe dane na temat kursów w hiperprzestrzeni, zapisy dziennika pokładowego i wszystkie istotne informacje z tym związane. Powinno mi to dać wgląd w rzeczywistą wartość statku i jego możliwości techniczne.

W kabinie na moment zapadła całkowita cisza.

— To bezcelowe — przemówił wreszcie Max. — Kapitan Solo zablokował dostęp do tego typu danych. On sam i Chewbacca są jedynymi, którzy mogliby do nich dotrzeć. Rozczarowany Spray nie rezygnował.

— Czy nie mógłbyś jakoś wydobyć tych informacji? Jesteś przecież modułem komputerowym?

Max najwyraźniej poczuł się urażony tą propozycją.

— Owszem, jestem. Ale jednocześnie obowiązuję mnie posłuszeństwo względem mojego kapitana. A poza tym, gdybym się pomylił, systemy zabezpieczające natychmiast wyczyszczą całą pamięć komputera.

Tynniańczyk wydawał się analizować sytuację. Korzystając z tego, że komornik zamilkł, Bollux wtrącił się do rozmowy:

— Z tego, co zrozumiałem, przegląd powinien się zacząć od zebrania ogólnych danych, dotyczących systemów napędowych, postępowania konserwacyjnego, napraw, itd. Czy chciałbyś, aby Błękitny Max pomógł ci w uzyskaniu tych danych?

Spray sprawiał wrażenie zdegustowanego.

— Co? O, tak, tak, tak będzie dobrze — usiadł w fotelu i podparłszy dłonią brodę, w zamyśleniu spoglądał w monitor.

— Ejże! — rozległ się przeciągły gwizd Maxa. — A cóż to takiego? Co oznacza ten nagły spadek mocy? To musiało się stać zaraz po starcie!

— Czy jesteś pewien, że nie ma żadnych dodatkowych instalacji w wewnętrznym kadłubie, które mogłyby pobierać energię? — spytał komornik.

— Jestem tego całkowicie pewien — zapewnił Max. — Sądzę, że powinniśmy powiadomić o tym Chewbacę.

Spray przystał na sugestię Maxa. Wookie, nie dowierzając komornikowi, niechętnie opuścił sterownię i podążył do przedziału technicznego. To, co ujrzał, wprawiło go w zdumienie. Według informacji komputera nastąpiła ogromna strata energii. Chewbacca zmarszczył gęste brwi, a jego czarne nozdrza rozszerzyły się, jakby próbując wyczuć, co było przyczyną awarii.

Spojrzał pytająco na Spraya, który jednak obojętnie wzruszył ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia, co się mogło stać — odparł. — Ten statek jest dla mnie nieustającą zagadką. Wygląda jak stary, zużyty frachtowiec, a wyposażony jest niczym najnowocześniejszy niszczyciel floty Imperium. Wolę się nawet nie zastanawiać nad tym, jak ta maszyna wygląda od środka.

Na rozkaz Chewbacca Błękitny Max sprawdził, gdzie dokładnie nastąpiło uszkodzenie. Uzyskawszy niezbędne informacje, Wookie otworzył skrzynkę narzędziową, wydobył latarkę, skaner i uniwersalny klucz, po czym w towarzystwie Spraya i Bolluxa podążył na tył statku.

W pobliżu głównego wjazdu Chewbacca odsunął główną kłapę, blokującą wejście na dolny pokład, i wcisnął się w wąski otwór, znikając w jego czeluści. Z powodu zainstalowania obwodów fluidowych było tam jeszcze ciasniej niż zazwyczaj, i potężny Chewbacca z trudem poruszał się po niewielkiej komorze.

W końcu zdołał się jakoś obrócić i włączył monitor kontrolny. Wcisnął parę guzików i przesunął czujnikiem przetwornika po metalowym kadłubie, jednocześnie bacznie obserwując monitor. Po chwili udało mu się odnaleźć miejsce uszkodzenia. Nie wyglądało mu to jednak na zwykłą awarię. Nie było najmniejszego powodu, usprawiedliwiającego tak drastyczną utratę energii. Coś bliżej nieokreślonego pobierało moc z obwodów „Sokoła”, chociaż nie wyobrażał sobie, co mogłoby to być.

W chwilę później jak gigantyczna, czerwono-złota larwa wyczołgał się na zewnątrz. Pozostali członkowie załogi zasypali go gradem pytań. Usunąwszy ich z drogi jednym zamaszystym ruchem ramienia, Chewbacca podążył w kierunku magazynu, gdzie pośród wielu innych niezbędnych przedmiotów znajdował się jego skafander.

Wookie nie cierpiał noszenia kombinezonu, gdyż ten krępował mu ruchy, uznał jednak, że tym razem nie ma innego wyjścia. Opuszczenie statku było jedynym sposobem sprawdzenia, co było przyczyną awarii. W umyśle Chewbacii zrodziły się pewne podejrzenia, jednak były one tak straszne, że wołał na razie o tym nie myśleć.

W chwilę potem było już za późno na wszelkie rozważania. Rozległ się donośny huk i z wnętrza otwartego włazu dobyły się kłęby żrącego dymu. Zanim zdążyli jakoś zareagować, statek zadrżał i usłyszeli wzmagający się świst powietrza. Potwierdziło to najgorsze obawy Wookiego. Podczas postoju na Bonadanie ktoś, zapewne jeden z wrogów oczekujących na Hana i Fiolłę, umocował bombę zegarową na kadłubie statku, w miejscu, gdzie detonacja musiała poczynić najgorsze spustoszenia. Zastosowano jeden z miniaturowych, supernowoczesnych typów, możliwych do wykrycia tylko podczas drobiazgowej inspekcji. Bomba uaktywniła się zaraz po starcie, czerpiąc z systemów statku energię, niezbędną dla eksplozji. W zamierzeniu miała to być zbrodnia doskonała — cały statek i jego załoga po prostu „rozpłynęliby się” w nadprzestrzeni, a uzyskanie jakichkolwiek dowodów przestępstwa byłoby niemożliwe.

Podmuch różnobarwnych gazów, dobywających się z uszkodzonych systemów fluidowych, odrzucił Chewbaccę i Spraya o parę metrów. Dzięki temu uniknęli śmierci wskutek zatrucia skoncentrowanymi oparami.

Dla Bolluxa nie stanowiły one jednak żadnego zagrożenia. Ujrzeni jak robot przedziera się przez kłęby dymu, taszcząc ciężką gaśnicę. Chewbacca po raz kolejny przeklął w duchu automatyczny system obronny statku, który uratował ich na Lur, a którego niesprawność w tej chwili mogła kosztować ich życie.

Zasuwa na piersiach Bolluxa zatrzasnęła się, chroniąc Błękitnego Maxa. Robot niezdarnie wgramolił się z gaśnicą do kanału, prowadzącego na zewnątrz statku. Cała przestrzeń wewnątrz „Sokoła” wypełniła się rykiem syren sygnalizujących niebezpieczeństwo rozhermetyzowania statku oraz sykiem uciekającego na zewnątrz powietrza.

Chewbacca i Spray pobiegli do sterowni. Wookie dopadł konsoly kontrolnej i włączył na maksimum systemy filtrujące, aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się toksycznych gazów, po czym sprawdził na monitorze, jak poważne były uszkodzenia statku.

Bomba musiała być niewielka, lecz miejsce, w którym ją umieszczono, stanowiło dowód na to, że ten, kto to uczynił, znakomicie znał się na budowie frachtowców takich jak „Sokół”. Wookie zdał sobie sprawę, że ich tajemniczy przeciwnik nie wiedział o zainstalowaniu na pokładzie statku dodatkowych systemów fluidowych. Dzięki zmianom, poczynionym w systemie ochronnym, zniszczenia spowodowane eksplozją nie doprowadziły do całkowitego unicestwienia statku.

Przeniknięcie do normalnej przestrzeni było absolutnie nieuniknione. Nie tracąc czasu na usadowienie się w fotelu pilota, Chewbacca pochylił się nad konsolą. Część systemu fluidowego wciąż funkcjonowała, a nadprzestrzeń otulała frachtowiec jak jakaś bezkresna kurtyna.

Chewbacca wymamrotał coś nieprzychylnego na temat umownego czasu przestrzennego, po czym, schwyciwszy Spraya za ramię, wepchnął go w fotel pilota, i wskazując wyłaniającą się w oddali planetę Ammuud, wybełkotał coś w swoim języku. W chwilę później oddalił się bez słowa w kierunku, skąd dobiegały odgłosy intensywnego łomotania.

Nie zaniedbał tym razem zabrania kombinezonu i maski przeciwgazowej. Przedostawszy się do maszynowni ujrzał Bolluxa, siedzącego pośród porozrywanych fragmentów przewodów fluidowych. Ogień został już ugaszony. Nie było również słychać syku uchodzącego powietrza — Bollux mocno opierał się plecami o wyrwany w kadłubie otwór, co, przynajmniej na razie, rozwiązywało problem.

Robot uniósł głowę i w jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga:

— Otwór jest dosyć duży, nie wiem jak długo jeszcze mój korpus wytrzyma ciśnienie. Sądzę, że powinien pan użyć możliwie jak największej łąty.

Chewbacca gorączkowo zastanawiał się, jak naprawić uszkodzenie kadłuba, jednocześnie



usuwając stamtąd Bolluxa. W końcu zdecydował się na przygotowanie dwóch łat; jednej lekkiej, stosunkowo niewielkiej, i drugiej, trwałej i grubej. Podał Bolluxowi mniejszą z płyt i pośpiesznie wyjaśnił mu swe zamiary.

Robot skinął potakująco głową, jednocześnie przygotowując się do powstania. Korzystając z możliwości, jakie dawał mu jego system motoryczny i długie ręce, jednym raptownym ruchem poderwał się z podłogi, odskoczył w bok, i trzymając w rękach lekką płytę, wepchnął ją w otwór. Uczyniwszy to, pochylił się nad prowizorycznie zatkanym otworem, z niepokojem patrząc czy ta łata spełni swoje zadanie.

Chewbacca w pełni podzielał obawy robota. Otwór był sporo większy niż początkowo sądził. Pochylił się i oburącz schwycił Bolluxa, pomagając mu przejść do kanału wejściowego. Dosłownie w parę sekund później prowizoryczna łata została wyszana w próżnię i zniknęła w bezkresnej, rozciągającej się wokół statku przestrzeni, pociągając za sobą parę drobnych elementów i powiększając wyrwę.

Sytuacja Chewbacca stała się nagle niezwykle groźna. Strumień powietrza niby huragan pociągał go w kierunku wyrwy. Niewielkie, lżejsze narzędzia i drobiazgi błyskawicznie wyleciały na zewnątrz.

Zapierając się z całych sił nogami, Chewbacca usiłował utrzymać równowagę. Mocno zacisnął zęby, czując, że za moment całe jego ciało ulegnie rozerwaniu. Zaciskając ręce na korpusie Bolluxa poczuł, że jeszcze chwila, a obydwa znajdą się na zewnątrz „Sokoła”.

Bollux, początkowo oszołomiony, doszedł do siebie, ku swemu przerażeniu odkrywając, że w pozycji, w jakiej się znajdował, nie będzie w stanie pomóc Wookieemu. Jedynym, co mógł zrobić, to próbować wcisnąć drugą łatę w otwór. Chewbacca, mając zajęte obie dłonie, był całkowicie bezradny. Wykorzystując całą moc, Bollux schwycił za róg płytę i unosząc ją w górę, pchnął w kierunku wyrwy. Porwana pędem powietrza płyta utknęła w otworze, natychmiast go zatykając.

Niebezpieczeństwo rozhermetyzowania zostało na pewien czas ograniczone do jednej, niewielkiej kabiny. Czas miał pokazać, jak bardzo było to niebezpieczne. Jedynym pragnieniem Chewbacca było teraz położyć się na chwilę na pokładzie i spróbować złapać oddech, jednak każda chwila była bezcenna. Dobył pojemnik z cementem uszczelniającym i paroma ruchami uszczelnił szpary wokół zatkanego otworu. Skończywszy, z uznaniem poklepał Bolluxa po ramieniu.

— To Max poddał mi tę myśl — rzekł robot skromnie.

Uniósł się z ziemi i ruszył za Chewbaccą, który podążył w kierunku sterowni.

Zastali tam Spraya, pochylonego nad instrumentami.

— Nie straciliśmy na szczęście zdolności manewrowania — oświadczył. — I udało mi się skierować statek w korytarz, prowadzący do jedyne go portu lotniczego tej planety. Zamierzałem właśnie prosić o zgodę na awaryjne lądowanie.

Wookie donosił manewrowanie wyraził swą dezaprobatę dla pomysłu Spraya. Podobnie jak Han, straszył się za wszelką cenę unikać niepotrzebnych kłopotów i zaangażowania obcych w ich poczynania. Usiadł w fotelu pilota i po chwili stwierdził, że aparatura kontrolna jest w zadowalającym stanie i być może uda im się wylądować bez angażowania wozów strażackich, siatek ochronnych i wywołania lawiny niezręcznych pytań.

Gdy już znaleźli się w atmosferze Ammuuda, Wookie wprowadził statek na właściwy kurs. Systemy sterowania hiperprzestrzennego „Sokoła Tysiąclecia” uległy uszkodzeniu, jednak manewrowanie statkiem w zwykłej przestrzeni było nadal możliwe.

Bollux, dotychczas trzymający się z tyłu, teraz zbliżył się do fotela Chewbacca. Zasuwa na jego piersiach otworzyła się.

— Sądzę, że mam wiadomość, którą powinienem się z panem podzielić. Błękitny Max właśnie dokonał przeglądu uszkodzeń. Utrzymują się one na stałym poziomie.

— Czy grozi nam z tego powodu wybuch? — zapytał Spray.

W dole coraz wyraźniej majaczyła powierzchnia planety. Ammuud był światem, pokrytym niezmiernymi połaciami lasów i wieloma oceanami.

— Wręcz odwrotnie, grozi nam implozja w systemie sterowania, jeśli zejdziemy zbyt głęboko w atmosferę planety — odparł Max.

— Czy to znaczy, że nie możemy lądować? — spytał Spray.

— Nie — odparł Bollux. — On chciał powiedzieć, że nie możemy lądować zbyt głęboko w...

Statek zadrżał konwulsyjnie.

— Ostrożnie! — krzyknął komornik do Chewbacci. — Pamiętaj, że ten statek jest nadal własnością agencji, którą reprezentuję!

Wookie warknął groźnie. Jeden z przewodów kontrolnych właśnie implodował. Chewbacca mruknął coś niezrozumiale. W trakcie korekty kursu udało mu się zmniejszyć prędkość statku. Schodzili teraz łagodnym hakiem.

— ...atmosferę — dokończył Bollux.

— Czy jest to duża głębokość? — zapytał Spray. Czujniki podłoża ukazały na monitorze port kosmiczny planety, usadowiony u stóp wysokiego łańcucha górskiego.

— Umiarkowana, proszę pana — odparł Bollux. Wookie nieco uniósł dziób statku i dostroił czujniki,

chcąc uzyskać możliwie jak najdokładniejszy obraz gór rozciągających się w bezpośrednim sąsiedztwie portu. Ponieważ nie mogli lądować w niższych warstwach atmosfery, musieli poszukać odpowiedniego miejsca w górach z nadzieją, że panujące tam niskie ciśnienie nie spowoduje całkowitego wyłączenia systemów naprowadzających. Chewbacca zwrócił łeb w kierunku współpasażerów i włochatą łapą wskazał na śródpokładowy korytarz.

— Prosi, abyśmy zabrali wszystkie porzucane narzędzia i przygotowali się do lądowania awaryjnego — objaśnił Bollux.

Pośpiesznie opuścili kabinę i przesuając się systematycznie w głąb korytarza, usunęli wszelkie luźno leżące przedmioty, zamykając je w schowkach. Byli już blisko kapsuł awaryjnych, gdy Spray przypomniał sobie o czymś niezwykle istotnym.

— A co z kapitanem Solo? W jaki sposób dowie się, co tu zaszło?

— Obawiam się, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie — oświadczył Bollux.

— Nie widzę sposobu zostawienia mu wiadomości bez jednoczesnego ujawniania naszej obecności tutaj.

Komornik przytaknął ze zrozumieniem.

— Dobrze. Wydaje mi się, że w tamtym tunelu — rzekł, wskazując na drugą kapsułę — leży parę narzędzi. Przynieś je tutaj.

Bollux posłusznie pochylił się nad otwartym włazem.

— Nie widzę żadnych... — poczuł raptownie uderzenie w plecy. To Spray wepchnął go z całej siły do tunelu.

— Poszukaj kapitana Solo! — wrzasnął komornik, zwalniając dźwignię. Wewnętrzne i zewnętrzne włazy rozwarły się automatycznie i zanim oszołomiony Bollux zdołał cokolwiek odpowiedzieć, kapsuła odłączyła się od statku.

W chwili gdy „Sokół” unosił się w górę, lecąc w kierunku wysokich gór Ammuudu, niewielka szalupa awaryjna zaczęła opadać w kierunku portu kosmicznego.

## ROZDZIAŁ VIII

Centra dowodzenia, nawet na doskonale funkcjonujących statkach wojskowych, czasami nie są w stanie sprostać wymogom chwili. Na statku pasażerskim, jakim była „Pani Mindoru”, gdzie z rzadka przestrzegano instrukcji, a załoga już dawno zdążyła zapomnieć, czego uczono ją na kursach, zapanował kompletny chaos. Z tej to przyczyny Han Solo nie zwracał uwagi na wzajemnie wykluczające się polecenia, podawane przez głośniki. Trzymając za rękę Fiollę, rzucił się w głąb korytarza, widząc dookoła przerażonych pasażerów, ignorujących zalecenia równie spanikowanych oficerów.

— Co robimy? — spytała Fiolla, gdy już udało im się wydostać z tłumu pasażerów.

— Zabierz z kabiny całą gotówkę i biegnij do najbliższego stanowiska kapsuł ratunkowych!

— Usłyszał odgłos zatraskiwanych drzwi, jednocześnie usiłując przypomnieć sobie dokładną budowę statków klasy M. Wolał nie myśleć, co oznaczałoby znalezienie się w automatycznie blokowanym sektorze.

— Solo! — wrzasnęła Fiolla wracając. Złapawszy oddech, rzuciła:

— Mam przy sobie wszystkie pieniądze. Możemy już iść, chyba, że chcesz pograć w jednorękiego robota.

Dziewczyna zaimponowała mu swym humorem.

— Dobrze, pospieszmy się. Jedna z kapsuł powinna znajdować się tuż przy sektorze zasilania. — Przypomniawszy sobie o pozostawionej w kabinie lornetce, jednak nie było teraz czasu, aby po nią wracać. Znajdujące się przed nimi drzwi powoli się zamykały. Rzucili się ku nim biegiem, co Fiolla przyplaciła rozdarcie swej pięknej sukni wskutek zahaczenia o jedną z zasuw. Szczęściem w ostatniej chwili zdążyli się prześliznąć na drugą stronę.

— Wydałam na nią całą miesięczną wypłatę — rzekła z żalem. — Co teraz będzie? Walka, czy ucieczka?

— Sądzę, że jedno i drugie. Ten skończony dureń kapitan kazał zablokować wszystkie drzwi i włazy na całym statku. Ciekaw jestem, którędy załoga dostanie się do baterii ogniowych?!

— Może kapitan nie zamierza podejmować walki — prychnęła pogardliwie. — Trudno wymagać od załogi liniowca, żeby stawiała czoło piratom, nie sądzisz?

— Powinni walczyć przynajmniej w obronie własnej skóry!

Dotarli do długiej, cylindrycznej kapsuły ratunkowej. Han bez ceregieli złamał plombę na dźwigni zwalniającej i odciągnął ją do tyłu, co jednakże nie zwolniło zaczepów podtrzymujących kapsułę. Solo przyciągnął dźwignię do siebie, a następnie pchnął ją raz jeszcze, klnąc w duchu niedbalstwo oficera, odpowiedzialnego za konserwację sprzętu.

— Słuchaj! — powstrzymała go Fiolla. Kapitan statku zdawał się odzyskiwać zimną krew.

— Dla zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim pasażerom i członkom załogi — rozległ się dudniący głos dowódcy — zdecydowałem się zaakceptować warunki kapitulacji, zaproponowane przez załogę statku, który nas zaatakował. Zapewniono mnie, że nikomu z nas nie stanie się krzywda, jeżeli tylko nie będziemy stawiać oporu i próbować korzystać z kapsuł ratunkowych. Mając to na względzie, rozkazałem zablokować wszystkie dźwignie, zwalniające lądowniki. Chociaż statek został uszkodzony, nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Rozkazuję wszystkim pasażerom, aby podporządkowali się poleceniom członków załogi.

— Na jakiej podstawie on sądzi, że piraci dotrzymają słowa? — wymamrotał Han. — Przecież to doświadczony pilot... — sprawa ta nie dawała mu spokoju. Kiedy ostatnio miał

miejsce tak śmiały napad, przeprowadzony w intensywnie patrolowanym obszarze, pod samym nosem władz?, pomyślał. Osobiście nigdy dotąd o czymś takim nie słyszał...

— Solo, spójrz! — Fiolla wskazała na otwarty właz, wiodący na zewnątrz korytarza. Han podbiegł i stwierdził, że prowadzi on do wieżyczki strzelniczej. Właz najwidoczniej został automatycznie otwarty bezpośrednio po pierwszym alarmie. Dwulufowe działo laserowe gotowe było do strzału. Obsługa albo nie zdołała do niego dotrzeć, albo też została odwołana przez kapitana.

Przecisnąwszy się przez wąski właz, Han usadowił się za pulpitem ogniowym, a Fiolla przycupnęła na miejscu pomocnika artylerzysty. Przez przezroczystą osłonę widzieli dokładnie statek piratów — smukły, pomalowany czarną, pochłaniającą światło farbą, sprawnie zbliżający się do kadłuba statku pasażerskiego. Najwidoczniej piraci zamierzali przycumować bezpośrednio do śluzy, znajdującej się w środkowej części liniowca.

Baterie strzelnicze działa były świeżo naładowane. Opierając się wygodnie w fotelu, Han pochylił głowę nad celownikiem, ujmując w dłonie dźwignie spustowe.

— Co zamierzasz zrobić, Solo? — zapytała Fiolla.

— Jeżeli zaczniemy manewrować wieżyczką, natychmiast to zauważą — oświadczył.

— Ale jeżeli zaczekamy, aż podlecą bliżej i znajdą się na wprost nas... Przynajmniej raz powinniśmy ich trafić, a może nawet uda się uszkodzić ich statek.

— I stracić przy tym życie — rzekła cierpko. — Nie tylko nasze, ale również wszystkich niewinnych ludzi na tym statku. Nie wolno ci tego robić, Solo!

— Wręcz przeciwnie, to jedyne, co mogę zrobić. Czy sądzisz, że oni dotrzymają słowa i nikogo nie skrzywdzą? Ja w to nie wierzę. Nie możemy uciec, ale przynajmniej możemy pokrzyżować ich plany.

Nie zważając na jej protesty, ponownie pochylił się nad ekranem celownika. Złowrogi cień statku piratów znajdował się już w polu rażenia działa. Han wstrzymał oddech, oczekując, aż statek przesunie się bliżej. Był świadom tego, że ma szansę oddać tylko jeden jedyny strzał.

Sektor kontrolny statku nie ukazał się jednak na celowniku. Han nie chciał celować w kabiny załogi, najprawdopodobniej były one puste, gdyż piraci zgromadzili się już pewnie przy śluzie powietrznej, sposobiąc się do wtargnięcia na pokład liniowca. Dzięki decyzji kapitana, piraci nie musieli korzystać nawet z kapsuł pomocniczych.

Han uniósł się nieco, po czym zwinnie zeskoczył z fotela artylerzysty.

— Idziemy — rzucił.

— Cóż ma oznaczać ta nagła decyzja?

— Szybkie decyzje to moja specjalność — odparł lekko. — Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem rozkład pomieszczeń na liniowcach typu M...

Podążała za nim, obserwując jak dokładnie przygląda się wszystkim inżynierskim oznakowaniom na kadłubie liniowca, jednocześnie mamrocząc coś pod nosem. Wkrótce potem usłyszeli głośne uderzenie, połączone ze wstrząsem — najwidoczniej piraci właśnie przycumowali. Han przerwał inspekcję i pociągnął Fiollę w głąb jednego z bocznych korytarzy, zapewniających im tymczasową kryjówkę.

Niedaleko od miejsca, w którym się ukryli, tuż przy śluzie, wbrew zaleceniom kapitana zgromadził się tłum pasażerów. Pośród nich Fiolla dostrzegła duchownego z Ninn w jaskrawozielonej sutannie, agenta rządowego do spraw rolnictwa na jednym ze światów i paru innych, z którymi zetknęła się już wcześniej. Na dźwięk pneumatycznie otwieranego luku, wszyscy cofnęli się o parę metrów.

Gdy zgraja uzbrojonych piratów wpadła na pokład, pasażerowie rozpierchli się w popłochu. Napastnicy, odziani w bojowe kombinezony kosmiczne, dzierżyli w dłoniach miotacze energii, wibrujące siekiery i kusze pneumatyczne. Sprawiali wrażenie

bezdusznych, bezmyślnych zbrodniarzy.

Wokół rozbrzmiewały krótkie, urywane rozkazy i przerażone krzyki pasażerów, całkowicie ignorowane przez przybyłych. Spora grupa uzbrojonych po zęby napastników podążyła natychmiast w kierunku mostka kapitańskiego na wypadek gdyby kapitan zmienił zdanie. Paru innych, bijąc kolbami wystraszonych pasażerów, zmusiło ich do zgromadzenia się w salonie, pozostali napastnicy zaś, rozdzielwszy się na grupy, rozeszli się po całym statku, dokładnie przeszukując wszystkie jego zakamarki.

Han wprowadził Fiolłę do korytarza prowadzącego ku rufie. Bacznie obserwował wszystkie wręgi i znajdujące się na nich napisy na całym odcinku, prowadzącym do kabiny gospodarczej. Wewnątrz kabiny znajdował się właz, umożliwiający dostęp do tunelu naprawczego, biegnącego wzdłuż statku. Han szerzej odsunął klapę i wszedł do długiego, wąskiego pomieszczenia, przeciskając się pomiędzy rurami i grubymi przewodami. Wentylacja w tego rodzaju pomieszczeniach nigdy nie jest zbyt dobra, a oddychanie dodatkowo utrudniał nagromadzony tu kurz.

Fiolla skrzywiła się.

— Jaki jest sens ukrywania się? — spytała. — Przecież prędzej, czy później i tak wpadniemy w ich ręce.

— Mamy dwuosobową rezerwację na najbliższą odlatującą stąd kapsułę. Włóż, nie dyskutuj!

Niezdarnie wgramoliła się do środka, podwijając wysoko spódnicę, i mocno oparła się o Hana, który zatrzasnął za nią właz, po czym przesunęła się w bok, tak, aby Solo mógł iść pierwszy. Ta chwila wystarczyła Hanowi, by stwierdzić, że nogi jego towarzyszki należą do niezwykle zgrabnych.

Wkrótce ich ciała pokryły się lepką, brudną mazią. Na każdym kroku napotykały na różne, często trudne do ominięcia przeszkody, co jeszcze bardziej zirykowało Fiolłę.

— Dlaczego ty tak strasznie wszystko komplikujesz? — narzekała. — Piraci zadowoliliby się pieniędzmi i zostawili nas w spokoju, ale tobie to najwyraźniej nie odpowiada, Hanie Solo, o nie!

Han prychnął ze złością, odsuwając na bok zalegające druty i jakieś żelastwo.

— Czy nie wpadło ci do głowy, że to nie jest zwykły atak piracki?

— Nie mam pojęcia, po raz pierwszy jestem w takiej sytuacji!

— Więc zaufaj mi. Jestem pewien, że prawdziwi piraci wybraliby inny, bogatszy i nieco bardziej oddalony cel. To duże ryzyko atakować w bezpośrednim sąsiedztwie patroli Espo. A poza tym nie rozumiem decyzji kapitana o zablokowaniu kapsuły. Oni kogoś szukają, a ja sądzę, że tym kimś jesteście my.

Powoli przesuwali się wzdłuż tunelu, często trącąc głowami nisko wiszące przewody. W tunelu panował półmrok rozświetlany jedynie mglistymi, awaryjnymi światłami. Wreszcie, po długim i mozolnym przedzieraniu się, Han dostrzegł właz, którego szukał.

— Gdzie jesteście? — spytała Fiolla.

— Nieco poniżej śluzu — odrzekł, wskazując kciukiem sufit. — Piraci już chyba całkowicie opanowali statek.

— W takim razie co tutaj robimy? Czy kiedykolwiek ktoś odważył się krytykować twoje rozkazy, panie Solo?

— Nikt i nigdy — korzystając z krótkiej drabinki wspiał się na wyższy poziom. Fiolla po krótkim wahaniu podążyła za nim. Jednakże próba otwarcia znajdującej się w górze zasuwy spełzła na niczym. Koło zamachowe nawet nie drgnęło, a zapieranie się nogami i naprężanie wszystkich mięśni niczego nie zmieniło.

— Trzymaj! — Fiolla podała mu krótki, metalowy pręt. Spojrzał w dół i stwierdził, że dziewczyna trzyma w dłoni jeden ze szczelbi znajdującej się poniżej drabiny.

— Tracisz czas na państwowej posadzie, dziewczyno — rzekł szczerze, przekładając pręt przez szprychy koła i zapierając się z całej siły. Tym razem koło zaskrzypiało i drgnęło. Zasuwa przesunęła się parę milimetrów. Han przybliżył twarz do szczeliny i ujrzał to, co spodziewał się ujrzeć — wewnątrz komory naprawczej, znajdującej się tuż obok głównej śluzy. W pomieszczeniu zgromadzono kombinezony kosmiczne członków załogi.

Pociągając za sobą Fiolłę, Han możliwie jak najciszej zatrzasnął właz.

— Przy śluzie jest teraz najwyżej jeden lub dwóch strażników — rzekł. — Nie sądzę, aby spodziewali się ataku.

— Więc co my tutaj robimy? — spytała, naśladowując jego szept.

— Nie możemy się dłużej ukrywać. Jeżeli ich do tego zmusimy, przeszukają cały statek. Jest tylko jedno miejsce, skąd może uda się nam przedostać do kapsuły.

Zaniemówiła, zrozumiałwszy wreszcie jego plan i już otwierała usta chcąc zaprotestować, gdy delikatnie położył palec na jej wargach.

— To są handlarze niewolników, nie piraci i jestem pewien, że jeżeli przedsięwzięli tego typu akcję, to po to, by nas dorwać. Chcą się dowiedzieć, co wiemy, a potem nas zlikwidować na dobre. Trudno mi przewidzieć, czy nam się uda, ale jeżeli dotrzesz na pokład „Sokoła”, odczytaj taśmę z danymi Zlarba. Powiedz Chewiemu, że jest w wewnętrznej kieszeni mojego kombinezonu termicznego. On już będzie wiedział, co robić dalej.

Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do słowa.

— Walka i ucieczka, pamiętasz? To jest teraz twoje zadanie.

Strażnik pilnujący głównej śluzy pozostawał w kontakcie z resztą kamratów dzięki zainstalowanej w hełmie krótkofalówce. Statek był w tej chwili całkowicie kontrolowany przez piratów, a poszczególne ich grupy dokładnie przeszukiwały wszystkie pomieszczenia.

Nagły hałas, dobiegający gdzieś z bliska, przyciągnął uwagę strażnika. Chociaż ciężki hełm nieco utrudniał mu rozróżnianie dźwięków, to, co usłyszał, zabrzmiało jak uderzenie metalu o metal.

Trzymając broń gotową do strzału, strażnik pociągnął za dźwignię otwierającą właz. Ten odskoczył, odsłaniając mroczną czeluść komory naprawczej. Początkowo strażnik sądził, że pomieszczenie jest puste, zresztą zostało już ono dokładnie przeszukane. Teraz jednak dostrzegł sylwetkę człowieka, usiłującego ukryć się za jednym z wiszących kombinezonów. Była to przerażona młoda kobieta, odziana w poszarpaną wieczorową suknię.

Strażnik wycelował w jej kierunku i szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. Widział jednak tylko jedynie narzędzia i wiszące kombinezony. Ostrożnie wszedł do komory i przełączając mikrofon hełmu na działanie zewnętrzne, zawołał:

— Wyjdź stamtąd natychmiast! Nie zrobisz mi krzywdy! Jego obietnica została spełniona szybciej i w sposób,

którego zupełnie się nie spodziewał. Potężny cios zadany łomem powalił go na kolana. Mimo hełmu strażnik stracił na moment świadomość, odczuwając jedynie potężny ból w czaszce i ramionach. Sięgnął dłonią do przełącznika komunikatora, ale następny cios zmiażdżył nadajnik umieszczony w bocznej ścianie hełmu.

Kobieta podbiegła, usiłując wyrwać mu broń, ale strażnik nie zamierzał się jeszcze poddać. Dopiero kolejny cios sprawił, że zupełnie zapomniał o karabinie...

Han Solo, odziany w kombinezon, odcepił się od szelek, na których wisiał. Rzucił się na nieprzytomnego strażnika i używając pasów podtrzymujących, związał mu ręce i nogi. Fiolła nerwowo przyglądała się całej scenie, bezmyślnie obracając w dłoniach zdobyty miotacz.

Han łagodnie odebrał jej broń. Stwierdził, że miotacz naładowany jest pociskami rozrywającymi. Nie mogły one zranić kogoś, ubranego w szturmową zbroję, mogły jednak się okazać zabójcze w przypadku niczym nie chronionych pasażerów i członków załogi. Han pożałował, że nie ma do dyspozycji swego pistoletu.

— Nie wiemy, czy miał on rozkaz meldowania się, czy też nie — stwierdził. — Musimy zatem iść. Jesteś gotowa?

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć, a Han zamknął za nimi przegrodę i w chwilę później weszli na pokład pirackiego statku. Korytarz międzypokładowy był pusty. Wygląda na to, że wszystkie bandziory ruszyły na poszukiwania, pomyślał Han. Przepuścił Fiolłę naprzód i trzymał miotacz tak, jakby kobieta była pojmanym więźniem. Liczył na to, że pośród panującego zamętu i dzięki noszonemu kombinezonowi nie zostanie rozpoznany. Gra była ryzykowna, lecz warta świeczki.

Ujrzał światło ostrzegawcze i oznaczenia wskazujące drogę do stanowiska ratowniczego.

— Hej ty, stój! — usłyszał za plecami krzyk. Udał, że nie słyszy i lekko pchnąwszy Fiolłę lufą miotacza, pewnym krokiem szedł dalej. Po raz kolejny rozległo się jednak donośne:

— Stój!

Łyśkawkicznie obrócił się na pięcie, uniósł miotacz i w mgnieniu oka rozpoznał twarz stojącego przed nim osobnika. Był to ciemnowłosy mężczyzna, ten sam, którego twarz widział na ekranie czytnika, a który miał się spotkać ze Zlarbem. On i jeszcze drugi mężczyzna odziani w kuloodporne kombinezony z uniesionymi hełmami, mierzyli do nich z pistoletów.

Jednak pistolety, którymi dysponowali, były w tej sytuacji niewiele warte jako broń. Równie dobrze mogli zostawić te eksponaty w domu, pomyślał Han, celując w ich kierunku. Fiolla krzyknęła coś, czego nie dosłyszał.

Obaj piraci zorientowali się, że nie sprostają Hanowi i rzucili się do ucieczki, chroniąc głowy w momencie, gdy Han nacisnął na spust.

Miotacz Hana miał krótki zasięg rażenia. Ładunek rozerwał się zaraz po opuszczeniu lufy, rozrzucając odłamki i wypełniając cały korytarz głuchym hukiem. Wyglądało na to, że żaden z handlarzy nie został zraniony, jednak żaden z nich nie przejawiał ochoty do powstania z pokładu. Han odpalił w ich kierunku następny ładunek i chwytając Fiolłę za łokieć, pociągnął ją w kierunku przedziału ratowniczego. Dziewczyna sprawiała wrażenie zszokowanej, ale nie stawiała oporu. Han otworzył właz i wepchnął ją do środka.

— Siadaj i przygotuj się do startu! — krzyknął, złorzeczając w duchu, że przyjdzie mu pilotować tak kiepski statek.

Wiązka energetyczna przeleciała tuż obok, rozświetliła cały korytarz i zniknęła w głębi. Han skrył się za klapą włazu, ostrzeliwując jednocześnie atakujących go nieprzyjaciół. Wszyskcy runęli na ziemię, jednak Han nie sądził, by udało mu się zranić któregośkolwiek z nich.

Zamknąwszy obydwa włazy, rzucił się na fotel pilota i odblokował zaczepy. W przeciwieństwie do łodzi ratunkowych liniowca, te na statku pirackim wciąż funkcjonowały. Po gwałtownym wstrząsie szalupa została uwolniona. Han zwiększył moc i odłączyli się od statku macierzystego.

Solo, całkowicie skoncentrowany na pilotażu, okrążył kadłub liniowca i wykonawszy zgrabną pętlę, skrył się za nim, wychodząc poza zasięg ognia dział pirackich.

Zaraz potem skierował łódź ku planecie Ammuud i ściągnął z głowy hełm.

— Czy sądzisz, że zdołamy umknąć? — spytała Fiolla.

— Mamy spore szanse — odparł, nie spuszczać wzroku z aparatury. — Nie rozpoczną

pościgu, dopóki nie zbiorą z powrotem wszystkich swoich ludzi. A jeżeli zechcą wysłać za nami inne kapsuły, nie zdołają nadrobić naszej przewagi.

Usłyszał skrzypienie fotela nawigatora i ujrzał, jak Fiolla przesiada się na miejsce drugiego pilota.

— Siedź spokojnie i nie wierz się — nakazał. — Jeżeli wypadniemy z kursu lub stracimy prędkość, będziesz się mogła pożegnać z życiem!

Zignorowała jego słowa. Han pojął wreszcie, że coś zszokowało ją tak bardzo, że do tej pory nie może się otrząsnąć. Wiedząc, jak skryta jest z natury, Han zdecydował się poświęcić jej nieco uwagi.

— Co się stało? — zapytał łagodnie.

— Mężczyzna, do którego strzeliłeś...

— Ten ciemnowłosy? To ten, który zostawił wiadomość, o której ci wspominałem, łącznik Zlarba — zwrócił twarz w jej kierunku. — O co ci właściwie chodzi?

— To był Mogg — odparła błada jak ściana Fiolla. — Osobiście wybrany przeze mnie asystent!

## ROZDZIAŁ IX

Był wczesny ranek, gdy w porcie kosmicznym planety Ammuud nagle zapanował dziwny ruch. Wszyscy, ludzie i automaty, przerwali pracę na dźwięk syren, oznajmiających alarm bojowy. Wszędzie wokół portu ukazały się zamaskowane dotychczas działa. Port kosmiczny chroniony był odpowiednio do swojej wielkości i znaczenia strategicznego.

Na niebie ukazała się kapsuła ratunkowa ostro odbijająca światło słoneczne. Jej pilot włączył właśnie systemy lądowania. Załogi obsługujące turbolasy, wyrzutnie rakietowe i wielolufowe działa śledziły każdy manewr pilota, w każdej chwili gotowe do otwarcia ognia.

Jednakże załoga lądownika jak dotychczas nie przejawiała żadnych wrogich zamiarów. Kapsuła wylądowała w dokładnie wyznaczonym miejscu, znajdującym się na bocznym lądowisku, tuż przy wieży kontrolnej. Pojazdy naziemne wyposażone w przenośne działa natychmiast otoczyły ją szczelnym kordonem. Portowe roboty, zautomatyzowane przenośniki ładunków i inne automaty powróciły do swych zajęć, zadowolone, że już nic nie zakłóca im ich skomputeryzowanego programu zajęć. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na jednego z robotów, który uginając się pod ciężarem beli zwiniętej metalowej siatki podążył w kierunku łodzi.

Odsuwając zasuwę wjazdu, Han przelotnie spojrzał na Fiolłę.

— Trzeba ci przyznać, że masz dużą intuicję w dobieraniu współników.

— Solo, on przeszedł pozytywnie wszystkie testy i rutynowe badania — oznajmiła z uporem godnym lepszej sprawy. — Cóż więcej mogłam zrobić? Posłać go na sondowanie mózgu?

Han, gotowy już do opuszczenia kapsuły, zwrócił twarz w jej kierunku.

— Nie byłoby to takie głupie. Ale w każdym razie wiemy, na czym stoimy. To, że dotarłaś do zapisów komputerowych handlarzy na Bonadanie, nie było spowodowane błędem programu. Końcówka komputera, którą dysponował Mogg, najprawdopodobniej była wyposażona w specjalną blokadę. Wygląda na to, że twój eks-wspólnik pełni funkcję głównego księgowego handlarzy i być może również ochrania ich przed takimi jak ty zapaleńcami. Zaproponował ci wycieczkę z myślą, że zlikwiduje cię bez śladu. Założę się również, że to właśnie on uszkodził twój pistolet.

Fiolla odzyskała już rezon.



— To przecież nie moja wina — stwierdziła.

Han nie odpowiedział, zaskoczony ilością wymierzonych w siebie luf i wrogimi spojrzeniami otaczających go żołnierzy. Uśmiechnął się przyjaźnie i pokazał puste dłonie.

Z tłumu wystąpił mężczyzna odziany w luźną tunikę. Jego odzienie trudno byłoby nazwać mundurem, jednak na naramiennej przepasce Han dostrzegł insygnia wojskowe. Solo wiedział, że władzę na Ammuudzie sprawuje koalicja siedmiu największych klanów wiernych Imperium. Z różnorodności mundurów i uzbrojenia można było wnioskować, że członkowie portowych sił bezpieczeństwa rekrutowali się ze wszystkich siedmiu organizacji.

— Cóż to wszystko ma znaczyć? — warknął przywódca. — Kim jesteś? Co się tam w górze wydarzyło? — Ostatniemu zdaniu towarzyszyło uniesienie ręki i wskazanie lufą pistoletu na rozciągające się nad Ammuudem niebo.

Han zeskoczył na pas startowy i uspokajającym gestem uniósł ręce.

— Byliśmy pasażerami „Pani Mindoru”. Statek został zaatakowany przez piratów, którzy wdarli się na pokład. Nam udało się zbiec, ale nie wiem, co się wydarzyło po naszej ucieczce.

— Zgodnie z doniesieniami, piraci opuścili pokład liniowca i odlecieli w nieznanym kierunku. Czy mógłbym zobaczyć pańską kartę identyfikacyjną? — mężczyzna wyciągnął rękę.

— Nie mieliśmy czasu na spakowanie walizek — odparł Han. — Wskoczyliśmy do pierwszej z brzegu kapsuły ratowniczej i uciekaliśmy gdzie pieprz rośnie.

— Dosłownie w ostatniej chwili — dodała Fiolla oparta o właz. — Czy mógłbyś mi pomóc zeskoczyć, kochanie?

Kilku policjantów podbiegło i wyciągnęło pomocne dłonie. Fiolla wyglądała bardzo atrakcyjnie, mimo podartej i mocno zabrudzonej sukni. Stanowiła przekonujące potwierdzenie opowieści Hana. Solo uprzedził wszystkich i ujawszy ją w talii, postawił na ziemi.

Oficer w zamyśleniu potarł czoło.

— Wygląda na to, że będę was musiał zaprowadzić do kwatery głównej Reesbonów na dalsze przesłuchanie.

Jeden z towarzyszących mu ludzi gwałtownie zaprotestował.

— Dlaczego akurat do Reesbonów? Dlaczego niby nie do kwatery Glayydów? Jest nas więcej niż was.

Reesbonowie i Glayydowie były to dwa spośród siedmiu rządzących Ammuudem klanów. Mor Glayyd, patriarcha swego klanu, był właśnie człowiekiem, z którym Han i Fiolla musieli się zobaczyć. Spojrzenie dookoła utwierdziło Hana w podejrzeniu, iż „Sokół” nie znajdował się na lądowisku. Pilot z trudem oparł się chęci zapytania o swój statek, wołał jednak nie wplątywać Chewbacci w to, co się wydarzyło.

Problemem chwili była konieczność wyboru kwatery któregoś z klanów na dalsze przesłuchania. Han nie wiedział jeszcze, co powie przywódcy Glayydów, ale niezbyt pragnął znaleźć się w kwaterze Reesbonów.

— Jeżeli chodzi o ścisłość, mam pewną sprawę do pana Mora Glayyda — oświadczył. Jego słowa wywołały groźne zmarszczenie czoła u oficera dyżurnego, a także podejrzliwe spojrzenia mężczyzn z plemienia Glayyd.

— No i co na to powiecie? — rozległ się głos jednego z Glayydańczyków — Czy zaprzeczycie, że sprawa ta w równej mierze leży w kompetencji Mora Glayyda jak i Mora Reesbona?

Przedstawiciel Reesbonów i jego ludzie byli w znacznej mniejszości. Oficer mocno zacisnął wargi i obrażonym głosem oświadczył:

— Wezwę pojazd naziemny, wszystkie pojazdy wojskowe muszą pozostać na terenie portu.

Właśnie wtedy, tuż za plecami Hana, rozległ się głos:

— Proszę pana, czy życzy pan sobie, abym mu towarzyszył? A może chce pan, bym pozostał na pokładzie?

Mimo największych starań, Han nie zdołał ukryć zdumienia. Oczekujący rozkazów Bollux stał jak posąg przy władze kapsuły.

— Sądziłem, że jest was tylko dwoje — zirytował się jeden z oficerów.

Tym razem Fiolla wykazała się większą od Hana przytomnością umysłu.

— Tylko my dwoje i nasz osobisty robot — rzekła. — Czy na Ammuudzie roboty traktowane są na równi z ludźmi?

Han nie mógł oderwać wzroku od Bolluxa i przez dłuższą chwilę nie był w stanie uporządkować myśli. Wreszcie udało mu się jakoś zapanować nad sobą.

— Możesz udać się z nami — rzekł.

Bollux posłusznie wygramolił się z wjazdu. Oficer dyżurny, rzuciwszy parę zdań do mikrofonu komunikatora, oświadczył:

— Wkrótce przybędzie po was ślizgacz. — Zwracając się ku Glayydańczykom rzekł:

— Mam nadzieję, że Mor Glayyd niezwłocznie poinformuje pozostałe klany o przebiegu śledztwa. O ile się orientuję, ma on przecież na głowie... inne, nie cierpiące zwłoki sprawy.

Glayydańczycy, wyraźnie rozwścieczeni uwagą oficera, unieśli lufy karabinów, jakby słowa Reesbończyka były wyraźną prowokacją. Oficer, widząc, że nieco przeholował, wskoczył do swego pojazdu i wraz z obstawą oddalił się w kierunku zabudowań portowych.

Glayydańczycy pragnęli jednak dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie, z jaką Han przybywał do Mora Glayyda.

— Nie, on mnie nie oczekuje — odparł zgodnie z prawdą Han. — Ale jest to bardzo istotna sprawa.

Chcąc przerwać potok dalszych, trudnych do uniknięcia pytań, Fiolla ciężko oparła się na ramieniu Hana. Z przyłożoną do czoła dłonią wyglądała zupełnie tak, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

— Dużo przeszła ostatniej nocy — tłumaczył zebranym Han. — Może pozwolicie nam na chwilę odpoczynku, zanim udamy się na przesłuchanie?

— Wybaczcie nam — wymamrotał jeden z Glayydańczyków — Możecie odpocząć w kabinie. Powiadomię Mora Glayyda o waszym przybyciu.

— Nie zapomnij mu powiedzieć, że jest nam przykro, jeżeli odrywamy go od jakichś pilnych spraw — Han przypomniał sobie słowa dyżurnego oficera. — Czy w czymś przeszkadziliśmy? — zapytał.

Glayydańczyk spojrzał na Hana badawczo.

— Mor Glayyd szkuje się do pojedynku na śmierć i życie — odparł, kierując się ku centrum dowodzenia.

Usadowiwszy się w przedziale pasażerskim, Fiolla i Han zasypali Bolluxa gradem pytań. Robot w skrócie opowiedział im, co się wydarzyło do chwili rozstania na Bonadanie.

— Co zrobiłeś po wylądowaniu gondoli ratunkowej? — zapytał Han.

— Kompas Spraya nie był zbyt dokładny — odparł Bollux. — Wylądowałem w pewnej odległości od miasta, ale może dzięki temu udało mi się uniknąć więzienia. Trudno to uwierzyć, ale systemy zabezpieczające na tej planecie działają nadzwyczaj sprawnie. Przez całą drogę do portu kosmicznego starałem się po prostu nie rzucać w oczy. Przez parę godzin plątałem się po mniejszym terminalu, oczekując waszego przybycia. Nie sądziłem, że zjawicie się tutaj w tak niezwykle sposób. Co więcej, dowiedziałem się tego

i owego na temat panującej sytuacji.

— Poczekaj — rzucił Han. — Gdzie się ukryłeś?

— Hmm, robiłem po prostu to, co należy do robotów — odparł Bollux. — Dostałem się na teren portu wejściem dla robotów i robiłem wszystko to, co było tam do zrobienia. Ludzie zawsze sądzą, że roboty są wcześniej zaprogramowane i doskonale znają swoje zadania. W innym razie przecież nie pracowałyby, prawda? Nikt mnie nie zaczepił, nawet nadzorcy. A ponieważ w rzeczywistości nie byłem przypisany do żadnej brygady, nikt nie zauważył, że pracuję w różnych, oddalonych od siebie sektorach. Nigdy dotychczas nie sądziłem, że jako robot mam tak duże możliwości ukrywania się, kapitanie.

Fiolla raptownie zainteresowała się opowieścią Bolluxa.

— Ale tym samym oszukiwałeś ludzi. Czy nie stało to w sprzeczności z twoim podstawowym programem?

Han przysiągłby, że w głosie Bolluxa zabrzmiał odcień dumy.

— To, co robiłem, było konieczne dla dobra pani i kapitana, co więcej, ośmielię się stwierdzić, że było konieczne dla ratowania was obojga. Chyba zrozumiałe, że stojąc przed taką alternatywą, wybrałem mniejsze zło. I tak, gdy ujrzałem podchodzącą do lądowania kapsułę, po prostu wziąłem na plecy metalową siatkę i ruszyłem na wasze spotkanie. Dotarłem w pobliże lądownika i wszedłem na pokład tylnym włazem. Jak już mówiłem...

— Nikt nie zwraca uwagi na roboty — wtrącił Han. — W takim razie, gdy już się stąd wydostaniemy, a nadal będziesz czuł się urażony tym faktem, zadbam, byś już zawsze i wszędzie rzucał się w oczy. Pomalujemy cię na różne barwne, pstrokate kolory. Powiedz teraz coś o tym pojedynku.

— Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, wynika, że pomiędzy poszczególnymi klanami istnieje sztywny Kodeks Honorowy. Mor Glayyd, przywódca najpotężniejszego klanu, został obrażony przez przybysza, cieszącego się sławą zawodowego rewolwerowca. Pozostałe kłany nie zamierzają interweniować, ponieważ śmierć Mor Glayyda będzie im bardzo na rękę. Co więcej, zgodnie z zasadami Kodeksu, nie może również interweniować żaden z współplemieńców Mora Glayyda. Jeżeli Mor Glayyd nie przystąpi do walki, względnie jego przeciwnik zostanie zabity lub zraniony przed rozpoczęciem pojedynku, przywódca straci twarz, a także złamie przysięgę, jaką złożył, zostając wodzem klanu.

— Musimy dotrzeć do niego, zanim rozpocznie się ten idiotyczny pojedynek! — wykrzyknęła Fiolla. — Nie możemy pozwolić, aby go wcześniej zabito!

— Podejrzewam, że on rozumuje w ten sam sposób — odparł Han sucho. W tym samym momencie ujrzeli jak lśniaco-czarny pojazd naziemny podjeżdża do lądownika.

— Zmieniłem zdanie — oświadczył Han jednemu ze stojących na zewnątrz strażników.

— Mój robot zostanie tutaj, w kapsule. Mimo wszystko nie jest ona moją prywatną własnością i sądzę, że będę musiał ją zwrócić w nienaruszonym stanie.

Mężczyzna nie protestował. Han i Fiolla wygodnie usadowili się w wyłożonym miękką tapicerką wnętrzu pojazdu. Członkowie klanu Glayyd zajęli każdy skrawek wolnego miejsca wewnątrz i na zewnątrz pojazdu, po czym wolno ruszyli z miejsca.

Samochód był wygodny i z łatwością mieściło się w nim dwunastu pasażerów. Kierowca, mający do dyspozycji komputer kierowniczy, siedział oddzielony od reszty kabiny grubą szybą. Przejeżdżali przez samo centrum miasta. Sprawiało ono przygnębiające wrażenie. Drewniane i kamienne budynki tworzyły wrażenie prowincjonalności i zacofania. Funkcję systemu kanalizacyjnego pełniła sieć otwartych rowów ściekowych obrosniętych szkarłatnymi glonami.

Ludzie, których mijali, wykazywali niezwykłą żywotność i ruchliwość. W przewalającym się wzdłuż ulic tłumie dostrzegli handlarzy, pracowników portu lotniczego, policję

obszarów leśnych, pracowników konstrukcyjnych i wielu, wielu innych. Pośród nich tu i ówdzie ukazywała się charakterystycznie odziana postać któregoś z członków klanu, a czasami mignęły kolorowe szaty klanowych elegantek.

Pomimo wszelkich niedoskonałości tego miejsca, Hanowi podobało się tutaj o wiele bardziej, niż na ponurym, zaprogramowanym w każdym szczególe Bonadanie, czy innych, sterylnie czystych metropoliach rządowych. Ammuud nie miał najmniejszych szans stania się dochodową czy wpływową planetą systemu, była to jednak planeta ciekawa.

Fiolla zmarszczyła brwi, gdy wjechali w dzielnicę slumsów.

— To naprawdę skandaliczne, by we Wspólnym Sektorze istniały jeszcze takie miejsca.

— Zapewniam cię, że we Wspólnym Sektorze można znaleźć o wiele gorsze zakątki — odparł Han.

— Zachowaj dla siebie uwagi o niedoskonałości Wspól-nego Sektora! — warknęła.

— Jestem o nich o wiele lepiej od ciebie poinformowana. Różnica pomiędzy nami polega na tym, że ja nie załamuję rąk i próbuję to jakoś zmieniać. Pierwszym moim krokiem będzie dotarcie do Rady Dyrektorów.

Han uciszył ją gestem dłoni, wskazując na kierowcę i pasażerów. Fiolla prychnęła, skrzyżowała ręce na piersiach i ignorując go, bez słowa obserwowała mijany krajobraz. Kwatery główna klanu Glayyd mieściła się w kompleksie nowoczesnych, sześciennych budowli, otoczonych skomplikowanym systemem zasieków i bunkrów. Od tyłu budowle osłonięte były potężnym łańcuchem górskim, wznoszącym się tuż za miastem.

Samochód wjechał przez otwartą na oścież bramę i zatrzymał się wewnątrz potężnego garażu, strzeżonego przez dwóch mężczyzn, należących do piechoty klanowej. Jeden ze strażników poprowadził ich do niewielkiej windy.

Gdy po krótkiej jeździe w górę winda zatrzymała się, ich oczom ukazał się ogromny pokój. Pomieszczenie umeblowane było skromnie, lecz gustownie. Pneumatyczne sofy i fotele, a także starożytne, ciężkie meble, świadczyły o dobrym smaku i zamiłowaniu do luksusu. Czekala tu na nich młoda kobieta, ubrana w haftowaną srebrną nicią suknię, zaś ramiona jej okryte były zwiewnym błękitnym szalem. Jej ciemnokasztanowe włosy zaczesane były do tyłu i ściągnięte wąską, niebieską wstążką. Na prawym policzku kobiety widniała świeża blizna.

— Proszę, wejdźcie i rozgośćcie się. Niestety, nie powiedziano mi, jak się nazywacie.

Przedstawili się i korzystając z zaproszenia rozsiedli się w wygodnych fotelach. Han z całej duszy pragnął, by kobieta zaoferowała mu coś do picia, jednak była ona wyraźnie zaabsorbowana innymi sprawami.

— Jestem Ido, siostra Mora Glayyda — oznajmiła. — Strażnik nie sprecyzował celu waszego przybycia, ale zdecydowałam się z wami spotkać, mając nadzieję, że dotyczy to naszego ostatniego zmartwienia...

— Czy ma pani na myśli pojedynek? — spytała wprost Fiolla.

Młoda kobieta skinęła głową.

— My nie mamy z tym nic wspólnego. — odrzekł Han szybko, chcąc wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie. Fiolla spojrzała na niego karcąco.

— Nie sądzę więc, aby mój brat znalazł dla was choć chwilę czasu — odparła Ido.

— Pojedynek był już dwukrotnie przekładany, zresztą nie z naszej winy, ale wątpię, by ta sytuacja miała się po raz kolejny powtórzyć.

Han chciał już protestować, lecz Fiolla będąca niewątpliwie lepszym dyplomatą zmieniła temat rozmowy, pytając, co było przyczyną nieporozumienia. Ido bez słowa wskazała bliznę biegnącą w poprzek jej policzka.

— Oto przyczyna — rzekła. — Obawiam się, że to skaleczenie może oznaczać wyrok

śmierci dla mojego brata. Jakiś nieznajomy pojawił się na Ammuudzie parę dni temu i znalazł sposób, by przedstawiono mi go na przyjęciu. Na jego zaproszenie odbyliśmy wspólny spacer po pałacowym ogrodzie. W pewnym momencie, zupełnie niespodziewanie, rozwścieczyło go coś, co powiedziałam, a przynajmniej tak to wyglądało. Uderzył mnie. Mój brat nie miał innego wyjścia i musiał wyzwać go na pojedynek. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że człowiek ten to słynny rewolwerowiec, który bezlitośnie rozprawia się z wszystkimi przeciwnikami. Cały incydent wydaje się zręcznie przygotowaną prowokacją, mającą na celu pozbycie się mojego brata. Niestety, sprawy zaszły już zbyt daleko.

— Jak nazywa się ten nieznajomy? — zapytał Han.

— Zważ go Gallandro — odparła. Han nie znał nikogo o takim imieniu, ale wyraz twarzy Fiolli świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Ona wie o wielu dziwnych sprawach, pomyślał z uznaniem.

— Miałam nadzieję, że przybyliście tutaj, aby nie dopuścić do pojedynku lub interweniować — rzekła Ido. — Nikt ze starszyny pozostałych klanów nie zamierza tego zrobić, gdyż chętnie widzieliby nasz upadek. A zgodnie z Kodeksem Honorowym żaden inny członek naszego klanu nie może zastąpić mojego brata. Mógłby to zrobić ktoś obcy, występujący w swoim własnym lub naszym interesie.

Han pomyślał, że gdyby to on był Morem Glayydem, bezzwłocznie wsiadłby na pokład szybkiego statku z kieszeniami wypełnionymi rodową biżuterią i ulotniłby się z Ammuudu. Z rozmyślań wyrwał go błagalny głos Fiolli:

— Ido, proszę, pozwól nam porozmawiać z twoim bratem, może wspólnie znajdziemy wyjście z sytuacji.

Gdy rozradowana Ido zniknęła za załomem muru, Han, całkowicie lekceważąc możliwość istnienia podsłuchu, wybuchnął:

— Czy ty jesteś normalna? W jaki sposób zamierzasz mu pomóc?

— Ja? Ja nie jestem w stanie mu pomóc. Ale ty możesz zająć jego miejsce i uratować go — rzekła pogodnie.

— Ja?! — wrzasnął, podrywając się na równe nogi. — Nawet nie wiem, o co naprawdę chodzi w tym wszystkim. Jestem tu po to, by odnaleźć człowieka, który jest mi winien dziesięć tysięcy. Nigdy nie słyszałem o tych ludziach. Chociaż chyba tobie imię tego rewolwerowca nie jest całkowicie obce...

— Jeżeli to ten sam człowiek, to należy on do najbardziej zaufanych ludzi dowódcy okręgu. Dotychczas zetknęłam się z tym imieniem tylko raz. Dowódca okręgu, Odumin, jest najprawdopodobniej zamieszany w całą tę aferę, a pojedynek to niewątpliwie „środek”, o których Mogg informował Zlarba. Jeżeli Gallandro zabije Mora Glayyda, urwie się ostatni trop, po którym mógłbyś dotrzeć do zleceniodawców Zlarba i odzyskać swoje pieniądze. Jeżeli zajmiesz miejsce Mora Glayyda, być może uda nam się dociec prawdy.

— Jeszcze jeden drobny szczegół — rzekł Han z sarkazmem. — Co będzie, jeżeli Gallandro zabije mnie?

— Sądziłam, że jesteś Hanem Solo, który zawsze twierdził, że przygoda i walka znaczą dlań więcej niż wysokie konto w banku. Masz więc pole do popisu. Poza tym jestem pewna, że Gallandro wycofa się natychmiast, gdy tylko zorientuje się, że Mor Glayyd nie będzie jego przeciwnikiem. Któż ośmieliłby się stawić czoło samemu Hanowi Solo?

— Podejrzewam, że nikt przy zdrowych zmysłach!

— Och, Solo, Solo. Wyeliminowałeś z gry Zlarba, widziałeś Mogga z handlarzami niewolników, i wiesz wszystko, czego ja sama zdołałam się dowiedzieć. Czy sądzisz, że oni kiedykolwiek przestaną podążać twoim śladem? Twoją jedyną szansą jest spotkać się z Morem Glayydem i wysłuchać, co ma on do powiedzenia o tej sprawie. Gdy już

będziemy mieli w ręku wszystkie nici, będę mogła wszcząć postępowanie przeciwko wszystkim, którzy zamieszani są w handel niewolnikami. Nie zapominaj też o swoich dziesięciu tysiącach.

— Staram się, ale co chciałaś przez to powiedzieć?

— Jeżeli nie uda ci się wydusić z nich tej forsy, postaram się załatwić dla ciebie coś w rodzaju rekompensaty. Na przykład, nagroda od Rady Dyrektorów dla obywatela w uznaniu jego zasług lub coś w tym rodzaju.

— Żądam dziesięciu tysięcy i ani kredytu mniej — rzekł Han stanowczo. Dziewczyna miała rację co do jednego: jeżeli nie doprowadzi sprawy do końca, handlarze niewolników zawsze będą mu deptać po piętach. — I żadnych przyjęć okolicznościowych. W razie czego ulotnię się tylnymi drzwiami!

— To zależy wyłącznie od ciebie. Będzie to jednak mało prawdopodobne, jeżeli pozwolisz Gallandrze zabić Mora Glayyda.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko i ujrzeli Ido prowadzącą pod ramię swojego brata. Han zdumiał się widząc, jak młody jest Mor Glayyd. Dotychczas sądził, że to Ido jest jego młodszą siostrą. Mor Glayyd ginął całkowicie w fałdach obszernej, bogato zdobionej tuniki, przepasanej pasem z kaburą. Ten ostatni element wyraźnie nie pasował do sylwetki drobnego, bladego chłopca. Jego włosy, jasnokasztanowate, związane były z tyłu przepaską i opadały luźno na kark.

Ido przedstawiła Fiollę i Hana bratu, zwracając się do niego pieśczośliwie:

— Ewwen, kapitan Solo chce cię zastąpić w pojedynku. Zaklinam cię na wszystko, zgódź się na to!

Mor Glayyd spojrział na Hana niezdecydowanie.

— Ale dlaczego?

Han w zamyśleniu potarł czoło dłonią. Tym razem Fiolla nie wtrącała się do rozmowy, ufna, że Han potrafi bez jej pomocy wynaleźć jakiś przekonujący powód.

— Hmm, mam do Waszej Wysokości pewną sprawę, interes, który mógłby was zainteresować. Może jednak zacznę od początku...

W tej samej chwili rozległ się pisk komunikatora. Mor Glayyd przeprosił ich na chwilę i odszedł odebrać wiadomość. Najwidoczniej włączył również system głośzący, ponieważ nie rozumieli nic z toczącej się rozmowy. Gdy ponownie zwrócił ku nim twarz, nie malowały się na niej żadne uczucia.

— Obawiam się, że nie mamy już czasu na żadne wyjaśnienia, kapitanie Solo — rzekł. — Gallandro i jego sekundant przybyli właśnie do kwatery i oczekują mnie w zbrojowni.

— Dlaczego nie miałbym zastąpić Waszej Wysokości? — odparł Han, myśląc o obiecanej gotówce. — Widząc, że dumny młodzieniec zamierza zaprotestować, dodał śpiesznie: — Proszę pamiętać o swojej siostrze i obowiązkach względem wszystkich członków klanu.

— Ewwen, proszę, zgódź się — rzekła błagalnym tonem Ido — Zrób to dla mnie!

Mor Glayyd spojrział na siostrę i przybysza. Po chwili wahania oświadczył:

— Żaden z członków mojego klanu nie mógł mnie zastąpić. Jednak moja śmierć pozostawiłaby siostrę i współplemieńców na łasce innych klanów. Dobrze, niech tak będzie. Zostanę na zawsze twoim dłużnikiem. Chodźmy teraz do zbrojowni!

Winda szybko zwiozła ich na najniższy poziom. Zbrojownia składała się z amfilady obszernych, ponurych sal, wypełnionych wszelkimi możliwymi rodzajami broni: karabinami energetycznymi, miotaczami ognia, kuszami, oraz sprzętem dodatkowym, niezbędnym do ich obsługi. Gdy szli na spotkanie, odgłosy ich kroków rozbrzmiewały głucho w całym pomieszczeniu.

Wzdłuż ścian strzelnicy i na jednym z jej krańców porozwieszano najrozmaitszych kształtów tarcze strzeleckie.

Tym razem jednak nie one miały stanowić cel. Tuż przy tylnym wejściu oczekiwało pięć osób.

Kobieta o zrezygnowanym wyrazie twarzy, z przewieszoną przez ramię podręczną apteczką, była niewątpliwie lekarzem. Han powątpiewał w jej przydatność w takiej sytuacji. Jedyne, co byłaby w stanie zrobić, to stwierdzić zgon jednego z walczących.

Starszy mężczyzna, odziany w strój o barwach klanowych, został najprawdopodobniej wyznaczony na sekundanta Mora Glayda. Han podejrzewał, że człowiek ten był instruktorem młodzieńca w posługiwaniu się bronią. Drugi z oczekujących ich mężczyzn, noszący na sobie barwy Reesbonów, był chyba drugim sekundantem. Stojący z boku siwowłosy starzec, z trudem kryjący zdenerwowanie, wyglądał na sędziego pojedynku. Najłatwiejszy do rozpoznania był ostatni członek grupy. Choć Han nigdy dotąd z nim się nie zetknął, sam jego widok spowodował, że pilot spał się wewnętrznie. Gallandro był wyższy od Hana. Na twarzy zabójcy malowały się spokój i pogoda. Ubrany był w dwuczęściowy kombinezon — luźne szare spodnie i tunikę, zakończoną wysokim kołnierzykiem. Przez ramię przerzuconą miał krótką, sportową marynarkę. Całości dopełniała zwiewna biała apaszka okręcona wokół szyi.

Siwiejące na skroniach włosy rewolwerowca były krótko przystryżone, natomiast jego usta osłaniały imponującej długości wąsy, których końce zdobiły niewielkie złote koraliki. Mężczyzna miał przytroczone do pasa dziwaczny pistolet, którego kolba wystawała nieco z kabury. Han nie dostrzegł na niej żadnych kresek — najwidoczniej Gallandro nie widział potrzeby zaznaczania liczby pokonanych przeciwników.

Najbardziej przerażające były jednak oczy rewolwerowca, mówiące wszystko o jego charakterze i bezwzględności — nieruchome, niebieskie paciorki. Gallandro badawczo przypatrywał się po kolei każdemu z przybywających, nieco więcej uwagi poświęciwszy Morowi Glaydowi i kroczącemu tuż za nim Hanowi.

— Jako strona wyzwana na pojedynek — oświadczył sekundant Mora Glayda — Gallandro wybrał broń ręczną.

Przygotowaliśmy ulubioną broń Waszej Wysokości. Wszystkie egzemplarze zostały zatwierdzone przez obie zainteresowane strony.

Nie spuszczając wzroku z twarzy Gallandra, Han wystąpił naprzód.

— Słyszałem, że według Kodeksu Honorowego mam prawo zastąpić w pojedynku Mora Glayda — rzekł twardo.

Cichy szmer rozszedł się wśród zebranych. Lekarka ze smutkiem potrząsnęła głową.

Han podszedł do gabloty, w której wyłożono wybraną broń, i ze znanstwem ocenił każdy egzemplarz. Nie zainteresował się żadnym z krótkich karabinków, skupiając swą uwagę na dwóch pistoletach, z których każdy nieco przypominał jego własny. Nagle zorientował się, że Gallandro stoi tuż obok.

— Dlaczego? — spytał rewolwerowiec, nie kryjąc zaskoczenia.

— On nie musi tłumaczyć się ze swojej decyzji — zaoponowała Ido.

— Całe nieporozumienie zaszło pomiędzy mną a Morem Glaydem. Ciebie nawet nie znam.

— Ale wiesz doskonale, że mam lepszy refleks od tego dzieciaka — odparł Han uprzejmie, biorąc do rąk iskrzyciel o krótkiej kolbie i rzucając przeciwnikowi przelotne spojrzenie. Wyraz twarzy Gallandra był jednak nieprzenikniony. Han ani przez chwilę nie wątpił, że pojedynek odbędzie się zgodnie z planem.

Mylił się jednak. Gallandro zwrócił się w kierunku Mora Glayda i przemówił:

— Panie, czuję się zobowiązany przeprosić Waszą Wysokość. Z całego serca proszę o przebaczenie zarówno pana, jak i pańską szanowną siostrę — wypowiedział tę kwestię obojętnym tonem, nie starając się nawet, by jego słowa zabrzmiały szczerze. — Mam

nadzieję, że wybaczyście mi i cały ten nieprzyjemny incydent pójdzie w zapomnienie. Przez chwilę wydawało się, że Mor Glayyd odrzuci przeprosiny. Cudem umknąwszy śmierci, chętnie widziałby teraz Gallandra na marach. Han jednak gotów był przyjąć przeprosiny zamiast niego. Niezbyt miał ochotę na walkę, tym bardziej, że można jej było unikać. Niespodziewanie usłyszeli głos Ido:

— Przyjmujemy pańskie przeprosiny pod warunkiem, że bezzwłocznie opuści pan nasz dom i planetę.

Gallandro spojrzał w pierw na nią, później przeniósł wzrok na Hana, wciąż trzymającego broń w rękach. Sięgnął po swą marynarkę, skłonił lekko głowę przed damami i skierował się ku wyjściu. Zatrzymał się jednak raptownie i twardym wzrokiem spojrzał na Hana.

— Może innym razem — oświadczył z uśmiechem.

— Jestem zawsze do dyspozycji.

Gallandro parsknął ironicznie. Nagle splunął, przypadł do ziemi jednym kolaniem i wyrwawszy z kabury pistolet czterokrotnie wypalił w kierunku umieszczonych wzdłuż ściany tarcz, za każdym razem trafiając w sam środek. Wyprostował się i schował broń do kabury, zanim ktokolwiek z obecnych zorientował się, co się stało.

— Może innym razem — powtórzył cicho. Skłonił się dwornie wszystkim obecnym, omiótł wzrokiem swego sekundanta i sprężystym krokiem opuścił zbrojownię. Po chwili słyszeli już tylko echo jego oddalających się kroków.

— Udało się — westchnęła z ulgą Fiolla. — Ale nie powinienesz być go drażnić, Solo. Wydawał się trochę... niebezpieczny.

Han spojrzał na cztery tarcze, ignorując całkowicie stwierdzenie Fiolli. Gallandro był najgroźniejszym rewolwerowcem, jakiego kiedykolwiek spotkał na swej drodze, równym, a może nawet przewyższającym kunsztem jego samego.

## ROZDZIAŁ X

„Sokół Tysiąclecia” wylądował w pobliżu płytkiej doliny, rozciągającej się w paśmie górskim za portem kosmicznym Ammuudu. Schodząc po rampie na ziemię, Spray westchnął z ulgą, widząc, że wichura, która rozpętała się poprzedniej nocy, nie przyniosła opadów śniegu.

Trafił na Chewbaccę w chwili, gdy ten zajęty był pakowaniem przeróżnych narzędzi i aparatów kontrolnych. Komornik bezzwłocznie zaczął wypytywać Wookiego o przyczynę tych przygotowań. Paroma prostymi gestami Chewbacca bez trudu wyjaśnił Sprayowi, co zamierza zrobić. Chcąc dodatkowo zabezpieczyć statek, Wookie zamierzał zainstalować radar zewnętrzny, co pozwoliłoby im na kontrolowanie o wiele większego terytorium, niż było to możliwe z pokładu „Sokoła”.

— Ale... ale kiedy wrócisz? — zapytał z niepokojem Spray.

Pierwszy oficer z trudem powstrzymał się od ironicznego parsknięcia. Tynnańczyk okazał się całkiem użyteczny w tych nowych, nieoczekiwanych warunkach, pomagając przy drobnych naprawach i przygotowywaniu posiłków. Trudno było jednak od niego wymagać, by czuł się pewnie i bezpiecznie w tak dzikiej okolicy.

Chewbacca szybko potrząsnął statywem, dając do zrozumienia, że jego nieobecność będzie trwać bardzo krótko.

— A co z nimi? — Spray wskazał na stado zwierząt, skubiących trawę i przemieszczających się z niższej doliny ku miejscu, w którym się zatrzymali. Kudłate bestie podobne do owiec kroczyły wolno i spokojnie po zboczu, rwąc zębami kępki wiosennej trawy i młode gałązki i przeżuwiąc je powoli.



Kilka owiec podeszło do „Sokoła Tysiąclecia”, nie wykazując najmniejszego zainteresowania statkiem ani jego pasażerami. Poobserwowawszy je przez chwilę, Wookie uspokajająco rozłożył ręce. Zwierzęta wyglądały na łagodne i nie podejrzewały, by miały stać się przyczyną jakichkolwiek problemów. Część narzędzi Wookie wepchnął do obszernej torby i przewiesił ją przez ramię, a resztę włożył do pojemnika na kółkach. Wreszcie ujął w dłonie nieodłączną kuszę i sprawdzivszy stan magazynka, ruszył w górę zbocza.

— Uważaj na te ptaszyska! — krzyknął za nim Spray, wskazując na kilka pterozaurów, krążących nad doliną. Te obrzydliwe, jaszczurowate stwory najczęściej latały parami, tym razem jednak w zasięgu wzroku było ich prawie tuzin.

Zniecierpliwiony Wookie spojrzał gniewnie na Spraya, po czym pogroził pterozaurom kuszą i ruszył w dalszą drogę po skalistym zboczu pokrytym łatami śniegu.

Szybko dotarł do połowy stoku i szykował się już do końcowego podejścia ku płaskowyżowi, za którym rozciągała się następna szeroka dolina, zakończona wąską przełęczą. Wspiął się na niewielką, stromą grań, rozłożył narzędzia i usiadłszy na ziemi przystąpił do łączenia elementów statywu.

Wkrótce główna część radaru już stała. Chewbacca, przestaniając oczy dłonią, spojrzał w dół, w kierunku statku. Nie widział Spraya, ale nie dziwiło go to, najprawdopodobniej komornik znajdował się po przeciwnej stronie „Sokoła”. Zaniepokoiła go jednak bliskość owiec — całe stado znajdowało się w tej chwili jakieś dwadzieścia metrów od frachtowca. Zwierzęta były jednak spokojne i nie przejawiały żadnych wrogich zamiarów. Dopiero z miejsca, w którym się znajdował, Wookie mógł ocenić wielkość stada. Wydawało się liczyć co najmniej tysiąc sztuk i coraz więcej zwierząt wylaniało się zza linii horyzontu. Najmłodsze sztuki gromadziły się w samym środku stada, na przodzie zaś i flankach dumnie maszerowały stare, dorodne samce.

Nie widząc żadnych powodów do niepokoju, Chewbacca wrócił do przerwanej pracy. Zamierzał jeszcze sprawdzić, czy wszystkie połączenia są sprawne i czy urządzenie funkcjonuje bez zarzutu.

Niespodziewanie usłyszał odgłos, przypominający głucho uderzenie pioruna. Uniósł głowę znad statywu i zamarł ujrawszy, jak spokojne do tej pory zwierzęta rzucają się do ucieczki. Dotychczasowy ład i porządek prysnęły jak bańka mydlana. Spanikowane stado rozlało się po całym terenie, z daleka wyglądając jak czarne, falujące przed burzą morze. Cała dolina wypełniła się donośnym beceniem.

Chewie nie tracił czasu na zastanawianie się, co spowodowało panikę wśród zwierząt. Schwycivszy odruchowo kuszę, rozejrzał się po płaskowyżu, szukając jakiegos tymczasowego schronienia. Wystraszone zwierzęta w błyskawicznym tempie pokonywały strome zbocze, z każdą sekundą coraz bardziej przybliżając się w jego stronę. Nie było to już spokojne, skubiące trawę stado. Teraz był to prawdziwy huragan olbrzymich, sześcionożnych bestii, z których najmniejsze ważyły czterokrotnie więcej niż Wookie. Tratowały absolutnie wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Wąska przełęcz wkrótce wypełniła się biegnącymi na oślep zwierzętami. Te, które nie mogły się tam pomieścić, zaczynały się gromadzić w niższej dolinie. Wookie, zebrawszy wszystkie narzędzia, zebrał się do ucieczki. Było już jednak za późno — rozszalałe zwierzęta odcięły mu drogę. Wokół, jak sięgnąć wzrokiem, rozciągało się morze zwierząt, zdążających ku niższej dolinie. Szczęściem Chewie znajdował się na dosyć ostrej grani, którą spłoszone niby-owce jak dotychczas omijały.

Chewbacca przelotnie spojrzał w dół i odetchnął z ulgą, ujrawszy, że zwierzęta omijają także nieznaną im sylwetkę frachtowca. Trudno było jednak przewidzieć, jak dalej potoczą się wypadki. Miał nadzieję, że w razie czego Spray otworzy ogień i uniemożliwi

zwierzętom strатовanie statku. Na razie musiał myśleć przede wszystkim o ratowaniu własnej skóry. Zdawał sobie sprawę, że niebawem zwierzęta dotrą i do niego. Oparł o ramię kuszę i starając się nie tracić zimnej krwi, próbował ocenić sytuację. Z miejsca odrzucił pomysł przedzierania się przez stado, lub przesuwania się wraz z nim — byłoby to samobójstwo. Spanikowane zwierzęta bez wątpienia zaatakowałyby obcego. Z drugiej strony...

Przerwał rozmyślenia, ujrawszy przesuwający się cień, i usłyszał żalosne zawodzenie. Przypadł do ziemi, nie wypuszczając z rąk kuszy. Potężne skrzydła zatrzepotały tuż nad jego głową, a ostre szpony zacisnęły się, szczęśliwie łapiąc tylko powietrze. Zawiedziony napastnik wznosił się w górę, ustępując miejsca drugiemu atakującemu osobnikowi.

Wookie przykleknął na jedno kolano i zmierzył się do strzału, nie korzystając nawet z celownika. Rozległ się świst i prawie jednoczesna detonacja środka eksplodującego. Jaszczur boleśnie zakwilił — strzał Chewbaccy rozorał mu jedno ze skrzydeł.

Wookie opadł na ziemię i jeszcze dwukrotnie wypalił w kierunku wciąż atakującego pterozaura, raniąc go poważnie.

Bestia, niezdolna dłużej utrzymać się w powietrzu, runęła na ziemię i zniknęła pośród uciekających owiec, stratowana po chwili uderzeniami racic. Jej miejsce zajął wkrótce następny osobnik, podobnie jak i pierwszy niezbyt obawiający się kuszy Wookiego.

Chewie dopiero teraz zrozumiał, dlaczego nagle niebo dosłownie pociemniało od pterozaurów. W trakcie ucieczki wiele owiec zostanie strатовanych, rannych, lub odłączy się od stada i te staną się dla latających jaszczurów łatwą zdobyczą. Dla pterozaurów szykowała się prawdziwa uczta.

Wookie ponownie uniósł kuszę i wycelował do kolejnego nadlatującego padlinożercy. Gad atakował — jak jastrząb rozpostarł szpony i szeroko rozwarł dziób. Han wycelował prosto w łeb jaszczura i wypalił. Strzał zmiażdżył czaszkę bestii, która spadła martwa na ziemię, tuż obok miejsca, w którym znajdował się Wookie.

Widząc los poprzedników, inne pterozauiry były ostrożniejsze. Krążyły w pewnym oddaleniu od Chewiego, jakby zastanawiając się nad skutecznym sposobem pokonania tak groźnego przeciwnika. Korzystając z chwili wytchnienia, Chewbacca rzucił okiem na dolinę.

Niby-owce przybliżyły się coraz bardziej, gromadząc się już w niższych partiach grzbietu. Wookie parę razy wystrzelił ostrzegawczo w ich kierunku, co jednak nie na wiele się zdało. Nieustanny napływ nowych zwierząt spowodował, że te będące na czele przesuwały się coraz wyżej grani. Były tak ogłupiałe, że nawet ogień i eksplozje nie były ich w stanie powstrzymać.

Nagle na niebie rozbłysła wielobarwna rakietą, wystrzelona z pokładu „Sokoła”. Dołączyło do niej wycie syren oraz migotanie reflektorów. Najwidoczniej stado podeszło zbyt blisko „Sokoła” i Spray uznał, że zaistniało bezpośrednie niebezpieczeństwo uszkodzenia statku. Chewbacca z uznaniem pomyślał o komorniku, chociaż nie zmieniło to jego własnej, jakże trudnej sytuacji. Chyba nawet użycie dział nie spowodowałoby rozpiętrznięcia się zwierząt.

Rozległo się mrożące krew w żyłach krakanie i Chewie dostrzegł, jak jedno z ptaszysk odrywa się od skały po drugiej stronie doliny, niosąc w szponach zranioną owcę. Wookie zaklął, żałując, że natura nie wyposażyla go w skrzydła. Gniewnie potrząsnął pięścią i nagle znieruchomiał. Wpadł mu do głowy pomysł, którego nie powstydziliby się sam Han Solo.

Nie myśląc długo, pochylił się nad torbą z narzędziami. Do realizacji swego planu potrzebował paru rzeczy. Najważniejszy był statyw. Zabrał się do roboty. Pracował w pocie czoła, od czasu do czasu oceniając, jak bardzo zbliżyło się stado. Miał wszystkie

niezbędne narzędzia i materiały, obawiał się tylko, że może nie starczyć mu czasu. Bez wysiłku zarzucił sobie na plecy ściervo zestrzelonego pterozaura. Kości jaszczura były wewnątrz puste i dzięki temu stworzenia te, mimo swej wielkości, zaliczały się do nadzwyczaj lotnych i zwinnych.

Wookie rozłożył maksymalnie dwa ramiona statywu, naciągając na nie skrzydła martwego ptaka i przyśrubowując je w paru miejscach. Miał do dyspozycji tylko osiem zacisków, sądził jednak, że powinno to wystarczyć.

Przerwawszy na chwilę pracę, rozejrzał się wokół. Stado niczym powódź zbliżało się do miejsca, w którym się znajdował, zostało już tylko kilkadziesiąt metrów. Chewbacca rzucił się do pracy ze zdwojoną energią.

Odłączył trzecie ramie statywu, przymocowując je wzdłuż kręgosłupa do ciała stwora. Odór bijący od jaszczura był nie do wytrzymania. Nie chcąc zwymiotować, Wookie musiał oddychać ustami.

Najtrudniejsze było znalezienie czegoś, co pełniłoby funkcję słupka. Korzystając z metalowej klamry, przespilił nią ciało ptaka tak, aby żerdź wystawała około metra w górę. Połączył ten prowizoryczny słupek z pozostałymi ramionami statywu. Nie zwracał uwagi na posokę wyciekającą z otworów w ciele pterozaura.

Następne parę minut zeszło mu na przycinaniu i łączeniu kabli. Nie miał czasu wypróbować swego dzieła, tym bardziej, że najbliższa z niby-owiec była dosłownie o krok. Wookie wystrzelił w ziemię, co spowodowało chwilowe przystąpienie zwierząt. Dolina była już jednak nimi całkowicie wypełniona i zostało niewiele czasu.

Chewbacca uniósł z ziemi prowizoryczną lotnię i spojrzał w dół, mając nadzieję, że napór owiec w ostatniej chwili zelżeje i nie będzie musiał wypróbowywać swego wynalazku.

Stało się jednak inaczej. Znajdujące się na przodzie zwierzęta były dosłownie wynoszone do góry naciskiem znajdujących się poniżej.

Chewbacca przełożył ramiona przez wykonane z kabla pasy podtrzymujące, uprzednio zarzuciwszy kuszę na ramię. Cała konstrukcja wydała mu się dziwnie lekka.

Szczególnie agresywny samiec oderwał się od gromady, szarżując w jego kierunku. Za nim postąpiło parę innych. Grań została zdobyta. Nie mając już nic do stracenia, Chewbacca parokrotnie poruszył ramionami i odbił się od ziemi.

Obawiał się, że skrzydła mogą nie wytrzymać jego ciężaru i cała konstrukcja po prostu się rozleci. Tak się jednak nie stało, a silny prąd powietrzny utrzymywał go na dostatecznej wysokości.

Rozluźnił wszystkie mięśnie, pozwalając się nieść wiatrowi i starając się odgadnąć jego kierunek. Usiłował przypomnieć sobie tajniki pilotażu lotni, jednak po tylu latach przerwy w treningach nie przychodziło mu to łatwo. W pewnym momencie zachwiał się i dosłownie o parę metrów od ziemi zdołał wyrównać lot.

Wreszcie powiał mocniejszy wiatr, unosząc go wysoko w górę. Mimo wciąż istniejącego zagrożenia i niezwykłości sytuacji, Wookie poczuł się podekscytowany i wolny, jak pierwszy zdobywca przestworzy.

Dokonał minimalnych korekt lotu i unosząc się bezpiecznie, przypominał sobie lata młodości. Nie myślał już o owcach ani pterozaurach; wiatr szumiał mu w uszach, a wszystkie troski i niebezpieczeństwa wydawały się nierealne.

Poruszał się teraz z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i zaczął się zastanawiać, jak bezpiecznie wylądować. Skierował się ku „Sokołowi”. Stado oddaliło się już od statku, który wydawał się nienaruszony. Zmniejszając stopniowo prędkość, Chewbacca rozejrzał się za dogodnym miejscem do lądowania. Dostrzegł je nie opodal; było to niewielkie górskie jezioro. Próbował jeszcze bardziej zmniejszyć prędkość i wtedy nieoczekiwanie wraz z całą lotnią poszybował pionowo w dół, prosto ku powierzchni jeziora. Nie

upłynęło nawet dziesięć sekund, gdy dojrzał własne odbicie w wodach jeziora, po czym z całym impetem zanurzył się w jego toni.

Lodowata woda natychmiast go orzeźwiła. Pierwszym, co musiał zrobić, było pozbycie się skrzydeł. Padlina jaszczura i statyw wciągały go szybko w głębie. Niestety, uwolnienie się od lotni nie było łatwe, a sprawę dodatkowo komplikowała jeszcze kusza.

Wierząc się na wszystkie strony, Wookie doprowadził jedynie do całkowitego zaplątania się w kable. Niebawem poczuł jak słabnie, a toń wciąga go coraz bardziej. Woda zalewała mu usta, a przed oczyma zaczęły się pojawiać sceny z dzieciństwa i obrazy planety, z której pochodził.

Tracił już świadomość, gdy jak przez mgłę ujrzał jakiś cień, żywo wymachujący kończynami. W chwilę później poczuł, jak jakaś siła wynosi go na powierzchnię jeziora. Chewbacca zachłysnął się powietrzem i po chwili prychnia i kichania w pełni odzyskał świadomość. Tuż obok dostrzegł Spraya. Komornik podtrzymywał go pod ramię, a w lewej ręce trzymał ciężkie obciążki do cięcia drutu.

— To było fantastyczne! — wysapał komornik. — Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem! Pobiegłem za tobą, gdy tylko zorientowałem się, że chcesz tutaj lądować. To prawdziwy cud, że zdążyłem na czas! Sam wiesz, z jakim trudem biegam po ziemi! — radośnie klepnął Wookiego w ramię.

## ROZDZIAŁ XI

— Ten człowiek nazywał się Zlarb — rzekł Han, siadając naprzeciwko Mora Glayyda w jego przestronnym gabinecie. — Próbował mnie oszukać i zabić. Później okazało się, że miał on przy sobie listę statków, wynajętych przez waszą klanową agencję. Niestety, nie mam tej taśmy przy sobie. Gdyby jednak Wasza Wysokość zechciał odnaleźć w księgach nazwisko tego mężczyzny...

— To zbyteczne. Znam to nazwisko bardzo dobrze — przerwał Mor Glayyd, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z siostrą.

— Jego mocodawcy są mi winni dziesięć tysięcy — rzekł Han spokojnie. — I chciałbym je w końcu otrzymać.

Mor Glayyd wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach. Nie wydawał się już w tej chwili tak bardzo młody i dziecinny.

— Co panu wiadomo o klanach Ammuudu i ich Kodeksie, kapitanie Solo?

— Wiem, że dzięki niemu o mały włos Wasza Wysokość uniknęła dzisiaj śmierci — odparł Han.

Przez młodzieńczą twarz Mora Glayyda przemknął cień.

— Możliwe, ale to właśnie Kodeks łączy wszystkie klany nierozzerwalną więzią i broni nas przed obcymi wpływami. Bez niego szybko stalibyśmy się na powrót wojującymi ze sobą plemionami, tak jak to było przed stu i więcej laty. Jednakże, według Kodeksu, zdrada współnika czy złamanie przysięgi to również zbrodnie. Ten, który się ich dopuści, gwałci prawo, stając się automatycznie wyrzutkiem, niezależnie od tego, jaki był jego wcześniejszy status społeczny. Nawet ja nie stoję ponad prawem.

Ciekaw jestem, do czego on zmierza, pomyślał Han, w milczeniu czekając na dalsze słowa przywódcy.

— Interesy, które mój klan prowadził ze Zlarbem, należą do tej właśnie kategorii. Nie zadawaliśmy żadnych pytań, przyjmowaliśmy zapłatę za wynajem statków, nie interesując się, jakie towary i dokąd nimi wieziono. Zlarb i jego współnicy dobrze znali nasze zasady i sądę, że właśnie dlatego tak dobrze nam płacili.

- Czy mam rozumieć, że Wasza Wysokość nie powie mi tego, co chciałbym wiedzieć?
- spytał wprost Han.
- Nie mogę. Ma pan jednak w takiej sytuacji prawo ponownego wezwania Gallandra — odparł dumnie Mor Glayyd. Wyraz twarzy jego siostry świadczył, że w pełni solidaryzuje się z bratem.
- Zapomnijcie o tym, tamta sprawa jest już zamknięta — szybko wtrąciła Fiolla — jednak ludzie Zlarba złamali umowę zawartą z Hanem. Czy to jest zgodne z waszym Kodeksem? Czy waszym zwyczajem jest chronienie zdrajców?
- Mor Glayyd potrząsnął głową.
- Nie rozumiecie. Nikt nie złamał przysięgi danej mnie, więc według Kodeksu ta sprawa mnie nie dotyczy.
- Tracimy tylko czas — rzekł Han do Fiolli. Myślał w tej chwili o Chewbacce i „Sokole”. Gotów był na pewien czas zapomnieć o swoich pieniądzach. Odnalezienie Chewbacci było w tej chwili o niebo ważniejsze. Nie mógł jednak tak bez słowa opuścić gabinetu. Podszedł do okna i wskazując na rozciągające się wokół miasto, rzekł:
- Nie wierzę, że nie zdawaliście sobie sprawy z tego, co to za ludzie. Dajecie schronienie handlarzom niewolników, rewolwerowcom i trucicielom! Oni zaś...
- Mor Glayyd i jego siostra gwałtownie poderwali się z foteli.
- Co powiedziałaś? — wyszeptała dziewczyna. — Trucicielom?
- Wypowiedział to słowo, pamiętając o rytualnym pojemniku odnalezionym w kombinezonie Zlarba. Ciekaw był teraz, dlaczego wywarło ono na obojgu rodzeństwa tak piorunujące wrażenie.
- Zlarb był czcicielem Malkite.
- Poprzedni Mor Glayyd, nasz ojciec, został otruty dwa tygodnie temu — wyjaśniła Ido.
- Czy nie słyszeliście o jego śmierci?
- Han przecząco pokręcił głową.
- Tylko najbardziej zaufani członkowie klanu wiedzą o tym, że został on otruty. To bezprecedensowe wydarzenie. Chociaż klany prawie nigdy nie stosują trucizn, na wszelki wypadek zabezpieczamy się przez nimi. Nikt ze służby, próbującej żywność, nawet się nie rozchorował.
- Nie zapominajcie, że to była trucizna Malkitów — rzekł Han. — Nawet najczulsza aparatura analityczna nie zawsze wyznajduje jej ślady. Poza tym służbie zapewne podano wcześniej antidotum. Oni nie byli w stanie tego zauważyć, a jedyną ofiarą stał się wasz ojciec. Poddajcie służbę dokładnym badaniom medycznym, a jestem pewien, że znajdziecie w ich organizmach ślady odtrutki.
- Han spojrzał na Fiollę.
- Otrucie musiało być tym „środkiem”, o którym mówił Mogg na taśmie, którą znalazłem przy Zlarbie. Nie rozumiem jednak, co miał oznaczać ten pojedynek...
- Mor Glayyd był wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał.
- W takim razie oznacza to...
- Że również nas podle oszukano i zdradzono — dokończyła jego siostra.
- Han Solo sprawdził kieszenie, jeszcze raz upewniając się, że taśma, którą otrzymał od Mora Glayyda, jest bezpiecznie ukryta wewnątrz wysokiego kołnierzyka pożyczonego kombinezonu. Bollux kończył właśnie załadunek obwodów tarczowych, dostarczonych przez Mora Glayyda. Szalupę ratunkową przetransportowano do warsztatów Glayyda, aby jej odlot wzbudził jak najmniej podejrzeń. Mor Glayyd, od chwili zakończenia testów medycznych, które potwierdziły podejrzenia Hana, okazał im dużo pomocy.
- Czy jesteś pewien, że nie potrzebujesz naszego towarzystwa? — po raz kolejny zapytał chłopak.

Han potrząsnął głową.

— Byłoby to niepotrzebne ryzyko. Nie wolno nam zapominać, że handlarze niewolników i członkowie innych klanów najprawdopodobniej nieustannie nas obserwują. Mam nadzieję, że nie zaatakuje nas wasza obrona powietrzna.

— Wielu moich ludzi pełni dzisiaj służbę — odparł Mor Glayyd uspokajająco — Zostaliście zarejestrowani jako regularny lot patrolowy nad dobrami ziemskimi Glayydów. Nikt nie odważy się was niepokoić. Będziemy cały czas na nasłuchu, jeżeli będziecie w potrzebie, przybędziemy bezzwłocznie. Przykro mi, że wasz „Sokół” wylądował na obszarze, znajdującym się poza zasięgiem naszych radarów.

— To mnie nie martwi, jakoś ich znajdziemy. Podejrzewam jednak że „Pani Mindoru” już wkrótce tu wyląduje. Wraz z nią na planecie pojawią się Espo. Czy sądzisz, że uda ci się ich zmylić?

Mor Glayyd uśmiechnął się filuternie.

— Kapitanie Solo, sądziłem, że pan rozumie. Moi ludzie nigdy nie łamią Kodeksu, a zwłaszcza wtedy, gdy jedną ze stron jest tajna policja.

W chwilę później dołączyła do nich Fiolla. Tak jak i Han miała na sobie pożyczony jaskrawoniebieski kombinezon i wysokie lotnicze buty. Dziewczyna była zarówno zaskoczona, jak i rozwścieczona, gdy poznała nazwiska urzędników rządowych wysokiego szczebla, zamieszanych w sprawę handlu niewolnikami. Wszystko to wynikało niezbitie z rejestrów Glayyda, chociaż informacje te nie były podane bezpośrednio. Najczęściej były to oficjalne zezwolenia na przeprowadzanie lotów czarterowych i operacji na terenie Wspólnego Sektora.

— Proszę, pamiętaj o swej obietnicy, Fiollo. Macie się z nami skontaktować, gdy już zakończycie śledztwo — rzekł Mor Glayyd z naciskiem. Nie możemy sami się zemścić, pozwólcie więc nam uczestniczyć w waszej zemście.

— Usłyszycie o nas, obiecuję ci to. Dla mnie obietnica jest równie ważna, jak i dla ciebie — odparła Fiolla. — Gdy skierujemy całą sprawę przed najwyższy trybunał, postaram się, aby darowano wam karę. Ale na przyszłość radzę ostrożniej dobierać sobie klientów.

Mor Glayyd uniósł dłoń w pożegnalnym geście.

— Już nigdy nie damy się w ten sposób wykorzystać, możesz być tego pewna. — Ido ucałowała Hana i Fiolłę, po czym rodzeństwo i cała towarzysząca im świta opuścili dok. W ciągu paru sekund szalupa uniosła się, przeleciała w kierunku portu i skierowała się ku majacącemu w oddali wysokiemu łańcuchowi górskiemu.

— Jakim sposobem zamierzasz ich odnaleźć? — zapytała Fiolla, siedząca w fotelu drugiego pilota. — Czujniki, w jakie wyposażona jest ta kapsuła, są nieprzydatne w tego rodzaju poszukiwaniach. — Odsunęła na bok miotacz, подарowany im przez Mora Glayyda, i rozsiała się wygodnie.

Han, szczęśliwy za sterami statku, roześmiał się głośno.

— To nie kwestia sensorów! Nawet najlepsze urządzenia nie na wiele by się zdały pośród tych szczytów i dolin. Ale zostaje nam jeszcze to — wskazał na własną skroń.

— No, jeżeli tylko to nam pozostało — rzekła, imitując jego gest — to chyba zrezygnuję z podróży tą łajbą!

Solo zmienił kierunek lotu, zadowolony, że może lecieć na niskiej wysokości, uniemożliwiając załodze portu śledzenie ich kursu.

Znam kurs, którym leciał Chewie przelatując nad portem, i znam jego sposób myślenia i pilotowania, rozważał Han. Teraz to ja jestem Chewingiem, siedzę za sterami uszkodzonego „Sokoła”, muszę się trzymać na wysokości trzech tysięcy metrów. Znam jego styl na tyle dobrze, żeby go naśladować. Na przykład nigdy nie wylądowałby na żadnym z tych trzech szczytów, tam, w górze. Widoczność jest zbyt mała, by ryzykować uszkodzenie

reszty sprawnych obwodów.

— Można by spróbować usiąść na tamtym grzbiecie — oznajmił. — Roślinność wskazuje, że jest tam chyba trochę otwartej przestrzeni, w każdym razie to miejsce jest o niebo lepsze od poprzedniego. Chewie szukał pewnie lądowiska, znajdującego się na uboczu, gdzie mógłby spokojnie wylądować, wykonać najpilniejsze naprawy i czekać na mnie. Znajdę go, nie martw się.

— I ty to nazywasz planem?! — prychnęła pogardliwie — Równie dobrze moglibyśmy stworzyć właz i zacząć go wołać!

— Powiedziałem już, że go znajdę — odparł ostro. Dopiero w tej chwili Fiolla zrozumiała, jak bardzo Han niepokoił się o bezpieczeństwo przyjaciela.

— Wiem, że go znajdziesz, Solo — rzekła miękko.

Spray zanurzył się właśnie po szyję w chłodnej wodzie jeziora, czując się dopiero teraz naprawdę w domu. Przez chwilę spokojnie nurkował, po czym wynurzył się z wody i śmiesznie przebijając kończynami, popłynął ku środkowi jeziora. Czysta woda wypływająca z podziemnych źródeł była może nieco zbyt zimna, ale w młodości Spray pływał w o wiele zimniejszych akwenach.

Wreszcie Tynniańczyk ujrzał to, czego szukał: wielonożnego skorupiaka, przedstawiciela gatunku zamieszkującego dno jeziora. Sprayowi brakowało już nieco powietrza, ale nie zważając na to, zanurkował głębiej, licząc, że uda mu się schwycić stworzenie, zanim zupełnie straci oddech.

Skorupiak nie wyczuł niebezpieczeństwa do momentu, gdy już za późno było na ratunek. Stworzenie zaczynało dopiero nabierać prędkości, gdy Spray schwycił je w dłonie, zręcznie unikając szczypiec. Nurkując za skorupiakiem, Spray znalazł się blisko dna jeziora i cień, rzucony przez jego sylwetkę, wypłoszył z ukrycia następnego stawonoga. Uśmiechając się na myśl o czekającym ich posiłku, Spray wykazał należyty refleks, podwajając swą zdobycz. Gdy poczuł, że zapas tlenu wystarczy mu już tylko na wypłynięcie na powierzchnię, odbił się nogami od dna i wkrótce wynurzył głowę z wody, mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem.

Trzymał zdobycz nad głową i radośnie nią potrząsając skierował się ku brzegowi, na którym czekał Chewbacca. Wookie radośnie prychnął i przyjaźnie pomachał ręką. W chwili gdy Spray gramolił się niezdarnie na brzeg, Chewbacca był już po kolana w wodzie. W obu rękach trzymał szeroko otwartą, pustą torbę na narzędzia. Spray wrzucił do niej skorupiaki, a Wookie szybko zasunął zamek.

Z uznaniem pokiwał głową, chwalać spryt i zręczność Tynniańczyka.

Zapasy żywnościowe transportowca były już na wykończeniu, a od czasu przygody z niby-owcami, żadne trawożerne stworzenie nie przybliżyło się do statku. To, że do tej pory nie umarli z głodu, było wyłącznie zasługą Spraya i ten fakt zadecydował o niepisanym podziale obowiązków pomiędzy nimi. Chewbacca spędzał czas na wykonywaniu niezbędnych napraw, zaś Spray zajął się wyłącznie aprowizacją i przyrządzaniem posiłków. Usatysfakcjonowani zdobyczą, wspólnicy ruszyli w kierunku „Sokoła” stojącego pół kilometra od miejsca, w którym się obecnie znajdowali. U stóp rampy na wojskowej kuchence bulgotała już woda.

Nie dane im było jednak spokojnie spożyć posiłku. W pewnym momencie Spray zastrzygł uszami i zastygł nasłuchując. Chewbacca, podążając za wzrokiem Spraya, wydał zdumiony okrzyk. Niewielka szalupa ratunkowa wyłoniła się zza grzbietu górskiego i podchodziła do lądowania, kierując się ku ich obozowisku.

Wookie wcisnął Sprayowi torbę, a sam schwycił kuszę. Ich położenie komplikował fakt, że nigdzie w pobliżu nie było miejsca, w którym mogliby się schronić. Jedyne, co mogli zrobić, to znieruchomieć.

Pojazd przeleciał nad nimi, lecz parę sekund później Chewbacca usłyszał wzmożony pomruk silników; najwidoczniej pilot zamierzał jeszcze raz spenetrować okolicę. Wookie spod przymkniętych powiek śledził lot maszyny, by wreszcie radośnie się poderwać i przyjaźnie zamachać rękami. Przelatując nad nimi łódź nagle wykonała popisowy korkociąg. To nie mógł być nikt inny poza kapitanem Solo!

Chewbacca rzucił się w kierunku szalupy, wrzeszcząc coś niezrozumiale i pohukując radośnie. Spray, wciąż przyciskający do piersi torbę ze zdobyczą, pospieszył za Wookiem tak prędko, jak pozwalała mu na to budowa jego kończyn.

W chwilę po wylądowaniu otworzył się właz kapsuły i ujrzeli Hana Solo. Chewbacca podbiegł do przyjaciela, schwycił go w objęcia i mocno uściśkał. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegł stojącą przy włazie Fiolłę. Podskoczył do

niej, radośnie okręcił dziewczynę dookoła i ostrożnie postawił ją na ziemi.

Ostatnim, który opuścił szalupę, był Bollux. Chewbacca przyjaźnie zamruczał na jego widok.

— O mało co, a bylibyśmy was przegapili — rzekł Han. — Jesteście aż zbyt dobrzy w maskowaniu się — to mówiąc wskazał „Sokoła Tysiąclecia”. Chewbacca i Spray zamaskowali statek śniegiem i suchymi gałęziami, czyniąc go prawie całkowicie niewidocznym.

— Naszą uwagę zwróciły liczne ślady zwierząt, omijające ten rejon, więc przyjrzelśmy mu się uważniej — dodał Han i pokazał Chewbacce swą zdobycz — nowe obwody tarczowe. Przez chwilę wydawało się, że drugi pilot rozpłaczę się na ten widok z radości.

Zupełnie zapomnieli o obiedzie, opowiadając sobie nawzajem swoje przeżycia. Spray skrzywił się na wspomnienie faktu wyrzucenia Bolluxa z pokładu „Sokoła”.

— Jeśli mam być szczery, kapitanie — rzekł — i to samo powiedziałem Chewbacce, wpadłem na ten pomysł nagle i musiałem go natychmiast wcielić w życie. — Zwróciwszy się ku robotowi, kontynuował: — Naprawdę mi przykro, ale wydawało mi się to wtedy jedynym rozsądnym wyjściem. Być może, postąpiłem zbyt pochopnie.

— Znakomicie pana rozumiem — odparł Bollux. — Pańska decyzja okazała się ze wszech miar słuszną i wyszła nam wszystkim na dobre. Tak sądzi również Błękitny Max.

Wkrótce przystąpili do pracy. Bollux, Spray i Fiolla zabrali się do usuwania nagromadzonego śniegu, szczególnie dokładnie oczyszczając sterownię i dysze wylotowe. Han i Chewbacca w asyście Błękitnego Maxa dokonywali przeglądu, sprawdzając wszelkie możliwe połączenia i obwody.

Gdy wymontowali wszystkie elementy systemu fluidowe-go, Chewie z wielkim zapałem odrzucił je jak najdalej od statku. Niektóre z rzutów były naprawdę imponujące. Han żałował, że jego przyjaciel nie uczestniczy w zawodach lekkoatletycznych. Z taką formą pokonałby wszystkich rywali.

Podłączwszy kolejny moduł systemu, Han zapytał Maxa o wynik testów technicznych.

— Wszystkie parametry znakomite, kapitanie — odrzekł komputer.

Zadowolony z tempa, w jakim postępowały prace, Han rzekł:

— Powinniśmy jeszcze ustawić zapłony silników wznoszących, ale na razie wstrzymamy się z tym. Wolę, abyśmy najpierw stąd odlecieli. Zostaje nam jeszcze najważniejsze: sprawdzenie systemów kontroli nadprzestrzennej. Nie powinno nam to jednak zabrać więcej niż...

— Kapitanie Solo! — rozległ się zaniepokojony głos Maxa. — Mamy kłopoty. Radar dalekiego zasięgu zarejestrował trzy sygnały!

Chewbacca spojrzał na Hana ze zdumieniem. Solo nie zastanawiał się ani chwili.

— To nieważne, kim oni są. Nie lecą tutaj na piknik, to pewne. Nie ma już czasu na dalsze naprawy. Zwijamy się stąd! Wchodźcie na pokład, za chwilę startujemy! — krzyknął.



Podbiegł do wjazdu, zostawiając Chewbacce zamknięcie klapy maszynowni. Usadowił się za drążkami sterowniczymi, włączając wszystkie systemy.

W chwilę później, w trakcie ładowania baterii obronnych „Sokoła”, dostrzegł niewielkie migotanie na monitorze radaru. Sygnały pochodziły z niezbyt odległego miejsca. Błyskawiczny podgląd całkowicie wyjaśnił sytuację.

Dopiero teraz przypomniał sobie o miotaczu pozostawionym w szalupie ratunkowej. Jednak szczęściem Chewbacca pozostawił w widocznym miejscu pas z pistoletem Hana. Opasując go wokół bioder, pilot pobiegł w kierunku rampy.

Chewbacca spojrzał pytająco na przyjaciela.

— Zrobiono nas na szaro — rzucił Han. — Ktoś włączył nadajnik „Sokoła” i trwało to wystarczająco długo, by zdolał nas zlokalizować — wypowiedziawszy te słowa, spojrzał oskarżycielsko na Fiolle.

— Czy po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, nadal mi nie wierzysz? — spytała zdumiona.

— Czy widzisz innych podejrzanych? Spray nie zbliżał się do łodzi, a ja nie przypominam sobie, bym coś takiego robił — spojrzał porozumiewawczo na towarzyszy. — Nie tracmy czasu. Bollux, zaprowadź ją do przedniej kabiny i bacznie obserwuj każdy jej ruch. Przygotujcie się na niespokojny lot — ruszył w kierunku sterowni, a Fiolla bez słowa protestu skierowała się ku przedniej kabynie.

Han nakazał Sprayowi zajęcie miejsca w fotelu nawigatora, tuż za swoimi plecami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać na pomoc Mora Glayyda, jednak po namyśle zrezygnował. Nieprzyjaciół był już zbyt blisko.

Rozgrzewszy silniki, ostatecznie uwolnił podwozie z zasp i przekrzykując ryk maszyny, wskazał kciukiem Spray’a i zapytał:

— Czy on jest dobrym pilotem?

Chewbacca myślał przez chwilę, by w końcu przytaknąć.

— Świetnie — rzekł Han bez śladu entuzjazmu w głosie, odłączając główne dysze. Wzniesając tumany pary, „Sokół Tysiąclecia” oderwał się od ziemi i po chwili zniknął w spowijających planetę obłokach.

Han przekazał ster drugiemu pilotowi i pochylił się nad Sprayem.

— Niestety, nie dysponujemy w tej chwili automatycznym pilotem, nie mieliśmy czasu na jego podłączenie. Według wskazań czujników ścigają nas małe, szybkie myśliwce przechwytyjące. Prędzej czy później dopadną nas. Nie damy rady im umknąć, ale możemy spróbować je pokonać, pod warunkiem, że obydwaj z Chewiem zasiądziemy przy działach. Ktoś musi jednak pilotować, więc jeżeli nie chce pan obsługiwać dział...

— Ależ kapitanie! — wysapał Spray. — Nigdy w życiu nie obsługiwałem dział.

— Tak też myślałem — westchnął Han. — Proszę usiąść tutaj. — Nerwowo drapiąc się po ręce, Spray zajął miejsce w fotelu pilota.

— Proszę utrzymywać włączone pola ochronne i osłaniać nimi kadłub — poinstruował go Han — reszta w naszych rękach. — Wypowiedziawszy te słowa, skinął na Wookiego, po czym obydwaj podążyli w głąb korytarza, prowadzącego ku stanowiskom strzeleckim.

— Szkoda, że nie mamy innego wyjścia — stwierdził Han, wspinając się po drabince prowadzącej do górnego działu. Czuł wyraźne drgania całej drabinki, gdy Wookie schodził w dół. Wcisnąwszy na głowę hełmofon, Han usadowił się w wieżyczce strzelniczej.

Przyciąganie planetarne było na tej wysokości niewielkie, co umożliwiało swobodne poruszanie się bez żadnego wysiłku. Spoglądając w dół, Han dokładnie widział sylwetkę przyjaciela siedzącego w prostej linii po drugiej stronie kadłuba. Chewbacca porozumiewawczo skinął dłonią i w tej samej chwili obaj próbnie uaktywnili dział.

— Wszystko gra! — krzyknął Han. — Podważamy napięcie!

Chewbacca mruknął coś niezrozumiale. W tym samym momencie dobiegł ich roztrzęsiony głos Spraya:

— Myśliwce w zasięgu ognia.

## ROZDZIAŁ XII

W chwilę po tym, jak Spray obwieścił pojawienie się wroga, pojęli, że nie było słowa przesady w tym, co powiedział komornik. „Sokół Tysiąclecia” zadrżał cały, wstrząsany trafieniami pocisków energetycznych, odchylanych przez pola ochronne.

— Oni zwalniają! — krzyknął Spray, w chwili gdy Solo i Chewbacca dostrzegli na monitorach manewr wroga. Zaciskając dłonie na drążkach celowniczych, Han starał się trafić w najwyższą część statku, atakującego ich własny pojazd. Wiedział, że w tej chwili Wookie próbuje wycelować w spód tego samego napastnika. Nie pierwszy raz byli w podobnej sytuacji. Każdy z nich znał swoją część roboty i wiedział, co robi partner.

Celownik komputerowy wyświetlał sieć linii, wskazując pozycję punktu świetlnego, oznaczającego statek atakujący. Nauczony doświadczeniem, Han dzielił uwagę pomiędzy wskazania komputera, a to, co widział na własne oczy. Nigdy całkowicie nie ufał komputerom ani innym urządzeniom, wołał widzieć cel, do którego strzela.

Wróg ukazał się w zasięgu rażenia, nastąpiło to nawet szybciej niż pierwotnie przypuszczał. Był to myśliwiec stanowiący wyposażenie większego statku. A więc nasi przyjaciele handlarze są wciąż przy nas, pomyślał z goryczą.

Wystrzeliwał krótkie serie z dział pokładowych, starając się nie dopuścić, by wrogowie zanadto się zbliżyli. Trafienie myśliwca było w tej chwili niemożliwe, gdyż poruszał się on ze zbyt dużą prędkością. Co chwila ukazywał się, by zniknąć z celownika, zanim Han zdolał nacisnąć spust.

„Sokół” zatrzęsł się jak dziecinna zabawka, rażony coraz częstszyimi trafieniami wroga. Han usłyszał odgłosy wystrzałów, dobiegające ze stanowiska, obsługiwanego przez Chewbaccę. Niestety, pierwsza próba Wookiego była również nieudana.

W chwilę później, spojrzawszy przelotnie na monitor celownika, Han zamarł. Zamiast jednego trójkąta świetlnego dostrzegł bowiem dwa.

W polu widzenia ukazał się kolejny myśliwiec. Jego działa bluzgały ogniem, celując w górną część „Sokoła”. Statek ponownie zadrżał. Han, widząc, że wróg zmierza prosto na nich, odruchowo zasłonił głowę ramieniem. Szczęściem jednak pola ochronne i tym razem nie zawiodły. Sekundę później myśliwiec zniknął z pola ich widzenia, dołączając do szykujących się do kolejnego ataku towarzyszy.

Statki napastników były dwa razy większe od kapsuły, skradzionej przez Hana i Fiolłę. Były szybkie, wyposażone w ciężką broń i prawie tak zwinne jak myśliwce Imperium. Przy braku systemów sterowania hiperprzestrzennego, nie mieli co marzyć o ucieczce. „Sokół” mógł tylko walczyć na śmierć i życie.

Frachtowiec zadrżał i zmienił kurs, gdy Spray spróbował wykonać zwrot zaczepny. Han, nie dowierzający umiejętnościom komornika, krzyknął w hełmofon:

— Żadnych sztuczek, Spray. Staraj się tylko manewrować osłonami! Daj spokój z akrobatyką!

Komornik posłusznie wyrównał lot. Statki piratów ponownie zbliżały się do kadłuba „Sokoła”, jednocześnie z lewej i prawej. Trzecia łódź szykowała się do ataku z góry. Han wstrzymał ogień świadom tego, że napastnicy są jeszcze poza zasięgiem.

Myśliwiec nadlatujący z lewej nagle zanurkował i pojawił się pod kadłubem „Sokoła”. Han usłyszał wystrzały dział Chewbacca i przekręcił własną wieżyczkę strzelniczą o sto

osiemdziesiąt stopni.

Celem jego stał się w tej chwili nurkujący myśliwiec.

Komputer wyświetlił przybliżony kurs, prędkość i pozycję wrogiej maszyny. Han przekręcił się w fotelu, ujął mocno w dłonie drążki spustowe i otworzył ogień. Czerwone promienie dosięgły wroga, nie czyniąc mu jednak większej szkody. Pola ochronne natychmiast odepchnęły wiązki energetyczne.

— Drań! — krzyknął Han, ponownie naciskając spust. Wtem usłyszał odgłos odległej eksplozji i radosny ryk Wookiego. To Chewbacca cieszył się pierwszym trafieniem.

Trzeci napastnik przeleciał tuż obok, obierając kurs prostopadły do myśliwca ostrzelanego przez Hana. Działa pirata bluznęły ogniem, nie czyniąc osłonom żadnej szkody, jednak po chwili poczuł wibrację silników „Sokoła”. System obronny statku był już poważnie nadwreżony, w każdej chwili należało się spodziewać, że przestanie funkcjonować. Nieustający ogień dział przeciwnika coraz bardziej dawał się we znaki.

Świadom tego, że nie zdoła dogonić myśliwca, Han pochylił się w stronę szybu i krzyknął do Wookiego:

— Chewie! Spróbujmy razem!

Płaski kadłub „Sokoła” i przeciwległe umiejscowienie głównych dział sprawiły, że pola ogniowe obydwu dział częściowo zachodziły na siebie. Obszar ten nazwany został przez Hana Ścieżką Zdrowia. Często przekomarzał się z Chewbaccą, który z nich osiąga lepsze wyniki w strzelaniu z tej pozycji. Ostatecznie trafienia osiągnięte w ten sposób w swej prywatnej statystyce liczyli podwójnie.

Teraz jednakże nie o to chodziło. Chewbacca obrócił działo i chybił dosłownie o parę centymetrów.

— Spray, uważaj na sensory dalekiego zasięgu! — krzyknął Han. — Jeżeli nas dorwają, twoja agencja będzie musiała na dobre pogodzić się z utratą należności!

Myśliwiec, który umknął działom Chewbacci, pojawił się teraz w zasięgu ognia Hana. Solo natychmiast skorzystał z nadarżającej się okazji, jednak nieprzyjaciel był szybszy i błyskawicznym manewrem uciekł z linii ognia, jednocześnie ostrzeliwując górną część kadłuba „Sokoła”. Kadłubem statku zatrzęsło i po całym wnętrzu rozszedł się swąd palących się obwodów.

— Kapitanie Solo! Duży obiekt zbliża się do nas z południowego zachodu. Jeżeli utrzyma dotychczasową prędkość, zrówna się z nami za półtorej minuty!

Han był zbyt zajęty, by odpowiedzieć komornikowi. Usłyszawszy ponure mruknięcie Chewbacci, przechylił się, aby spojrzeć na statek, który umknął Wookiemu. Nieprzyjacielski pilot, widząc, że znalazł się na linii ognia drugiego działu, rzucił się do ucieczki.

Han nie tracił czasu na sprawdzenie danych z komputera. Przywarł twarzą do celownika, czekając na dogodny moment. Gdy tylko myśliwiec ustawił się bokiem, odpalił ze wszystkich luf. Tym razem jego strzał był celny. Piracki statek zamienił się w ognistą kulę, po czym zniknął z monitora.

Trzeci napastnik, rezygnując z kolejnego ataku, gwałtownie skręcił, chcąc uniknąć zderzenia z eksplodującym towarzyszem. Wykręcił i... znalazł się na Ścieżce Zdrowia — jednocześnie na linii strzału obu przyjaciół. Han i Chewbacca pospołu, zamienili go w kolejną ognistą kulę.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, Han ześliznął się po szczeblach drabinki i podążył do wnętrza statku.

Na korytarzu spotkał się z Chewbaccą. Wookie wysapał coś, w odpowiedzi na co Han skrzywił się kwaśno.

— Jak to, mam ci doliczyć dodatkowe punkty? Przecież to mój strzał był celny, ty jak zwykle chybiłeś!

Chewbacca zawarczał gniewnie, jednak przyjaciele, znalazłszy się w sterowni, odłożyli dyskusję na później. Widząc ich, Spray powstał z fotela, robiąc miejsce Hanowi. Chewbacca ciężko zwałił się na swoje miejsce.

— Ten statek podąża kursem 125-160 — oznajmił Spray, obserwując jak Han unosi dziób „Sokoła” i dodaje mocy silnikom, korygując ustawienia kątowe tarcz ochronnych. Prowadząc statek, Spray utrzymywał go na zbyt małej, według Hana, wysokości. Jedyną szansą było w tej chwili ustawienie się po przeciwległej do wroga stronie planety. Han nieustannie zwiększał szybkość. Silniki „Sokoła” wyły niemożliwie. Nagle całą przestrzeń wstrząsnęły odgłosy eksplozji. Sprawdziwszy odczyty, Han stwierdził, że strzały pochodzą ze statku-bazy, który mimo dzielącej ich odległości już rozpoczął kanonadę.

Prześadowcą był niewątpliwie któryś z handlarzy niewolników, być może nawet ten sam, który dokonał ataku na „Panią Mindoru”. Jednak zagadką pozostawała rola, jaką odegrała w tym wszystkim Fiolla. Czyżby wspólnicy tak mało liczyli się z jej życiem?

Nie miał jednak czasu na dalsze rozmyślania. Statek --baza z każdą chwilą coraz bardziej zmniejszał dzielący ich dystans i żaden z manewrów Hana nie był w stanie tego zmienić. Był to znakomicie uzbrojony statek, trzykrotnie większy od „Sokoła”, dysponujący większą mocą i prędkością.

Wnętrze statku wypełniło się raptownie dobrze Hanowi znanym głosem:

— Poddajcie się, bo inaczej rozniesiemy was na strzępy! Han przełączył nadajnik.

— Jeszcze nie tym razem, Mogg!

Były asystent Fiolii nie odpowiedział. Sekundę potem działa wroga bluznęły ogniem, który na razie odbił się od tarcz ochronnych „Sokoła”. Handlarze czuli się zupełnie bezkarni. Zasięg dział „Sokoła” był zbyt mały, by mogła stać się im choćby najmniejsza krzywda.

Han obniżył lot i kluczył pomiędzy szczytami górskimi i dolinami, starając się maksymalnie oddalić od przeciwnika. Zdawał sobie jednak sprawę, że wróg prędzej czy później ich dopadnie. Liczył tylko na to, że umiejętne pilotowanie „Sokoła” umożliwi oddanie celnego strzału, który unieszkodliwi statek-bazę.

Raptownie poderwał statek do góry, unikając niszczących wiązek turbolaserowych. Jednak to, co stało się chwilę później, było o wiele groźniejsze. „Sokół” zadrzał — potężna wiązka przyciągająca dosięgła kadłuba „Sokoła”, pozostawiając ich na łasce i niełasce wroga. Statek-baza zbliżał się do nich z przerażającą prędkością. Obserwując tor jego lotu Han zorientował się, że nieprzyjaciel lada chwila znajdzie się bezpośrednio nad nimi. Nie miał czasu na rozmyślania. Błyskawicznie pochylił się nad konsolę i maksymalnie zwiększył prędkość „Sokoła”, wyprzedzając nieco statek handlarzy, po czym rozwinął ochronne pola energetyczne nad górną częścią kadłuba frachtowca. Zanim zdumiony pilot wrogiego statku zorientował się, co się dzieje, „Sokół Tysiąclecia” obrócił się i zanurkował dziobem w dół. Unikając wiązek przyciągających, których źródłem był dziób statku-bazy, „Sokół” raptownie skręcił, i korzystając z ogromnej w tej chwili prędkości, podjął ostatnią, desperacką próbę odzyskania swobody ruchów.

Manewr Hana całkowicie zaskoczył załogę wrogiego statku; dopiero po kilku sekundach przystąpiono do korekty kursu.

Znalazłszy się pod brzuchem statku-bazy, Han otworzył ogień ze wszystkich dział. Z niepokojem myślał o własnych polach ochronnych. Szczęściem jednak, dzięki umiejętnemu manewrowaniu, jak dotąd unikali ognia wroga.

Do czasu. W chwilę później całym frachtowcem gwałtownie rzuciło. Natychmiast rozbłysły wszystkie światła awaryjne i zawyły syreny alarmowe. Chewbacca, na bieżąco odczytujący listę uszkodzeń, krzyknął coś do Hana, nieustannie utrzymującego

maksymalną prędkość statku.

Solo zwrócił się w kierunku Spraya.

— Obawiam się, że część obwodów, które zainstalowaliśmy dzisiaj, została uszkodzona. Nie mam na monitorze żadnych odczytów. Przejdź do przedniej kabiny i spróbuj się dowiedzieć, co wysiadło.

Komornik uniósł się z miejsca i wyszedł ze sterowni. Dotarłszy na miejsce, dostrzegł Fiollę i Bolluxa, usadowionych w fotelach awaryjnych. Usiadłszy w fotelu mechanika, Spray pochylił się nad wstęgą wydruków komputerowych. Marszczył przy tym nos i nerwowo drapał się po dłoni.

— Czy ręka wciąż ci dolega, Spray? — zapytała Fiolla.

— Już nie, jest o wiele... — przerwał zaskoczony i spojrzał na nią zmieszany. — Chciałem tylko powiedzieć...

— Leczenie somageneratywne czasami powoduje nadmierne swędzenie skóry, prawda? — kontynuowała Fiolla, ignorując jego protesty — Drapiesz się nieustannie, odkąd tu przybyłeś. Wiem, że Solo ugryzł napastnika, który rzucił się na niego w hangarze na Bonadanie. To ty byłeś tym napastnikiem, prawda?

Spray był całkowicie opanowany.

— Nie doceniłem twojej inteligencji, Fiollo. Tak, jeżeli chodzi o ścisłość...

„Sokół” zatrząsł się po raz kolejny. Najwidoczniej statek-baza znów się przybliżył.

— I to ty włączyłeś nadajnik w łodzi, czyż nie? — rzuciła. — Ale w jaki sposób to zrobiłeś? Han miał rację, przecież nawet się do niej nie zbliżyłeś!

— Nie zrobiłem tego — odparł twardo Spray. — Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie sądziłem, że wypadki potoczą się w takim kierunku. Jestem wrogiem niepotrzebnego przelewu krwi. Ale to się wkrótce skończy. Twój ambitny eks-asystent jest już blisko.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że powiem o wszystkim Hanowi? — zapytała.

Bollux uważnie wsłuchiwał się w ich rozmowę, gorączkowo zastanawiając się, w jaki sposób najszybciej powiadomić o niej Hana.

„Sokół” zatrząsł się jeszcze gwałtowniej.

— To chyba niczego już nie zmieni — odparł Spray spokojnie. — W twoim najlepiej pojętym interesie, Fiollo, leży współpraca ze mną. Twoje życie znalazło się w punkcie krytycznym.

Han i Chewbacca wyczerpali już wszystkie możliwości. Statek-baza ponownie przyciąga ich polem siłowym. Tym razem nie mieli już najmniejszych szans uwolnienia. Pola ochronne „Sokoła” nie wytrzymałyby już dalszego ostrzału.

Han wprawdzie gotów był spróbować jeszcze raz, jednak powstrzymał się, widząc reakcję Wookiego. Chewie, wskazując na monitor radaru, gwałtownie gestykulował i pokrzykiwał niezrozumiale. Han, idąc za jego przykładem, spojrzał na monitor i prawie zamarł ze zdumienia. Następny ogromny statek sunął prosto ku statkowi handlarzy niewolników.

Był to olbrzymi niszczyciel Espo, prawdziwa, długa na kilometr latająca forteca. W tej chwili nie było już ważne, skąd przybywała. Najbardziej liczyło się to, co zrobi w zaistniałej sytuacji.

Promień przyciągający, wiążący „Sokoła” ze statkiem handlarzy zniknął. Wrogowie również dostrzegli niszczyciel i woleli najwidoczniej uniknąć konfrontacji. Jednak forteca również dysponowała własnymi wiązkami, znacznie potężniejszymi od tych, jakimi dysponował statek handlowy. W jednej chwili „Sokół Tysiąclecia” i jego prześladowca znalazły się na niemożliwej do rozerwania uwięzi.

Załoga statku niewolników próbowała jeszcze stawiać opór, wystrzeliwując w kierunku fortecy parę pocisków. Te odbiły się od pól ochronnych statku Espo, nie czyniąc żadnych

szkód. W odpowiedzi na atak, wiązka turbolaserowa wystrzelona z pokładu fortecy przeorała kadłub statku handlarzy, wyrrywając w nim wielką dziurę i niszcząc większość baterii zasilających.

Załoga uszkodzonego statku zrezygnowała z dalszego oporu. Statek znalazł się wkrótce tuż przy luku cumowniczym w dolnej części kadłuba fortecy. Niespodziewanie na pokładach obu zatrzymanych statków rozległ się głos:

— Załogi przechwyconych statków proszone są o pozostanie na miejscu. Wyłączcie silniki i wszystkie inne systemy — głos rozbrzmiewający w głośniku wydał się Hanowi dziwnie znajomy.

Ponieważ statek handlarzy zajmował już miejsce przy luku cumowniczym, „Sokół” został łagodnie opuszczony na powierzchnię planety, a ogromny kadłub fortecy usadowił się tuż nad nim. Han nacisnął spust dźwigni, zwalniającej podwozie, i nawet nie próbował stawiać oporu. Wiązka była zbyt potężna, by zdołał się od niej oderwać i wszelkie działania byłyby po prostu samobójstwem. Wyłączył silniki i po kolei resztę aparatury.

Położył dłoń na ramieniu Wookiego.

— Trzymaj kuszę w gotowości, może jeszcze nie wszystko stracone. — Liczył na to, że być może uda się im zbiec i wtedy zwrócą się o pomoc do Mora Glayyda. Jeżeli nie, nie pozostanie im nic innego, jak pogodzić się z perspektywą paru lat więzienia. Han jednak nie zamierzał oddać się w ręce Espo bez walki.

Statek Espo zamarł na wysokości pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Wyglądając przez przesłone sterowni, Han obserwował handlarzy. Ogromny rękaw cumowniczy, niewątpliwie wypełniony policjantami, miał za parę sekund przycumować do ich statku. Ciekaw jestem, jak Mogg się teraz czuje?, pomyślał Han nie bez satysfakcji. Wprawdzie jego własna sytuacja była nie do pozazdroszczenia, ale przyjemnie było pomyśleć, że jego prześladowcy również nie unikną kary.

Niewielka kapsuła awaryjna oderwała się od innego z luków w kadłubie fortecy. Była to okrągła, w kształcie kapsuła, jakby opleciona cienką siatką. W jej wnętrzu, zamiast oczekiwanego batalionu Espo, Han dostrzegł samotnego mężczyznę. Był to ten sam człowiek, którego głos usłyszeli wcześniej przez radio — Gallandro, słynny rewolwerowiec we własnej osobie.

## ROZDZIAŁ XIII

Gallandro dostojnym krokiem podszedł do „Sokoła”. Zatrzymał się i spoglądając w górę, ku sterowni, wyciągnął coś zza pasa. W chwilę później usłyszeli głos dochodzący z nadajnika, zamontowanego na ich własnym statku:

— Solo, czy mnie słyszysz? — Zamiast odpowiedzi, Han twierdząco mignął reflektorami statku.

— Och, daj spokój. Nie możesz przecież okazywać lekceważenia człowiekowi, który uratował ci życie!

Nie sprawiło ci to kłopotu, draniu, pomyślał Solo, wzięwszy pod uwagę twoje umiejętności strzeleckie! Nacisnął jednak przycisk na hełmofonie.

— Słucham cię, Gallandro!

W głosie rewolwerowca zabrzmiał z trudem skrywany triumf.

— Tak jest o wiele lepiej, dobre maniery są przydatne w każdej sytuacji. Spodziewam się, że jesteś w pełni świadomy istniejącego stanu rzeczy, Solo. A jeżeli nie, zaliczasz się przecież do pragmatyków. Bądź więc łaskaw i otwórz główny właz, po czym popatuj się tutaj. Porozmawiamy o wszystkim, co się wydarzyło.

Han chciał już odpowiedzieć rewolwerowcowi, by poszedł do diabła, jednak rzuciwszy okiem na ogromny niszczyciel zmienił zdanie. Wszystkie działa turbolaserowe — podwójne i poczwórne baterie, wyrzutnie rakietowe i anteny generatorów wiązek przyciągających były wycelowane w „Sokoła”. Jedno nieprzemyślane posunięcie i zostaną zmiecieni z powierzchni planety. Westchnął ciężko i rozpiął pas bezpieczeństwa.

Obrócił się, napotykając wzrok Spraya, stojącego w tylnej części kabiny i obserwującego go bacznie. W chwilę później u boku Tynniańczyka stanęła Fiolla. Zastanawiał się przez moment, czy nie wziąć jej jako zakładnika, jednak prawie natychmiast odrzucił tę myśl. Dziewczyna przeszła tak wiele, że nie da się łatwo zastraszyć, poza tym wątpił, by tego typu posunięcie powstrzymało Gallandra. Ten człowiek nie należał do litościwych. Zresztą, tak czy tak, nie byłby w stanie zamordować dziewczyny z zimną krwią.

— Przybyli twoi przyjaciele — rzekł do niej z goryczą w głosie. — Władze trzymają rękę na pulsie. Chyba zaśluziałaś na ten awans.

Cofnęła się ku głównemu włazowi. Spray spojrzął na Hana dziwnym wzrokiem, po czym podążył za nią. Ujrawszy w korytarzu Bolluxa, Han skinął na niego.

— Idź do sterowni i miej na wszystko baczenie. Jeżeli nie wrócimy, statek jest twój, chyba że komornik położy na nim łapę. Powodzenia, chociaż ostatnio nam się nie wiodło!

Odsunawszy zasuwę, Han dostrzegł Gallandra, oczekującego u stóp rampy. Rewolwerowiec spojrzął mu prosto w oczy i lekko skinął głową.

— Moja przepowiednia się sprawdza. Znowu się spotykamy, kapitanie!

Wyzwanie było niedwuznaczne. Han już zamierzał sięgnąć dłonią do kabury, ale zrezygnował, przypominawszy sobie znakomity refleks Gallandra. Może nadarzy się jeszcze lepsza sposobność. Solo nie miał złudzeń. Stojący naprzeciwko mężczyzna był mu równy albo nawet lepszy w posługiwaniu się krótką bronią.

Gallandro, jakby odgadując tok myśli Hana, oświadczył spokojnie:

— Może być i tak, Solo. Zachowaj broń na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. Sądzę jednak, że nie muszę ci przypominać, ile dział jest wycelowanych prosto w ciebie. Nie rób żadnych głupstw bez uprzedniego porozumienia się ze mną.

Han i Chewbacca stanęli po przeciwległych stronach rampy, jednak Gallandro utrzymywał dystans, bacznie ich obserwując. Wookie trzymał kuszę niedbale opartą na ramieniu.

Han oczekiwał, że powitanie rewolwerowca z Fiollą będzie o ile nie gorące, to przynajmniej serdeczne. Jednak Gallandro jedynie uśmiechnął się uprzejmie i skłonił głęboko, jakby oczekując, że to kobieta wykona następny gest.

Spray opuścił pokład „Sokoła” jako ostatni, poruszając się niezdarnie po śliskiej powierzchni rampy. Na jego skórze pobłyskiwały jeszcze kropelki wody, ślad po ostatniej kąpieli. Ujrawszy komornika, Gallandro skłonił się dwornie, nie spuszczać jednak wzroku z Hana.

— Odumim — rzekł Gallandro. — Witam Waszą Ekscelencję. Już po raz kolejny udało się panu bezbłędnie przeprowadzić zaplanowaną operację. Widzę, że mimo lat spędzonych za biurkiem, nie stracił pan nic ze swego instynktu.

Spray lekko skinął głową.

— Miałem po prostu szczęście, przyjacielu. Muszę ci jednak przyznać, że o wiele bardziej lubię pracę za biurkiem.

Han, który od dłuższej chwili spoglądał oniemiały to na jednego, to na drugiego współnika, zdołał wreszcie wydukać:

— Odumin? To pan jest dowódcą obwodu? Ty zdradziecki wężu, ty przebiegła gnido, powinienem... — poczuł, że język staje mu kołkiem, nie mogąc znaleźć odpowiednio mocnych przekleństw.

— Niech pan przestanie, kapitanie — rzekł Spray urażonym głosem. — Faktycznie

zaczynałem karierę jako komornik. Jednakże, w miarę awansowania, coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że korzystanie z usług innych i nadzorowanie ich pracy jest nieludzkie. Poza tym w ten sposób nigdy nie można poznać całej prawdy. Ponieważ w handel niewolnikami wydawali się zamieszani wszyscy, nie wyłączając moich najbliższych współpracowników i funkcjonariuszy Tajnej Policji, postanowiłem przeprowadzić śledztwo z pomocą paru zaufanych ludzi. Jednym z nich jest pan Gallandro.

Skrzyżował ręce na piersiach i przybrał pozę nauczyciela. Han, mimo narastającej w nim furii, słuchał z uwagą.

— To nie było łatwe — zaczął Spray-Odumin. — Na początku dysponowałem dowodami pańskich powiązań ze Zlarbem, dzięki którym znalazł się pan na Bonadanie. To sprawiło, że byłem pewien, iż sam jest pan handlarzem niewolników. W porcie kosmicznym, wtedy, gdy udał się pan do hangaru, sądziłem, że zamierza pan opuścić planetę. Ponieważ miałem pod ręką parę użytecznych środków, rękawice i środek rozpuszczający, który w ostateczności mógł posłużyć jako usypiacz, zdecydowałem się za wszelką cenę zatrzymać pana na Bonadanie i wydobyć informacje dotyczące pańskich, hmm, powiedzmy współników. Jednak okazał się pan bardziej przedsiębiorczy niż początkowo sądziłem, kapitanie.

Han roześmiał się ironicznie.

— Nie jestem w stanie uwierzyć, że chciał pan mnie jedynie pojmać.

Spray wyprostował się dumnie.

— Popelił pan identyczny błąd, jak wielu ludzi przed panem. Może nie sprawiam takiego wrażenia, ale fizycznie jestem bardzo sprawny. Wtedy w ciemności nasze szanse były równe. Sądziłem, że bez trudu uda mi się pana obezwładnić. Proszę też nie zapominać, że potrafię wstrzymać oddech na parę minut. Szczęściem, prawie natychmiast po naszej walce, Gallandro, który zbierał o panu informacje, powiedział mi, kim pan faktycznie jest. Doszedłem wówczas do wniosku, że znalazłem rozwiązanie.

Han zmarszczył brwi.

— Rozwiązanie?

Spray zwrócił się do Chewbacci:

— Czy pamiętasz grę, w którą razem graliśmy? Pojedynczy wojownik, który ściąga na siebie wszystkich przeciwników? Kapitanie Solo, w mojej grze to właśnie pan był tym wojownikiem, moją tajną bronią. Handlarze niewolników wiedzieli, że na pewno nie jest pan agentem tajnej policji i nie ma pan możliwości zwrócenia się do władz o pomoc. Zmusił ich pan do działań, które oddały ich w moje ręce.

Han, nie mówiąc ani słowa, skierował wzrok na Fiolłę.

— A ty? Kim ty właściwie jesteś? Spray odpowiedział za nią.

— Och, ona jest dokładnie tym, za kogo się podawała. Ambitnym, młodym pracownikiem. Reorganizacja, którą zamierzam przeprowadzić w moim wydziale, sprawi, że zwolni się parę atrakcyjnych miejsc pracy. Planuję znaczny awans dla Fiolli. Wkrótce zwolni się stanowisko mojego zastępcy, sądzę, że to właściwa dla niej funkcja.

— To wszystko zabiegi kosmetyczne — rzucił Han. — Oficjele rządowi to najgorsi gangsterzy, jacy kiedykolwiek istnieli w przestworzach.

— Zdajemy sobie z tego sprawę, Hanie — rzekła Fiolła. — Jednak świadomi jesteśmy również i tego, że jeden uczciwy człowiek na odpowiednim stanowisku może wiele zmienić, tak, jak tego próbuje Spray. Właściwy człowiek na właściwym miejscu, chyba tak to można określić!

— Sam widzisz — rzekł triumfująco Spray — że mamy w tej kwestii podobne zdania. Mimo że jest pan nieprzeciętnie zdolny i sprytny, kapitanie, nigdy nie będzie pan w stanie zniszczyć organizacji, równej potęgą i wpływami samemu Imperium. Ludzie podobni



Fiolli i mnie, pracujący wewnątrz tej organizacji, zdolni są uzyskać pokojowymi środkami to, czego nie da się wywalczyć bronią. Nie może jej pan za to winić.

Uchylając się od odpowiedzi, Han spojrzał na Gallandra.

— Co miał oznaczać ten pojedynek? Rewolwerowiec lekceważąco machnął ręką.

— Klan Glayydów sprawiał pewne problemy. Wszelkie interesujące nas dane zaprogramowane były w ten sposób, że lojalni członkowie klanu mogli je w każdej chwili zniszczyć. Nie mogliśmy więc wkroczyć bezpardonowo i tym samym ryzykować zniszczenia wszystkich informacji. Z kolei stary Mor Glayyd nie ufał handlarzom, a oni podejrzewali go o to, że chce od nich wyciągnąć jak najwięcej forsy. Weszli więc w kontakt z klanem Reesbonów. Gdy stary Mor Glayyd dowiedział się o tym, zdecydował się nawiązać przez pośredników kontakt ze Sprayem, obawiając się, że jego klan może zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Wkrótce potem został otruty, najprawdopodobniej przez Zlarba.

Przybyłem na Ammuud, zanim ty zjawiłeś się tutaj — kontynuował Gallandro. — Wkrótce po awaryjnym lądowaniu „Sokoła”, Spray, to znaczy pan Odumin, natychmiast się ze mną skontaktował. Skorzystałem z możliwości, jaką stwarzał anachroniczny Kodeks Honorowy, rządzący klanami Ammuudu, by uczynić Glayydów twoimi dłużnikami, Hanie. Udało mi się wkręcić do klanu Reesbonów i to właśnie oni namówili mnie na wyzwanie młodego Mora Glayyda na pojedynek.

— To był wspaniały pomysł — przyznał Spray. — Czy to ty podpowiedziałeś Reesbonom, by niepostrzeżenie włączyli nadajnik na szalupie?

Gallandro skromnie skinął głową, podkreślając wąsa. Wściekłość Hana w tym momencie przekraczała już wszelkie granice.

— Poczekaj, Spray — wtrącił zniecierpliwiony. — W jaki sposób nawiązałeś z nim kontakt? Przecież byłeś uwiązany w samym sercu gór!

Spray wyraźnie się zirytował.

— Tak, słuszne pytanie. Miałem wprowadzić paru techników, którzy w różnych częściach planety oczekiwali na mój sygnał, jednak potrzebowałem dostępu do nadajnika, na wypadek, gdyby zaistniały jakieś kłopoty. — Zwrócił twarz w kierunku Wookiego. — Chciałbym się przed tobą usprawiedliwić. Aby zatrzymać cię przez jakiś czas w górach, nastraszyłem te nieszczęsne owce miotaczem ognia. Nie miałem złych intencji. Nie zdawałem sobie sprawy, że było ich aż tyle i że znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Jest mi naprawdę przykro z tego powodu.

Chewbacca udawał, że nie słyszy przeprosin, więc Spray nie kontynuował dłużej tematu.

— Czyli jesteś po prostu wynajętym rewolwerowcem — rzekł Han do Gallandra. — Czy mam rację? Chłopiec na posyłki rządowe?

Gallandro był wyraźnie rozbawiony uwagą Hana.

— Będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu na osądzanie mnie, Solo. Szedłem identyczną drogą jak ty, ale pewnego dnia stwierdziłem, że głupio byłoby zginąć w jakiś idiotyczny sposób. Zrezygnowałem więc z dotychczasowego trybu życia, zyskując w zamian za to przyszłość. Nie bądź zdziwiony, jeżeli kiedyś sam dojdiesz do identycznego wniosku.

Nigdy, pomyślał Han, przyznając jednak w duchu, że nie docenił przeciwnika.

— Sądzę, że dysponując tak niezbitymi dowodami, świadkami i podejrzanymi mogę uznać nasze zwycięstwo za przesądzone — rzekł Spray z satysfakcją.

— W takim razie nie będziemy panu już do niczego potrzebni — rzekł Han z nadzieją w głosie.

— To nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać — odparł Spray. — Obawiam się, że nie mogę pozwolić wam tak po prostu odlecieć. Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, by uzyskać dla was łagodny wymiar kary.

Han skrzywił się.

— Od Trybunału Rządowego? — spytał kpiąco. Spray niepewnie spojrzał na Hana, po czym odwrócił wzrok. Wskazując na pustą kapsułę awaryjną, zapytał:

— Gallandro, czy przybyłeś zupełnie sam? Kto będzie pilotował „Sokoła Tysiąclecia” w drodze do portu?

— Oni — odparł Gallandro, wskazując na Hana i Chewbacę. — Ja polecę z nimi i dopilnuję, by zachowywali się poprawnie.

Spray energicznie potrząsnął głową.

— To niepotrzebna brawura, zbyt duże ryzyko! Wiem, że jesteś nieustraszonym człowiekiem, ale po co kusisz los?

— Będzie tak, jak powiedziałem — odparł Gallandro tonem nie znoszącym dyskusji.

— Proszę nie zapominać, że pracuję dla pana pod pewnymi, ściśle określonymi warunkami.

— Nie zapomniałem — odrzekł Spray, zwracając się ku Hanowi. — To sprawa Gallandra, nie mogę więc wkraczać w jego kompetencje. Radzę wam jednak unikać wszelkich nieprzemyślanych posunięć, kapitanie Solo — wyciągnął rękę w przyjacielskim pozdrowieniu. — Życzę wam powodzenia!

Han zlekceważył wyciągniętą rękę i nie spuszczał wzroku z unikającej jego spojrzenia Fiolli. Spray spojrzał wyczekująco na Chewbacę, jednak ten, w odpowiedzi na jego gest, zacisnął obie dłonie na kuszy, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem.

Dowódca okręgu ze smutkiem cofnął rękę.

— Jeżeli uda się wam uniknąć więzienia, radzę wam z całego serca opuścić granice Wspólnego Sektora i nigdy, nigdy tu nie powracać. Fiollo, na nas już czas. Aha, jeszcze jedno. Gallandro, nie zapomnij odebrać od kapitana Solo taśmy Zlarba.

Odwrócił się i poczłapał w kierunku kapsuły. Fiolla, dalej unikająca wzroku Hana, dołączyła do zwierznika. Gallandro wyciągnął rękę ku Chewbacce. — Obawiam się, przyjacielu, że będę musiał odebrać ci broń. Proszę, daj mi swoją kuszę.

Chewbacca zawarczał wściekle i przez chwilę wydawało się, że rzuci się na rewolwerowca. Nie było jednak sensu ryzykować. Zanim ruszyłby się z miejsca, Gallandro zabiłby jego samego i prawdopodobnie również Hana. W każdym razie wyraz jego twarzy zdawał się o tym świadczyć.

— Oddaj mu kuszę, Chewie — rozkazał Han. Wookie spojrzał na niego, ponownie zawarczał i niechętnie oddał broń nieprzyjacielowi. Odbierając kuszę z jego rąk, Gallandro na wszelki wypadek dopilnował, by nie znaleźć w zasięgu włochatych łap Wookiego, po czym zapraszającym gestem wskazał na rampę, prowadzącą do wjazdu.

— Musimy się już zbierać, kapitanie Solo — rzekł. Han bez słowa ruszył do wejścia.

— Świetnie — rzekł Gallandro, gdy znaleźli się we wnętrzu statku. — Niech Wookie przygotuje statek do odlotu, a ciebie, kapitanie, poproszę o taśmę. — Spojrzawszy przelotnie na Chewiego, rzucił: — Rozruszaj tylko silniki i nie próbuj żadnych sztuczek. Pamiętaj, że od tego zależy życie twojego przyjaciela.

Wookie oddalił się w kierunku sterowni, natomiast Han skierował się ku swojej kabine. Panował tam trudny do opisu bałagan. Różne części garderoby i drobne narzędzia porozrzucone były dosłownie wszędzie. Tu i ówdzie poniewierały się puste butelki i puszki.

Han zbliżył się do jednej z szafek ściennych, kątem oka dostrzegając, jak Gallandro odkłada na bok odebraną Wookiemu kuszę. Czując na plecach wzrok Gallandra, Han włożył prawą dłoń do wewnętrznej kieszeni kombinezonu termicznego, szukając w niej saszetki Zlarba. Namacawszy ją poczuł, że jej zapięcie dociągnięte jest do samego końca.

Chewie, jesteś prawdziwym geniuszem, pomyślał, naciskając kciukiem na przycisk odbezpieczający i wyciągając saszetkę. Bez słowa podał ją nieprzyjacielowi.

Niczego nie podejrzewający Gallandro wyciągnął rękę. Przez chwilę zastanawiał się, czy Han nie wykorzysta momentu jego nieuwagi i nie sięgnie po kuszę, ale w gruncie rzeczy nie dbał o to. W chwili, gdy zarówno dłoń Hana, jak i ręka Gallandra spoczywały na saszetce, Han przesunął kciuk, zwalniając przycisk odbezpieczający.

Obydwaj mężczyźni jednocześnie odskoczyli, czując jak iskry paraliżującego ładunku, dobywające się z wnętrza saszetki, porażają ich ręce. Wypuszczona z rąk saszetka upadła na posadzkę.

Gallandro wyszczerzył zęby w uśmiechu, obserwując jak Han nieporadnie rozpina kaburę. Lewa dłoń Gallandra także powoli ruszyła ku kaburze.

Han przesunął w końcu kaburę na lewy bok, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu. Gallandro dokładnie naśladował jego ruchy.

— Może nie wszystko będzie tak, jak to sobie wyobrażałeś — uśmiechnął się Han.

— Ale mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać. Daj znać, gdy będziesz gotów, Gallandro. Nadszedł twój wielki dzień!

Han dostrzegł kropelki potu, gromadzące się na czole Gallandra. Dłoń rewolwerowca zeszytniała, palce odmówiły posłuszeństwa. Hana korciło, by pierwszemu sięgnąć po broń, jednak powstrzymał się. Tym razem to Gallandro będzie musiał podjąć decyzję.

Lewa dłoń rewolwerowca opadła bezwładnie, a on sam znieruchomiał. Chewbacca już od paru sekund stał nieruchomo przy wejściu do kabiny. Han wyrwał broń zza pasa przeciwnika i wręczył ją przyjacielowi.

— Pilnuj go! Postaram się nas stąd wydostać!

Po wejściu do sterowni przez dłuższą chwilę bacznie obserwował wskazania instrumentów, po czym z trudem wcisnął się w fotel pilota. Silniki „Sokoła” były rozgrzane, ale zgodnie z rozkazem Gallandra działa, tarcze osłonowe, i wszystkie inne przyrządy z wyjątkiem radiostacji pozostawały wyłączone.

Bateria neutronowa szczęściem nie uległa uszkodzeniu, powoli też wracało mu czucie w prawym ramieniu. Zdumiał się, uświadomiwszy sobie, jak niewiele czasu upłynęło od powrotu na pokład „Sokoła”. Spray i Fiolla dopiero zbliżali się do kapsuły awaryjnej.

Ze złością uderzył pięścią w konsolę.

— Do diabła! Gdybym mógł uruchomić działą, wziąłbym ich jako zakładników! A gdyby działały wiązki przyciągające, mógłbym mieć ich tutaj z powrotem.

— Poza wiązkami przyciągającymi istnieją inne sposoby transportu ładunków — rozległ się wysoki głos. — Czyż nie tak, Bolluxie?

— Błękitny Max ma całkowitą rację, proszę pana — odrzekł robot, usadowiony w fotelu nawigatora. Zasuwa na jego piersiach była rozwarta. — Jako robot pomocniczy, mogę jedynie...

Han nakazał mu gestem milczenie, po czym zawołał:

— Chewie, trzymaj się mocno, bo możesz sobie teraz nabić guza!

Dodał mocy silnikom. Maszyna nie odrywając się od ziemi przesunęła się pod dolną część kadłuba latającej fortecy, zanim to jednak nastąpiło, Han w ułamku sekundy wciągnął podwozie. Wskutek raptownego hamowania, które nastąpiło w chwilę potem, całym statkiem zarzuciło, a jego pasażerowie z trudem utrzymali równowagę. Ustawwszy maszynę w pożądanej pozycji, Han ponownie zwiększył moc.

Kapsuła transportowa, znajdująca się w połowie drogi do luku macierzystego, znalazła się tuż naprzeciwko Hana. Kierując się bardziej instynktem niż umiejętnościami, Solo dokonał minimalnych korekt kursu i ponownie rozpedził „Sokoła”, odrywając gondolę od wiązki wciągającej.

— No dalej, strzelajcie! — krzyknął, widząc wciąż wycelowane w nich działa. — Strzelajcie prosto we własnego szefa!

Odpowiedziała mu cisza. Bez chwili namysłu Han wyprowadził maszynę spod brzucha niszczyciela Espo. Nie obawiał się w tej chwili ataku, gdyż ten kosztowałby życie Spraya, a żaden zdrowy na umyśle oficer nie wzięłby na siebie odpowiedzialności za taki czyn. Czekać na dogodniejszą sposobność, niszczyciel ruszył w pościg za „Sokołem”.

Hana rozsadzały wręcz radość i entuzjazm, jednak pilotował z niezwykłą uwagą, świadom faktu, że jeżeli cokolwiek przytrafi się Oduminowi i Fiolli, będzie to oznaczało śmierć ich wszystkich. Spojrzawszy w monitor, z ulgą stwierdził, że kapsule nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Chewbacca, popychając przed sobą sparaliżowanego od pasa w górę Gallandra, wszedł do sterowni. Wookie pchnął rewolwerowca na fotel nawigatora, po czym zajął swe zwykłe miejsce. Gallandro dopiero teraz spostrzegł, co się naprawdę wydarzyło.

Gdy wreszcie przemówił, w jego głosie zabrzmiał z trudem ukrywany podziw:

— Zyskałeś chyba przewagę, Solo. Gratuluję, ale radzę postępować rozsądnie. Dowódca okręgu to niezwykle rozważny człowiek i jestem pewien, że dojdziecie do porozumienia. Sądzę, że mógłbyś zaproponować bezwarunkowe zwolnienie dla siebie i swojej załogi. Wprawdzie potem ze względów formalnych będziemy zmuszeni je wycofać, ale zyskacie wystarczająco dużo czasu na opuszczenie granic Wspólnego Sektora.

Han spojrzał na niego przelotnie, po czym spytał:

— Czyżbyś proponował swoje pośrednictwo? Gallandro skinął głową.

— Oczywiście, coś innego mógłbym mieć na myśli? Sądzę, że jeszcze się kiedyś spotkamy, kapitanie. Tym razem okoliczności były wyjątkowe.

Obydwa wiedzieli, że to prawda.

— W takim razie skontaktuj się ze swoim szefem. Powiedz mu, że potrzebuję czasu i miejsca do przeprowadzenia niezbędnych napraw „Sokoła”. Nie próbuj jednak żadnych sztuczek, jeżeli chcesz, by Odumin wyszedł z tego cały.

— Warunki będą na pewno korzystne dla obydwu stron — zapewnił go Gallandro, pochylając się nad nadajnikiem.

Han, nieco uspokojony, zmniejszył prędkość lotu i położył dłoń na ramieniu Chewbaccy.

— Dobrze to wymyśliłeś! Skąd ci to wpadło do głowy? Wookie odpowiedział coś we własnym języku. Zdumiony

Han obrócił się plecami do Gallandra, tak, by ten nie mógł niczego odczytać z wyrazu jego twarzy. Odpowiedź Chewbacca całkowicie zaskoczyła Hana.

To nie Wookie uaktywnił system zabezpieczający szaszetkę. Ponieważ zaś tylko dwie osoby znały miejsce jej ukrycia, musiało to być dziełem tej drugiej osoby. Han uniósł się z miejsca i spojrzał w dół, na lekko kołyszącą się kapsułę. Całe jej wnętrze widział jak na dłoni. Wyraźnie przygnębiony Spray przycisnął dłoń do piersi, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że z trudem powstrzymuje nudności. Fiolla, w przeciwieństwie do swego zwierznika, siedziała wyprostowana, trzymając się uchwytu w kadłubie. Gdy dostrzegła, że Han ją obserwuje, uśmiechnęła się tajemniczo.

Wiedząc, jak znakomicie potrafi czytać z ruchu warg, Han bezgłośnie wypowiedział jedno jedyne zdanie:

— Będiesz w przyszłości doskonałym przewodniczącym Rady Dyrektorów. — Dostrzegł, jak twarz dziewczyny rozjaśnia się, a jej dłoń wykonuje ledwie dostrzegalny, porozumiewawczy gest.

Oparł się wygodnie o siedzenie fotela. Gallandro z wysiłkiem przygotowywał się do opuszczenia pokładu „Sokoła”. Spojrzawszy na niego, Han rzekł:

— Myślę, że zatrzymam dziewczynę jako zakładnika. Wolę być pewien, że dotrzymacie

umowy. — Zdumiony Gallandro spojrzął na pilota i już otwierał usta, by zaprotestować, lecz Han nie dał mu dojść do słowa. — Nie gorączkuj się, Gallandro. Zwrócę ją całą i zdrową, pod warunkiem, że zrobicie wszystko to, do czego się zobowiązaliście. — Pochylił się ponownie nad instrumentami, szukając miejsca do lądowania. Raptem uniósł wzrok znad aparatury i powtórnie zwrócił się do rewolwerowca.

— Jeszcze jedno. Sprawdź, ile gotówki ma do dyspozycji wasz księgowy — mrugnął okiem do Chewbacci. — Jak to, Chewie, nie wiesz, co chcę przez to powiedzieć? Przecież ktoś

jest nam winien dziesięć tysięcy za wyświadczone przysługi. Czyżbyś o tym zapomniał? Zacisnąwszy zęby, Gallandro sztywno pochylił się nad nadajnikiem i wdał się w dyskusję z kapitanem latającej fortecy. Chewbacca z uznaniem klepnął Hana w plecy, a Solo pochylił się i ukradkiem przesłał Fiolli serdeczny pocałunek.

# ZEMSTA HANA SOLO

Za dziesięć tysięcy kredytów Han Solo i Chewbacca zrobiliby wszystko, z wyjątkiem przewozu niewolników, który jest równoznaczny z wyrokiem śmierci. Przyjmują dobrze płatne zlecenie, nie wiedząc na czym ono polega. Kiedy okazuje się, że chodzi o transport partii niewolników, Han postanawia zemścić się na tych, którzy narazili go na niebezpieczeństwo.



10.80



Zemsta Hana S

© 1979 by Star Wars Corporation

This translation published by arrangement with Ballantine Books,  
a division of Random House, Inc.

ISBN 83-7169-039-8



Cena det. zł 10,80 (108 000,-)

